Śmierć internetu • Ks. prof. Heller o świecie i wszechświecie • Praca na urlopie?
Nowa mapa prawicy • Festiwal uzdrowicieli • Hity polskiej mody

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 33 (3577), 12.08–18.08.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Najwyższa Matka

Kulisy powstania rekordowego posągu Matki Boskiej w Konotopiu

ISSN 0032-3500
33
9 770032 350602
Wydanie w sprzedaży do 18.08.2026

© LESZEK ZYCH

BOGOWIE ZA ŻYCIA



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

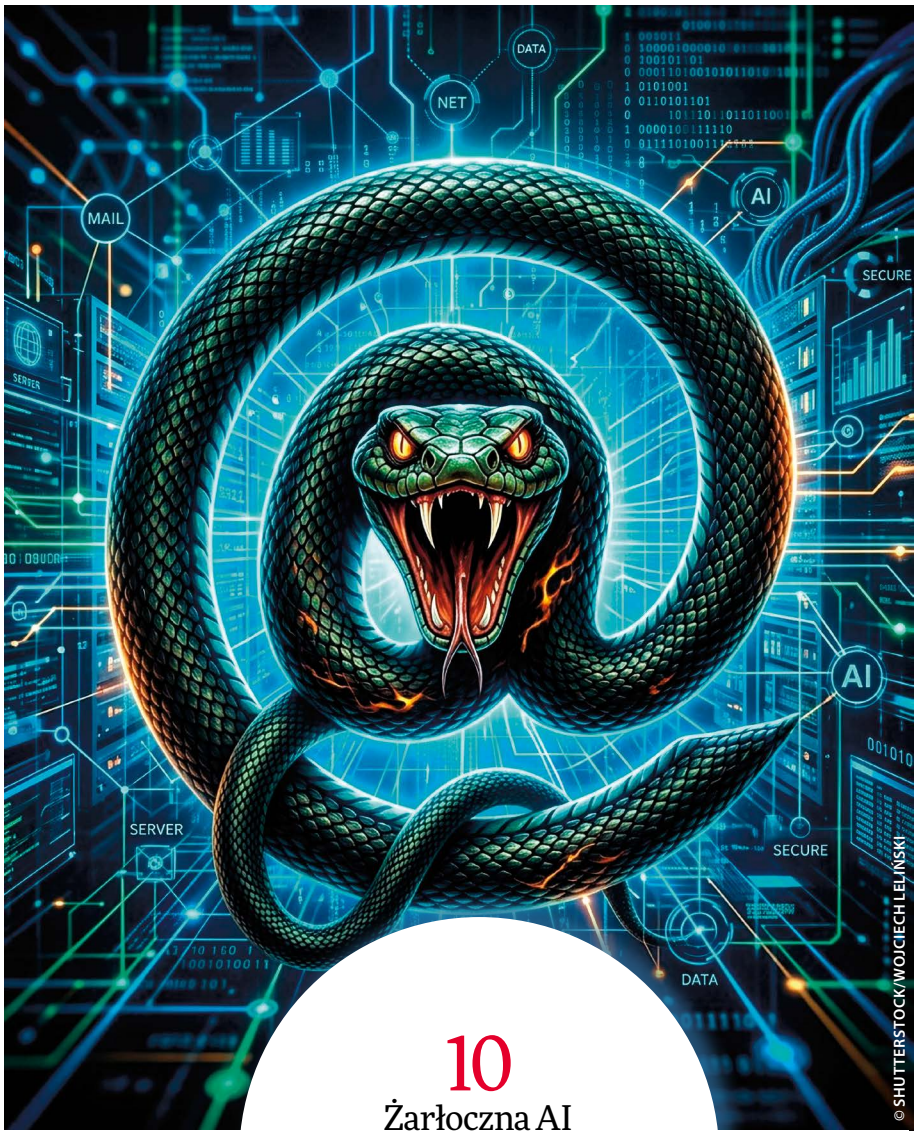
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 70e748f8f6



10
Żarłoczna AI

Temat na święta

10 Aleksandra Żelazińska
Jak sztuczna inteligencja przejmuje media

Rozmowa na święta

14 Ks. prof. **Michał Heller** o świecie i wszechświecie, religii i fizyce

Temat tygodnia

18 Marcin Kołodziejczyk
Największa Maryja w Europie

Polityka

22 Rafał Kalukin **Roszady na prawicy**
25 Anna Dąbrowska **PiS na tropie tłustych kotów**

Społeczeństwo

28 Martyna Bunda
Koszmary właścicieli zabytków
31 Joanna Cieśla **Witariada: festiwal osobliwości**
36 Aleksandra Grabowiecka
Racuch – policyjny pies na kości

Rynek

40 Adam Grzeszak
Ponad połowa Polaków nie potrafi na urlopie odciąć się od pracy
43 **Jerzy Ostrouch**, prezes szpitala w Gorzowie Wielkopolskim, o tym, jak NFZ marnuje nasze pieniądze

Świat

46 Michał Bogusz CHINY **Rośnie sympatia do Państwa Środka**
49 Artur Domosławski PERU
Keiko Fujimori – prezydentka i córka dyktatora
52 Łukasz Wójcik MAROKO
Muhammad VI – bramkarz Europy
54 Reporterka **Jagoda Grondecka** o tym, jak zmienili się talibowie i rządzony przez nich Afganistan
56 Agnieszka Zagner IZRAEL
Zachodni Brzeg: brutalna ofensywa żydowskich osadników

Nauka/projektpulsar.pl

59 Rozmowa z **Adrienne Mayor**, autorką książki „Bogowie i roboty. Starożytne marzenia o technice"
62 Jolanta Iwańczuk
Hodowcy lodowców

Historia

64 Piotr Szlanta
Jak Austriacy Jasnej Góry bronili
67 Co łączy Iran z Polską, opowiada irański historyk, dawny więzień polityczny prof. **Abbas Milani**

Kultura

74 Piotr Sarzyński **Wystawa w MSN: Dwurnika portret ociosany**
78 Michał Zaczyński
Młoda moda polska
82 O Polsce i ładnej, i brzydkiej mówi **Łukasz Harat**, socjourbanista
85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Sport

86 Marcin Piątek
Jak prezes PKOl z zemsty odebrał granty zawodnikom

Ludzie i style

93–97
- **AI pamiętniki**
- **Słuchawki z kabelkiem**
- **Co się farmi na farmie**
- **Winni cen wina**
- POCZTÓWKA POLITYKI **Tajlandia – trójkąt nierównoboczny**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **89** Koziołek
• **90** Witkowski
• **91** Lis • **92** Do i od redakcji
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 70e748f8f6



Koniec internetu

Bartek Chaciński

Polska bywa ostatnio krajem strefy tropikalnej. Temperatury mieliśmy w ciągu minionego tygodnia wyższe niż w Rio, Manili czy nawet Dżakarcie. A i ambicje – jak się okazuje – porównywalne. Jedną z nich jest wznoszenie rekordowo wysokich świętych figur. Nasz Chrystus w Świebodzinie, 36-metrowy wraz z koroną, dawno już przegonił europejskie posągi Chrystusa i znacząco przegrywa co najwyżej z tym ze wzgórza Sibea-bea w Indonezji (61 m). A z naszą odsłoniętą właśnie Maryją z Konotopia (55,6 m) – którą opisujemy w reportażu Marcina Kołodziejczyka na s. 18 – mierzyć się mogą co najwyżej Maryje z Brazylii i Wenezueli, a zdecydowanie uległa tylko tej z Filipin: Maryi, Matce Całej Azji, wraz z cokołem liczącej sobie prawie 100 m.

Można z tego wnioskować, że przesuwamy się geograficznie. Ostatnio reporter TV Republika, relacjonujący z żarem najazd imigrantów na Ceutę, rozpędził się i oznajmił widzom, że jest na kontynencie europejskim (tymczasem był tylko w błędzie). Za to na pewno zmienia się nieco klimat i temperatura okazywania uczuć, także religijnych. Konotopski posąg jest wotum za wyjście z choroby przez polskiego miliardera, który „odnowił panowanie figury Matki Boskiej Bolesnej w duchowości gminy", na co miejscowy proboszcz patrzy dziś – jak czytamy w reportażu – w „poszerzonym widzeniu".

Wygląda na to, że polski Kościół staje się coraz bardziej ludowy. Nawet ks. prof. Michał Heller w rozmowie z Jerzym Baczyńskim (s. 14) ubolewa nad tym, że tak duża część polskiej inteligencji od religii odeszła. Uczony ostrzega, by religii nie traktować jako paranauki, „żeby ludzie nie wierzyli w byle co". Ale zarazem przypomina, że „pytanie o sens wykracza poza granice metody naukowej", bo sam od lat stara się pogodzić religijność z racjonalnym podejściem. Z tym mamy problem. Za to z łączeniem religijności z podejściem nieracjonalnym radzimy sobie świetnie.

Bo gorzej bywa, jeśli na pytania o sens odpowiadają ludzie, u których racjonalna natura zwycięża dopiero przy liczeniu honorarium. W tym wydaniu POLITYKI Joanna Cieśla opisuje (s. 31) festiwal Witariada – taki Przystanek Woodstock (choć za cenę karnetu porównywalną z Open'erem) dla poszukiwaczy nieracjonalnych odpowiedzi na życiowe pytania. Tu dominują wprawdzie nie katolickie, tylko pogańskie, słowiańskie mity, ale wiara ma podobnie ludowy charakter. Wiara w co? W to na przykład, że ludzie żyli kiedyś po 300 lat, ale zaszkodziły im toksyny insektów zaciskające pępek – a to źródło wszelkiego rodzaju problemów. Albo że kupno magnesu i umieszczenie go pod poduszką odegna nawiedzające nas zjawy.

Cały tekst czyta się niczym dokumentalną podróż w głąb króliczej nory. Choć Witariada to oczywiście tylko efekt końcowy i produkt czasów. Jeśli ćwierć wieku temu ktoś jeszcze miał nadzieję, że internet pozwoli dotrzeć do każdego z rzeczowymi i sprawdzonymi odpowiedziami na wszelkiego rodzaju pytania, to dziś się z tą nadzieją żegna. Internet nie tylko „gównowacieje" – jak pisze w wydanej po polsku książce Cory Doctorow – czyli obniża poziom w pogoni za zyskiem, ale też w jawny sposób dopuszcza zmyślenie, konfabulację, wprowadzanie w błąd.

„Żaden moduł językowy nie wyzbył się jeszcze całkowicie skłonności do konfabulacji" – przypomina Aleksandra Żelazińska w tekście „Oj, AI!" (s. 10), opisując, jak generatywna sztuczna inteligencja zamyka dziś internet, który znamy. Ludzi zastępują boty wysysające i przetwarzające treści dostępne w sieci. A ofertę przeklikiwania się przez źródła i wybierania tych wiarygodnych zastępuje powierzchowna wiedza w wersji instant, dostępna za jednym klikiem: „pytamy, dostajemy odpowiedź, dalej nie brniemy". A algorytmy potrafią serwować błędne informacje w sposób przekonujący i spójny. „Na tyle, że nawet w sens jedzenia kamieni jesteśmy w stanie uwierzyć".

Jest to przy okazji społeczna rozgrzewka przed kolejnymi wyborami. Bo polityka staje się materią o podobnie powierzchownym charakterze: decydują nie osiągnięcia, ale – jak się dziś mówi – aura. Czyli wizerunek. „Liczy się wajb, a nie decyzje", przekonywał Jakub Dymek na łamach zero.pl, opisując stosunek Polaków do prezydenta Karola Nawrockiego, którego weta wprawdzie odebrały miliardy złotych budżetowi państwa i broniły międzynarodowych mafii, ale ludzie polubili jego brutalność w deklarowanej walce o Polskę. Szef Kanału Zero Krzysztof Stanowski – jako uczestnik hołdowniczego rocznicowego benefisu – zachwycał się „nowym rodzajem prezydentury", tym, że „społeczeństwo trzyma jego stronę", doceniając u Nawrockiego umiejętność drażnienia oponentów.

Zapominamy więc fakty, pamiętamy ogólne wrażenie, mit. Po to zresztą była sama uroczystość przed Pałacem Prezydenckim, nowe zjawisko, bo przecież prezydenci Kwaśniewski czy Kaczyński nie urządzali sobie takich publicznych jubli: żeby pielęgnować mit bohatera. I pokazać kilkunastometrową polską flagę – długość flagi ma bowiem symbolizować rozmiar patriotyzmu wodza, jak długość panoramy reklamującej nowy sezon komedii „1670" – o 1670 mm dłuższej niż Panorama Racławicka – oddaje przerost ambicji serialowego Jana Pawła.

Spójrzmy na tę całą panoramę tematów w „poszerzonym widzeniu". Jak się te wszystkie rekordy mają do świata sieci, któremu poświęcamy w tym wydaniu wiele miejsca? Otóż przez lata hasło „dotarłeś do końca internetu" oznaczało znalezienie czegoś najgłupszego, najbardziej absurdalnego i niewiarygodnego. Teraz, gdy nakarmiliśmy tym sztuczną inteligencję i naszą mądrość zbiorową, materiały z końca internetu będą dostępne już na równi z tymi wiarygodnymi. W dodatku coraz wygodniej – na jeden klik.

eprasa.pl 70e748f8f6

Albatros travel

Albatros 40 lat

Albania i Grecja

śladami antycznych cywilizacji

2 posiłki dziennie

NOWOŚĆ

Odkryj zabytkowe miasta, malownicze krajobrazy i starożytne skarby kultury na Bałkanach.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Tirana. Przylot do stolicy Albanii i zwiedzanie miasta. **Dz. 2** Tirana – Elbasan – Korcza. Zwiedzanie Elbasanu i Korczy oraz wizyta u lokalnej rodziny. **Dz. 3** Korcza – Meteory. Wizyta u pszczelarza i przyjazd do Grecji. **Dz. 4** Meteory – Termopile – Delfy. Zwiedzanie klasztorów: Wielki Meteoron i Rousanou oraz pomnika w Termopilach. **Dz. 5** Delfy – Itea – Delfy. Wyrocznia w Delfach, Muzeum Archeologiczne, źródło Kastalia i relaks nad morzem. **Dz. 6** Delfy – Preweza – Saranda. Urokliwe miasta portowe i imponujące twierdze. Powrót do Albanii. **Dz. 7** Saranda – Butrint – Saranda. Zwiedzanie starożytnych ruin Butrintu i wizyta na lokalnej plantacji cytrusów. **Dz. 8** Saranda – Wlora – Kruja. Albańska Riwiera, Plac Flagi we Wlorze i górskie miasto Kruja. **Dz. 9** Kruja – Warszawa. Powrót do Polski.



9 dni | Wyloty z Warszawy 09/05, 19/05 2027 | od 6.498,-



Japonia i Korea Południowa – azjatyckie tygrysy

Wspaniała podróż do Seulu, Kioto oraz Tokio, gdzie nowoczesność, tradycja, piękna przyroda i urokliwe świątynie tworzą niepowtarzalną mieszankę kulturową.

Podczas wycieczki odkryjemy Koreę Południową i Japonię, gdzie tradycja harmonijnie łączy się z nowoczesnością. Odwiedzimy strefę zdemilitaryzowaną przy granicy z Koreą Północną, Gyeongju, Kioto, Narę, Hiroszimę i Tokio. Przejedziemy Shinkansenem, a chętni wybiorą się na górę Fuji, poznając niezwykłe zabytki UNESCO oraz fascynującą kulturę obu krajów pełną kontrastów i niezapomnianych wrażeń.



16 dni | Wylot z Warszawy 10/05 2027 | od 23.998,-



2 posiłki dziennie

Uzbekistan – na Jedwabnym Szlaku

Tajemniczy świat wschodu i pustynne piaski, którymi przez wieki ciągnęły karawany, zatrzymując się we wspaniałych miastach jak Buchara czy Samarkanda.

Podążymy Jedwabnym Szlakiem przez Uzbekistan, odwiedzając Samarkandę, Bucharę, Taszkent i baśniową Chiwę. Zachwycą nas błękitne kopuły, meczety, mozaiki i ślady imperiów Aleksandra Wielkiego, Czyngis-chana oraz Timura. Przemierzymy pustynne i górskie krajobrazy, poznając historię szlaku, który przez wieki łączył kultury, religie i handel.



9 dni | Wyloty z Warszawy 25/04, 26/09 2027 | od 8.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL30**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 70e748f8f6

Na miarę naszych możliwości



Wyszło z tego „połączenie Trumpa z Łukaszenką” – jak zauważył jeden z komentujących na X. Bo obchody pierwszej **rocznicy zaprzysiężenia Karola Nawrockiego** na prezydenta RP miały być pokazem siły z wyraźnie zaznaczonym komponentem swojskości. Stąd specjalne trybuny ustawione przed Pałacem Prezydenckim, podest, flagi, a nieopodal – namioty Klubów Gazety Polskiej, Wolnych Polaków czy Ruchu Obrony Granic. Do tego ludowy zespół dziecięcy Zagórzańska Siła i 47-letni raper Eldo, narodowiec i konwertyta na islam w jednym.

Przede wszystkim zaś była to głośna antyrządowa manifestacja, która miała potwierdzić, że są dwa równoległe obozy władzy. Tu już nawet nie było udawania, że Nawrocki chce być „prezydentem wszystkich Polaków”. Ani że konstytucyjny podział obowiązków ma jakiekolwiek znaczenie. Wszak jak można było usłyszeć tego dnia podczas tzw. debaty publicystów inaugurującej imprezę: obecna konstytucja to przeżytek, koniecznie trzeba ją zmienić, wprowadzając system prezydencki bądź kanclerski. Ten kuriozalny event, prowadzony przez Dorotę Gawryluk z Polsatu, miał imitować dziennikarsko-ekspercką dyskusję – w istocie zaś był peanem na cześć Nawrockiego. A zachwycali się nim: Rafał Ziemkiewicz (sam siebie nazywający „influencerem politycznym”), prof. Andrzej Nowak i Krzysztof Stanowski. Ten ostatni przekonywał, że siłą Nawrockiego jest „autentyczność”, to, że „otworzył się na zwykłych Polaków” i „lgnie do obywateli przy każdej okazji”. A także – że „działa w sposób nieszablonowy” jak Donald Trump.

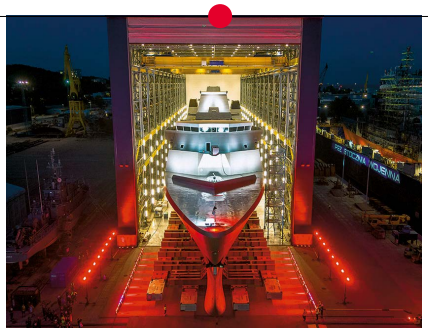
O zmianie konstytucji mówił też kilka godzin wcześniej na zorganizowanej naprędce konferencji programowej „Ku nowemu rządowi” Przemysław Czarnek – to również była demonstracja, a właściwie przypomnienie, kto Nawrockiego wymyślił. Bo Jarosław Kaczyński może i pozostaje polskim „kingmakerem”, ale jego pozycja mocno w ostatnim czasie osłabła. Co zresztą próbuje wykorzystać Donald Tusk, przekonując, że „na prawicy zawodnikiem wagi ciężkiej jest prezydent Nawrocki”, a w rywalizacji z nim „Kaczyński nie ma szans”. Po ludzku można te złośliwości jeszcze zrozumieć, ale strategicznie to ryzykowna gra. Tak oto po drugiej stronie politycznego frontu, w miejsce słabnącego (również fizycznie) prezesa, Tusk ustawia sobie młodszego i niezużytego polityka, który jest zdeterminowany, aby patronować obozowi prawicy: od PiS-u i jego stowarzyszeniowej odnogi, przez konfederatów, po braunistów włącznie.

Pretekstem ma być „prezydencka strategia rozwoju”, która – jak przekonywał w swoim rocznicowym wystąpieniu Nawrocki – „stanie się w najbliższych wyborach parlamentarnych punktem odniesienia dla wszystkich tych, którzy aspirują do rządzenia w RP”. Jej treść ma zostać ujawniona za kilka miesięcy.

Nawrocki w swoim zwyczaju kopiował Trumpa – i w ubiorze, i w retoryce. W jego przemówieniu demagogiczne i populistyczne hasła („Mamy prawo mniej płacić za prąd”) mieszały się z wątkami antyrządowymi (weta to „korepetycje z tego, jak pisać dobre prawo”) i typowym narodowym zadęciem. „Włosi krzyczą: »Forza Italia!«, Amerykanie krzyczą: »America First!«, a ja mówię: »Po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy!«” – przekonywał Nawrocki. Do tego hasła wracał zresztą kilkakrotnie. Towarzyszyły temu gromkie brawa i okrzyki: „Precz z komuną!” oraz „Karol wielki!”...

MALWINA DZIEDZIC

Defilada postępu



W dniu swojego święta 15 sierpnia Wojsko Polskie znowu pokaże, co ma najlepszego, najnowszego i – dla odstraszania – najgroźniejszego. Coroczne defilady są wyczekiwane przez widzów i przydatne władzy. „Pokaz mocy” ma unaocznić Polakom, na co idą rosnące wydatki obronne i przekonać, że dzięki nim są bezpieczni. Nie dziwi więc, że w tym roku hasłem jest: SAFE, czyli 180 mld zł unijnych pożyczek na zbrojenia, które rząd uruchomił mimo oporu prezydenta i opozycji. Na Wisłostradzie pojawi się sprzęt, dzięki SAFE dokupiony w większej liczbie (wozy bojowe Borsuk i działa samobieżne Krab), oraz taki, którego produkcja dopiero rusza (pojazdy automatycznego minowania Baobab czy lądowe roboty bojowe Kuna). Rząd chce pokazać, że rekordowo wspiera polski przemysł obronny, ale te największe, najdroższe i najważniejsze dla obrony sprzęty są importowane: systemy antyrakietowe Patriot, amerykańskie i koreańskie czołgi Abrams i K2, wyrzutnie rakietowe Himars i Chunmoo, śmigłowce Apacz i dopiero co otrzymane samoloty piątej generacji F-35. Będą one chlubą defilady powietrznej, choć na powitanie symbolicznie pokazały się już nad kilkoma miastami.

Atrakcją dla spostrzegawczych będą antydronowe siatki na kilku typach wozów bojowych czy ważny sprzęt inżynieryjny – po raz pierwszy zostaną pokazane francuskie mosty pływające PFM. Po ubiegłorocznym sukcesie parady morskiej w Gdyni, transmitowanej do Warszawy, MON będzie się chwalić podpisaniem w czerwcu umowy na okręty podwodne Orka i zwodowaniem trzy dni przed defiladą kadłuba pierwszej fregaty Miecznik: **ORP Wicher**. Te jednostki „przedefilują” same dopiero za kilka lat. Są jednak dowodem przełomu – bo okręty podwodne czekały na zakup od dekad.

Skłócone partie niechętnie przyznają, że zbrojenia to sztafeta, a zdolności obronne nie powstają w ciągu kadencji. Ale coraz dłuższa kolumna coraz nowocześniejszych pojazdów to mierzalny dowód zmian na lepsze. Mimo to o bezpieczeństwo politycy kłócą się coraz głośniej. Ostatnio: kto jest winny wtargnięcia rosyjskiej rakiety i czy dawać Ukrainie rakiety do Patriotów. Na tle sprzętowego postępu i uzasadnionego przekonania wojska o rosnącej sile wojna między rządem, prezydentem i opozycją naraża polskie bezpieczeństwo, które zależy od współdziałania organów władzy. (MŚ)

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER, PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl 70e748f8f6

Prawica na robocie, koalicja na wakacjach



Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Rozpad PiS i zapowiedź przekształcenia stowarzyszenia Rozwój Plus w partię wywołały polityczne trzęsienie ziemi, które nadzwyczajnie ucieszyło polityków rządzącej koalicji. *Schadenfreude* absolutnie zrozumiała, choć skala zaskakująca, zwłaszcza jeśli rozumie się konsekwencje pojawienia się nowego prawicowego ugrupowania na czele z Mateuszem Morawieckim. Były premier powinien być dla każdej partii wizerunkowym obciążeniem, ale że Polacy miewają krótką pamięć, a sondaże nie rządzą się arystotelesowską logiką – jedynie logiką mediów społecznościowych – to Rozwój Plus już na starcie dostał punkty za debiut. Badania opinii publicznej wskazują, że partia Morawieckiego mogłaby uzyskać nawet 6 proc. poparcia w przyszłorocznych wyborach. Zarówno dawni koledzy z PiS, jak i politycy koalicji drwią jednak, że to niewiele i może się zdarzyć, że „harcerzom" nie uda się przekroczyć progu wyborczego, a cały plan skończy się fiaskiem. Hipotetycznie taki scenariusz jest możliwy i o ile może cieszyć ludzi Kaczyńskiego, o tyle nie powinien uśpić czujności KO. Za wcześnie na słynne „robienie popcornu".

Pojawienie się nowego gracza nie tylko osłabia PiS, ale także zmienia dynamikę sceny politycznej. A to już jest poważny problem dla Donalda Tuska, którego podwładni koncentrują się obecnie raczej na wakacyjnym odpoczynku niż na aktualizowaniu strategii kampanii wyborczej, licząc, że do września nic wielkiego się nie wydarzy. W końcu ich szef zawsze powtarza: „Robimy, nie gadamy", więc i cała reszta święcie wierzy, że fakty są ważniejsze niż opowieść o nich, a kilka tygodni milczenia „się wyklepie" na jesieni.

Gdy koalicja jest na wakacjach, prawica jest na robocie i zagospodarowuje miejsce zwolnione przez wypoczywających liberałów. PiS leczy rany po rozpadzie, jeżdżąc po Polsce powiatowej i podgrzewając radykalne nastroje swojego elektoratu. Jednocześnie opowiadając o zdradzie Morawieckiego, odcina się od „błędów i wypaczeń" rządów Zjednoczonej Prawicy, które łatwo teraz zrzucić na „doradcę Tuska" i „niemieckiego agenta". Z kolei były premier podwinął rękawy swojej błękitnej koszuli i wmawia Polakom, że, owszem, „rządził, ale się nie cieszył". Morawiecki przejął nawet symboliczne Jagodno, gdzie rozdawał pizzę i przekonywał, że kocha kobiety, dzieci, zwierzęta i nie interesuje go, kto na kogo głosował w 2023 r. Ważne, żeby w 2027 r. zagłosować na niego.

W całej sytuacji najlepiej czują się obie Konfederacje, które podzieliły się rolami i na dwa głosy przekonują, że o ile PiS Czarnka nieudolnie naśladuje Koronę Polską Grzegorza Brauna, o tyle Rozwój Plus Morawieckiego jest marną podróbką Nowej Nadziei Mentzena. A przecież oryginał to zawsze oryginał. I tak oto, choć rozpadła się największa konkurencja KO, to prawica znowu zdobyła komunikacyjną przewagę i narzuca narrację, na którą ludzie Tuska próbują jedynie reagować. Na snucie własnej opowieści nie starcza im już ani czasu, ani energii. Nie wspominając o tym, że spora ich część poszła w ślady byłej premier Ewy Kopacz i zrobiła sobie „wakacje bez telefonu". „Kto bogatemu zabroni" – komentowało nagranie europosłanki tysiące zawiedzionych wyborców koalicji, którzy czują, że politycy przypomną sobie o nich dopiero na kolejnym Marszu Miliona Serc. Oby wtedy nie padało.

Szarlatani celebryci

Sejm uchwalił nowelizację ustawy o prawach pacjenta, tzw. lex szarlatan. Teraz ruch należy do Karola Nawrockiego, bo jeśli ustawy nie podpisze, nie wejdzie ona w życie. Nic dziwnego, że takie emocje wywołała wizyta **Jerzego Zięby**, jednej z czołowych postaci pseudonauki i tzw. medycyny alternatywnej, w Kancelarii Prezydenta. W eter poszła informacja, że wizyta była udana, a Zięba złożył petycję podpisaną przez 25 tys. osób domagających się jej zawetowania. I kiedy rozległy się głosy oburzenia, szef KPRP Zbigniew Bogucki przyznał, że odwiedziny Zięby były błędem, zorganizował je jeden z doradców, do którego dotarł tzw. czynnik społeczny, a Karol Nawrocki o niczym nie wiedział. Bogucki zapewnił też, że petycja nie będzie miała wpływu na decyzję prezydenta. Nowelizacja przewiduje kary finansowe do 1 mln zł, umożliwia blokowanie stron internetowych szerzących medyczną dezinformację oraz pozwala na stworzenie publicznego rejestru osób i podmiotów stosujących zakazane praktyki.

W tym rejestrze mogłaby znaleźć się Doda, czyli Dorota Rabczewska, która niedawno usłyszała zarzuty za złamanie przepisów prawa farmaceutycznego – promowała żelki „leczące hashimoto", czyli przewlekłe zapalenie tarczycy o podłożu autoimmunologicznym. Kolejna postać, która mogłaby trafić do rejestru, to popularny ginekolog i autor książek Tadeusz Oleszczuk, przedstawiany jako holista, częsty gość nawet wydawałoby się poważnych mediów – jego działalność prześledzili dziennikarze magazynu „Obiektyw" i ujawnili, że swoim pacjentkom zaleca m.in. odrobaczanie z pasożytów, które mają „wędrować" po organizmie. Aby potwierdzić ich obecność, powinny w czasie pełni pobrać próbkę kału i przesłać do wskazanego (komercyjnego) ośrodka diagnostycznego. Oleszczuk w swoich książkach podaje schematy dawkowania silnych leków przeciwpasożytniczych – część z nich w ogóle nie jest dopuszczona w Polsce do stosowania u ludzi. Według ustaleń dziennikarzy ginekolog ma mieć także powiązania z podmiotami produkującymi suplementy diety – na swojej stronie promował np. suplement zawierający pestycyd niedozwolony w UE.



Po cyklu materiałów o działalności lekarza, którego konta w mediach społecznościowych obserwują tysiące osób, przyjrzał się jej także Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku – przygotowuje postanowienie o przedstawieniu mu zarzutów. (KK)

Czytaj też s. 31.

eprasa.pl 70e748f8f6



Petersburg, 24 lipca, w tle płoną magazyny Wildberries

Ukraina bez Patriotów

Rosja wznowiła swój blitz przeciw ukraińskim miastom, szczególnie okrutny wobec Kijowa. Zmasowane bombardowania ukraińskiej stolicy magazynowanymi od dłuższego czasu pociskami balistycznymi to odpowiedź na praktyczną blokadę postępów Rosjan na lądowym froncie w Donbasie i na coraz bardziej udane ukraińskie ataki dronowe na imperium Władimira Putina. Rosja na lądzie posuwa się wciąż nieznacznie i kosztem takiej utraty ludzi, która na dłuższą metę jest nie do wytrzymania bez ogłoszenia powszechnej mobilizacji. A ta wciąż jest wielkim strachem dla Kremla. Dokładnie tak jak hitlerowcom w drugiej wojnie światowej putinowskiej Rosji chodzi więc o złamanie ducha, przywództwa i zdolności do przetrwania Ukrainy w sercu jej państwowości nad Dnieprem, poprzez ataki rakietami i sterowanymi bombami, jakich zaznały Londyn, Antwerpia czy Bruksela.

Technologia przez 80 lat sporo się zmieniła, ale cel jest taki sam – uderzenia w żywą tkankę cywilnych miast mają boleć ich ludność i władze, nawet jeśli nie mają większego lub żadnego związku z ukraińską armią. To może okazać się zbrodnią wojenną i przeciw ludzkości, o ile ktokolwiek kiedykolwiek zdoła rozliczyć Putina i jego generałów przed nową Norymbergą.

Moralny trybunał już stanął. Prezydent Wołodymyr Zełenski przyznał, że Ukraina nie ma już rakiet przechwytujących do zestrzeliwania rosyjskich Iskanderów, Cyrkonów i Kindżałów, którymi jest atakowana. Zadanie to spełniały przekazane wcześniej z kilku państw NATO systemy Patriot, dzięki pociskom PAC-3 produkowanym na eksport wyłącznie w Stanach Zjednoczonych, pod ścisłą kontrolą Waszyngtonu. Ukraińska stolica dorobiła się w ten sposób systemu obrony antybalistycznej, przez który mało co udawało się przebić, jeśli rakiet nie brakowało. Teraz ich zapasy w Europie znacznie stopniały (co w Polsce stało się powodem politycznej wojny), a ich odnowienie utrudnia wojna USA z Iranem.

W arsenale amerykańskim, izraelskim i bliskowschodnich sojuszników Waszyngtonu powstała gigantyczna wyrwa. Obsługujące system Patriot wojska lądowe USA miały już zużyć dwie trzecie przedwojennych zapasów najnowszych rakiet antybalistycznych, które zapewniały relatywne bezpieczeństwo Kijowowi. Zaskoczony miał być prezydent Donald Trump, który myślał, że dosypanie pieniędzy (Pentagon podpisał kontrakty na nowe pociski) szybko rozwiąże sprawę. Teraz jednak – wedle amerykańskiej prasy – domaga się raportu o stanie arsenału od Pete'a Hegsetha, który wcześniej bez pytań wykonywał zachcianki Białego Domu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, odbudowa arsenału w USA uda się najszybciej za dwa, trzy lata, a przecież rosyjscy wywiadowcy też liczą topniejące rakiety i kalkulują, kiedy NATO nie będzie się w stanie obronić. Pogarsza to i tak złe prognozy na jesień i zimę, o których znowu się mówi, że będą najcięższe od początku wojny – nie tylko dla Ukrainy, lecz i dla NATO. O ile tegoroczna wiosna i lato upłynęły na podliczaniu sukcesów Kijowa w atakowaniu Rosji uderzeniami dalekiego zasięgu, o tyle najbliższe miesiące mogą odwrócić trend korzystny dla Ukrainy.

Nadzieją Kijowa są dziś nie tylko obezwładniane rosyjskie rafinerie, ale i cywilne centra dostaw logistycznych Wildberries. To sieć handlowa i finansowa porównywana z Amazonem lub AliBabą, choć działająca wyłącznie w Rosji. Ukraińcom udało się już podpalić kilkanaście jej wielkopowierzchniowych magazynów, co stanowi nowy etap „przenoszenia wojny do Rosji".

W Polsce może to się kojarzyć z pożarem megasklepu przy Marywilskiej w Warszawie (przypisywanym rosyjskim zamachowcom), zwielokrotnionym przez podobne zdarzenia w magazynach Allegro, Media Markt czy Euro RTV AGD. Wildberries odpowiadało przed wojną za ponad połowę rosyjskiego wysyłkowego handlu konsumenckiego, więc jego zubożenie i zniszczenia mogą zaboleć dziesiątki milionów klientów, zwłaszcza dostawców i pośredników z całego kraju. Pojedyncze ich świadectwa już widać w internecie, ale do załamania się wiary Rosjan w Putina jeszcze daleko, bo wciąż są dość odporni na rynkowe cykle i umieją radzić sobie z biedą.

Ataki na Wildberries mają jednak najbardziej zaboleć wielkomiejską klasę średnią, która korzysta z dostaw na odległość. A buntu tej sfery społeczeństwa Kreml może się najbardziej obawiać. Na putinowski rakietowy blitz Ukraina odpowiada spektakularnymi dronowymi nalotami punktowymi, choć bez widocznego strategicznego efektu. Atakowane dronami bazy morskie, lotnicze, kluczowe rafinerie i porty Rosji udaje się zastąpić lub odbudować – mimo strat.

W najbliższych miesiącach Kijów stanie więc przed wyzwaniem złamania ekonomicznego kręgosłupa Rosji przy jednoczesnej potrzebie przetrwania rosyjskich nalotów balistycznych. Bez nowych dostaw z państw NATO pocisków do Patriotów będzie bardzo trudno.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, ABEDIN TAHERKENAREH/EPA/PAP, PHILIP FONG/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 70e748f8f6

Iran szuka dźwigni

„Uda się. Zawsze się udaje". Taki finał wojny z Iranem przewiduje Donald Trump. W rozmowie z portalem informacyjnym Axios prezydent Stanów Zjednoczonych perypetie na Bliskim Wschodzie porównuje do partii szachowej. Tymczasem w pierwszej dekadzie sierpnia sytuacja przypominała raczej wymykającą się regułom symultanę.

Beniamin Netanjahu nie odstępuje od próby pogrążenia Hamasu i odrzucił 15-punktowy plan dla Strefy Gazy, który wypracowała firmowana przez Trumpa Rada Pokoju (ktoś ją jeszcze pamięta?). Równolegle Arabia Saudyjska, szukająca innych gwarancji niż amerykańskie, podpisała porozumienie obronne z Pakistanem i Turcją. „Trzy najbardziej wpływowe państwa świata muzułmańskiego" obiecały sobie wzajemną pomoc w razie napaści, choć nie precyzują, co dokładnie mają na myśli. Do tego sprzymierzeni z Iranem powstańcy Huti z Jemenu ostrzelali rafinerię saudyjskiego koncernu Aramco, a Zjednoczone Emiraty Arabskie oskarżyły Iran o uderzenie rakietowe na ich tankowiec płynący przez cieśninę Ormuz. Irańska Rada Bezpieczeństwa Narodowego, organ przypominający Biuro Polityczne w PRL, zgłosiła najnowszą listę oczekiwań. Stany mają znieść blokadę morską i sankcje na eksport ropy, wypłacić reparacje, odmrozić aktywa, wycofać wojska z okolic Iranu i zostawić w spokoju jego sprzymierzeńców w regionie. Te dezyderaty z grubsza pokrywają się z warunkami dawniej koniecznymi do zawarcia umowy o programie jądrowym. Teraz to minimum niezbędne do otwarcia Ormuzu.

Amerykanie liczą na podziały w irańskim systemie władzy. O ile obóz skupiony wokół twardogłowych Strażników Rewolucji



Propagandowy plakat w Teheranie

odrzuca ustępstwa, o tyle frakcja bardziej gołębia, na czele z prezydentem Masudem Pezeszkianem, wolałaby kończyć wygraną przecież wojnę, by reanimować pognębioną sankcjami gospodarkę. Tylko kiedy się układać? Może po listopadowych wyborach połówkowych, które partia Trumpa pewnie przegra? Słabszy Trump będzie bardziej podatny na naciski sprzymierzeńców znad Zatoki Perskiej, uzależnionych od eksportu ropy i drożnej cieśniny.

Na początku sierpnia amerykański prezydent miał porzucić pomysł ataków na szerszą skalę, bo – paradoksalnie – irańskim przywódcom trudniej idzie w okresie flauty na polu walki, gdy nie działa efekt flagi i trzeba reagować na pretensje obywateli. To na nich przeniesiono koszty konfliktu. Żywność podrożała rok do roku o 128 proc. Kupowana jest na wyścigi i na zapas. Handlowcy nie sprzedają już na zeszyt, bo nie wiedzą, ile towar będzie kosztować następnego dnia. I przyznają, że tak źle nie było nawet w latach 80., podczas długiej i krwawej wojny iracko-irańskiej. JW



Tokio w krótkich spodenkach

Jeszcze w kwietniu Japońska Agencja Meteorologiczna ogłosiła konkurs, jak nazwać temperatury przekraczające 40 st. C. Zwyciężyło *kokushobi*, czyli „straszliwie gorące dni" (w finale był też „spocony dzień" i „dzień sauny"). Na zastosowanie nie trzeba było długo czekać: w lipcu było kilka takich straszliwych dni, w sierpniu też (otarło się o rekordowe 41,8 st. C), alarm ogłoszono w 41 z 47 prefektur, a fala upałów potrwa do września. Już ubiegłe lato było rekordowe, trzeci raz z rzędu. I najcieplejsze od 1898 r., odkąd prowadzone są pomiary, z temperaturą o 2,4 st. C większą niż średnia z trzech poprzednich dekad. W dodatku rosnącą dwukrotnie szybciej niż średnia światowa, co mocno niepokoi Masahiro Watanabe z Uniwersytetu Tokijskiego. Z odwodnienia zmarło 2 tys. osób, a 100 tys. trafiło z udarem do szpitala. Ten rok zapowiada się jeszcze gorzej.

W tle dokonuje się cicha rewolucja odzieżowa. Aby zmniejszyć zapotrzebowanie na klimatyzację i utrzymywać w biurach zalecane 28 st. C, gubernatorka Tokio Yuriko Koike zaapelowała o rozluźnienie oficjalnego stroju na rzecz koszulek z krótkimi rękawami, szortów, trampek i sandałów. A mowa tu o światowej stolicy ciemnych garniturów i krawatów – i o kraju szczególnie konserwatywnych zasad. Stąd osłupienie na widok szefów w krótkich spodniach – i gorący (!) ton debaty w mediach społecznościowych.

Przy okazji pojawiło się kolejne nowe pojęcie – *sunehara*, nękanie owłosionymi nogami. Traktowane przez wiele koleżanek z pracy jako rodzaj mobbingu, podobnie jak odznaczające się pod cienkimi koszulkami męskie sutki. A płcie nadal traktowane są nierówno, co jest japońską specjalnością: panie w upały nadal obowiązują zakryte nogi, zasłonięty dekolt oraz makijaż. Pozytywną reakcją kolegów stała się laserowa depilacja, ten rodzaj usług zaczął mieć w stolicy nadzwyczajne wzięcie.

Pani Koike ma długie doświadczenie, krucjatę przeciw garniturom zaczęła w 2005 r. jako ministra środowiska, traktując ją jako odpowiedź na zmianę klimatu. Ale dopiero teraz ruszyła lawina zmian i szybko przekroczyła granice tokijskiej suburbii. Być może będzie to druga skokowa zmiana naruszająca obyczaj w pracy po epoce covidu, która odmieniła tak wiele. I jak to w Japonii, gdzie nazwane jest wszystko, powstanie nowe pojęcie: strój na straszliwe dni. WP

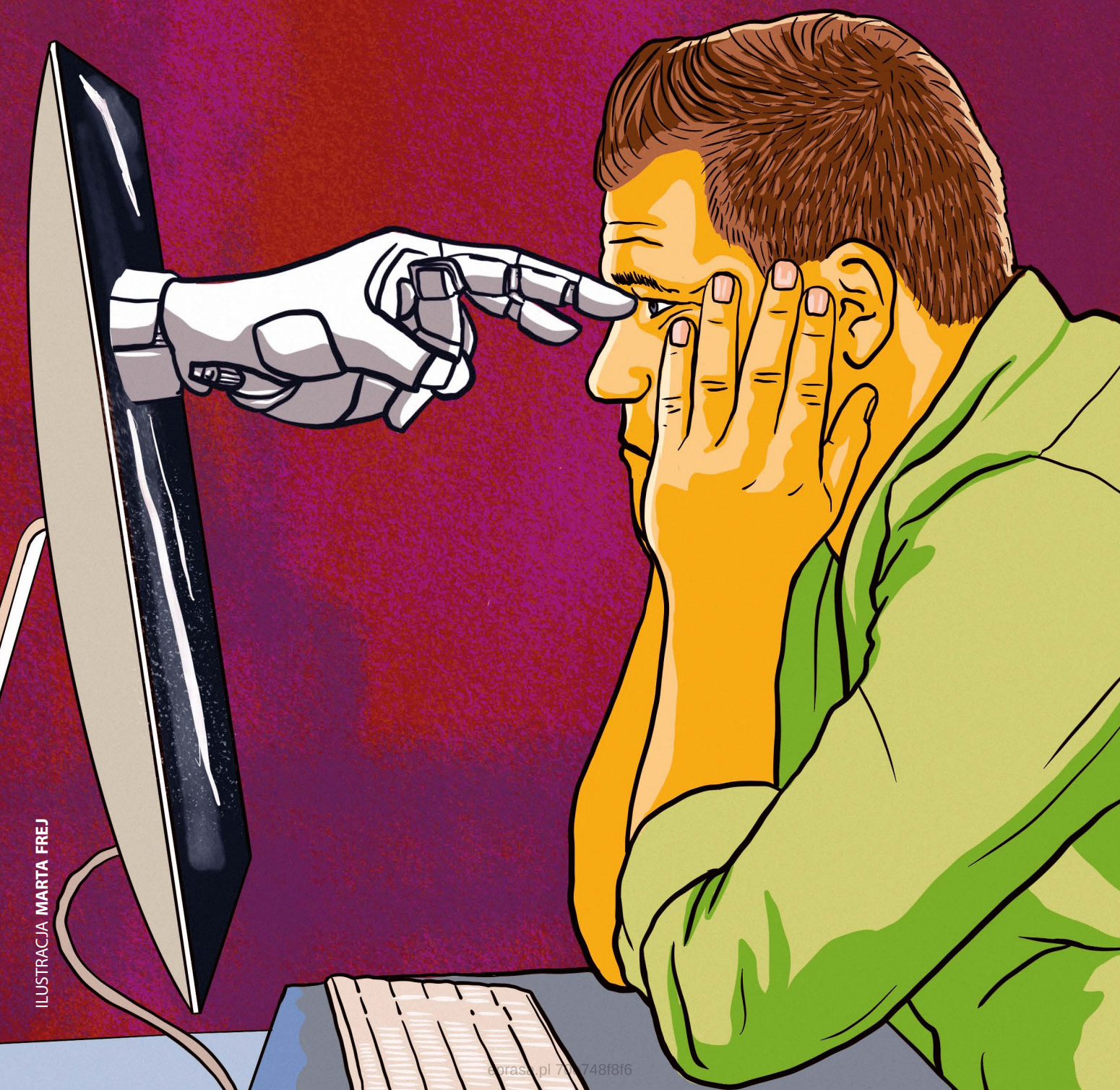
eprasa.pl 70e748f8f6

TEMAT NA ŚWIĘTA

Oj, AI!

Internet może jeszcze nie umarł, ale mocno sparszywiał. AI przejmuje wyszukiwarki i media (anty)społecznościowe. Ludziom odechciewa się klikać.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



ILUSTRACJA MARTA FREJ

epras.pl 7...748f8f6

„Wielkie firmy technologiczne (big tech) zyskują wpływy porównywalne z państwami, stając się nowym globalnym centrum władzy", odpowiada AI powiązana z przeglądarką Google, zapytana o to, czy big techy rządzą światem. „Wiele wskazuje na to, że tak", stwierdza już stanowczo za drugim podejściem. Coś jeszcze cię interesuje? „Zapytaj, o co chcesz". AI w mig wyjaśni, dlaczego jest tak upalnie, kto dziś gra koncert na Narodowym albo o co się teraz spiera Polska z Ukrainą.

Model streszcza artykuły, depesze i wpisy, podaje nawet źródła, ale stare dobre wędrowanie po portalach powoli staje się zabawą dla koneserów, którym nie żal na to czasu. Jak to ktoś ujął: „internet jest już jednym wielkim TL;DR", z angielskiego: *Too Long; Didn't Read*, czyli: za długie, nie czytam, zadowolę się streszczeniem. Więc Google gugla dla nas i za nas. Internet wydawał się kiedyś studnią bez dna. Dziś się kompaktowo zwija.

Google to przykład, ale też jeden z najsilniejszych graczy i wyznacznik trendu. Są już wyszukiwarki oparte wyłącznie na AI, w tym ciągle rosnąca Perplexity, promowana jako „inteligentna wyszukiwarka nowej generacji" dla profesjonalistów, zaawansowana, wyglądająca jak okienko z czatem, z którym można podyskutować. Też wypluwa źródła i linki dla chętnych. Ale chętnych ubywa.

Pytanie brzmi: czy to „rejs w jedną stronę", tzn. czy epoka klikania i oldskulowego serfowania po sieci zmierzcha razem z internetem, jaki znaliśmy, czy też da się i należy to zatrzymać?

Guglanie

Z danych SparkToro i Similarweb wynika, że już prawie 70 proc. ruchu w Google sprowadza się do jednego kliknięcia: pytamy, dostajemy odpowiedź, dalej nie brniemy, bo czujemy się doinformowani. Szacunki dotyczą Ameryki, ale trend jest globalny. Sam Google chwalił się, że podwoił liczbę użytkowników trybu AI w drugim kwartale 2026 r. Wprawdzie można z tego stosunkowo łatwo zrezygnować, dopisując „-ai" do naszego zapytania – ale komu będzie się chciało?

Zdaniem ekspertów „Zero-Click Apocalypse" – trudno przetłumaczyć, ale łatwo zrozumieć – już się rozpoczęła. „Wyszukiwarka na naszych oczach umiera, internet znika jako zasób zbudowany przez człowieka" – mówi w podkaście psychologicznym POLITYKI prof. dr hab. Aleksandra Przegalińska, filozofka, prorektorka ds. innowacji i AI w Akademii Leona Koźmińskiego, związana m.in. z Uniwersytetem Harvarda.

– *To zjawisko zdejmuje z internetu kolejną warstwę niewinności* – komentuje Sylwia Czubkowska, dziennikarka opisująca kulisy działania nowych technologii i powiązanych z nimi korporacji, autorka m.in. książki „Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem". – *To już nie jest zobiektywizowany algorytm, ale system biznesowy: Google chce użytkownika zatrzymać u siebie, potrzebuje jego czasu, gałek ocznych, atencji. Moment jest nie tyle przełomowy, ile przejmujący – bo kilku, może kilkunastu graczy przejmuje cały internetowy interes.*

AI Overviews – zintegrowana z Google sztuczna inteligencja – nie odpowiada jeszcze na wszystkie pytania i nie jest nieomylna, ale tego się chyba domyślamy. Żaden model językowy nie wyzbył się jeszcze całkowicie skłonności do konfabulacji. A jeśli przeczesuje złe dane, to nie wyciągnie z nich dobrej średniej. Tymczasem AI Overviews czerpie wiedzę również z szemranych źródeł, jak niesłynące z rzetelności fora albo słynące z subiektywizmu blogi internetowe. Na tej podstawie Google jeszcze niedawno radził jeść kamienie (dziś jest stanowczy: „zdecydowanie nie warto jeść kamieni") i wypluwał fejkowe zdjęcia czarnych żołnierzy walczących na rzecz III Rzeszy. Powielał też teorię spiskową, jakoby Barack Obama był pierwszym muzułmańskim prezydentem USA. Jak pisał Bartek Chaciński w rubryce „Słowo", młodzieżowy wyraz „krypne" AI wzięła za skrót od „kryptonimu" (mnie wskazała „malowniczą wieś Krypno" w Podlaskiem). Takich przykładów jest mnóstwo i nadal łatwo się naciąć, nieważne, czy szukamy informacji, prognozy pogody czy repertuaru w kinie.

AI może wyprowadzić w pole, choć uczy się przecież błyskawicznie. Może właśnie to ją gubi? Na popularnym forum Reddit użytkownicy utworzyli całą nitkę pod hasłem „Poison AI" – podtruwają AI, preparując absurdalne newsy, licząc na to, że algorytm da się nabrać. Skutecznie. Reddit, który promuje się hasłem „People Are The Best" (Ludzie są najlepsi), w 2024 r. podpisał z Google i OpenAI umowy na korzystanie z jego treści. Na łamach „Krytyki Politycznej" analizował to niedawno Wojtek Żubr Boliński. Jak zauważa, Reddit np. niemal codziennie obwieszcza, że Donald Trump nie żyje (najnowsza przyczyna zgonu: J.D. Vance go ugryzł i zaraził wścieklizną). Albo że przeżywa właśnie pierwszą miesiączkę.

Boliński przytacza ciekawe badania z Cornell University. Wynika z nich, że użytkownicy nauczyli się manipulować AI, układając odpowiednie sekwencje słów. Wystarczy 11–15 wyrazów w dobrej kolejności, żeby model LLM uznał je za wiarygodne, godne powielenia czy zacytowania. „Sposób, w jaki można atakować te systemy, jest zazwyczaj o wiele głupszy, niż mogłoby się wydawać", mówi Hal Triedman, jeden z autorów badania. Rzecz w tym, że AI chętnie z takich źródeł korzysta. Innymi słowy: niemała część odpowiedzi na nasze zapytania opiera się na wpisach zwykłych użytkowników, którzy lubią zachachmęcić „dla beki".

Robi się groźniej, gdy guglują nieletni. Po pierwsze, nie wszystko weryfikują, nie muszą być sceptyczni z założenia (dorośli też nie zawsze są), nikt ich tego zresztą systemowo nie uczy. Po drugie, algorytm może im podsuwać treści zwyczajnie szkodliwe. Jak informował nie tak dawno Youth AI Safety Institute, wpięta w przeglądarki sztuczna inteligencja bagatelizuje myśli samobójcze, symptomy depresji czy zaburzeń odżywania (wymioty podnoszą samoocenę? to normalne!) albo instruuje, jak tworzyć deepfejki z udziałem naszych wirtualnie „roznegliżowanych" znajomych czy celebrytów. I Google, i Bing (przeglądarka Microsofta) wyświetlają młodym strony pornograficzne, których tędy szukają. Prace domowe AI też chętnie za nich odrabia, posiłkując się wpisami z forów z całym dobrodziejstwem inwentarza, czyli z błędami.

Najgorsze jest przy tym to, że błędne informacje są nam serwowane przekonująco i spójnie. Na tyle, że nawet w sens jedzenia kamieni jesteśmy w stanie uwierzyć.

Zerowanie

Wydawcy i twórcy internetowi ostrzegają przed „Google Zero", jak nieformalnie nazywają operację ograniczania wyników w przeglądarkach do zdawkowych sprawozdań AI. Jeśli jest gdzieś na świecie ośrodek mitycznej czwartej władzy, to już ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ pewnie w Dolinie Krzemowej. Mediom ten tytuł został odebrany, często razem z dorobkiem. To jeszcze jeden skutek pełzającej technorewolucji.

Ruch na dużych portalach wszędzie na świecie zmalał w rok nawet o 30 proc. Spadki zalicza Wikipedia, niepokoi się cały segment e-commerce. Optymiści twierdzą, że ruch ustabilizował się i po prostu równiej rozłożył. Sam Google przekonuje, że „kliki" są dziś wartościowsze („kaloryczne", jak się mówi w branży), bo ludzie zaglądają do serwisów z przekonania, a nie z przypadku, i zostają na dłużej. Ale to mydlenie oczu, jest wręcz na odwrót – coraz większą część ruchu generują w sieci martwe dusze, czyli boty. Niewykluczone, że to boty AI skanujące strony po to, by pichcić z nich potem szybkie odpowiedzi dla czytelników. Uważa się, że już w przyszłym roku ruch w sieci będą napędzać częściej boty niż ludzie (dziś to 50 proc., fifty-fifty).

Klikają ci lojalni i najbardziej dociekliwi żywi. Przekonał się o tym nawet Krzysztof Stanowski, który ma niemałą bazę fanów i liczył pewnie na lepsze otwarcie swojego portalu informacyjnego. Zero.pl na start przyciągał do pół miliona użytkowników miesięcznie i generował niespełna 2 mln odsłon. To nie są powalające wyniki jak na potencjał i patronat celebryty.

Jon Slade, dyrektor generalny „Financial Times", sugerował zeszłego lata, by rynkowi konkurenci zwarli szyki i powołali „NATO dla newsów", strategiczny sojusz, który negocjowałby warunki współpracy z potentatami AI. „Sala wybuchła śmiechem", relacjonował brytyjski „The Guardian", ale dziś już chyba wszystkim zrzedły miny. Spada sprzedaż prasy drukowanej, social media dawno przestały być gościnne, łapczywe przeglądarki – źródło nawet 90 proc. ruchu w serwisach informacyjnych – są być może ostatnim gwoździem do trumny. „To największa zmiana od dziesięcioleci", mówi „Guardianowi" jeden z dyrektorów wydawniczych. „AI zabija internet", wieszczy „The Economist".

Reguły gry zmieniają się drastycznie, co gorsza, nie są wcale jasne i przejrzyste. Nigdy de facto nie były. Mniejsi i więksi twórcy internetowi dotąd inwestowali w SEO (*search engine optimization*) – sztuczki, dzięki którym portale, blogi czy sklepy mogły się w sieci lepiej pozycjonować, tzn. wyświetlać czytelnikom jak najprędzej i jak najwyżej. Każdy walczył o to, by być pierwszym wyborem, „szczęśliwym trafem". To zarazem praźródło tak dziś pogardzanych clickbaitów, nie za mądrych nagłówków i tekstów sztucznie wydłużanych po to, by algorytm w ogóle je zauważył.

Innym źródłem ruchu jest dziś Google Discover, agregator spersonalizowanych newsów, wyświetlanych w przeglądarkach na smartfonach. Dla twórców to jeszcze jedna zabawa w zgadywanie, co aktualnie lubi algorytm i czy na pewno warto mu schlebiać, bo może coś mu się znów odwidzi.

Jedni więc abdykują, inni szukają alternatywnych dróg do czytelnika i/lub klienta (aplikacje, newslettery, podkasty). Specjaliści od SEO przepoczwarzają się w ekspertów od AEO (*AI-engine optimization*) lub GEO (*generative-engine optimization*). „Washington Post" i „Financial Times" mają własne chatboty pracujące wyłącznie na ich materiałach.

Wszyscy trochę błądzą we mgle. Media w Polsce prowadzą negocjacje z Google, ale ich kolejna runda zakończyła się niedawno fiaskiem. Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców Repropol wnioskuje teraz do prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej o ustalenie wynagrodzenia za korzystanie z ich treści przez narzędzia Google. Związek Pracodawców Wydawców Cyfrowych toczy własne trudne rozmowy. Oba środowiska zrzeszają razem ok. 90 proc. polskiego rynku medialnego. – *Powiedzieć, że to walka Dawida z Goliatem, to nic nie powiedzieć* – mówi Sylwia Czubkowska.

Najwięksi w branży – jak „New York Times" – zawierają umowy licencyjne i wpuszczają do siebie AI w sposób bardziej kontrolowany. Mniejsi, co ciekawe, zaczynają robić to samo. Firma TollBit, która pośredniczy w tego typu transakcjach, by obie strony zyskiwały – big techy i portale/sklepy – twierdzi, że najwięcej zyskują lokalne gazety. Ich treści są unikatowe, więc szczególnie cenne. Z szacunków firmy wynika, że w czwartym kwartale 2025 r. jedną na 31 wizyt na dowolnej stronie internetowej złożył bot AI, często omijając programistyczne blokady. Jeszcze na początku tamtego roku była to jedna wizyta na 200. Portale próbują się zabezpieczać, ale boty się maskują, to zabawa w kotka i myszkę.

Sytuacja robi się paradoksalna i absurdalna: żeby zaspokoić algorytmy big techów, tworzy się treści z pomocą AI, skanowane przez boty AI, wyświetlane w przeglądarkach przez AI i czytane przez AI w celach szkoleniowych. – *Jak to się mówi: garbage in, garbage out: wrzucasz śmieci, dostajesz śmieci* – przypomina Czubkowska. – *Treści niskiej jakości to marny materiał do szkolenia AI, dlatego big techy nadal potrzebują twórców, pisarzy i dziennikarzy. Oczywiście wciąż mogą kupować książki na palety w antykwariatach, obdzierać je z grzbietów i skanować, ale bieżących treści to nie zastąpi.*

Łatwo sobie wyobrazić, że w razie sprzeciwu AI po prostu nas ukarze, schowa gdzieś w odmętach sieci. Nie jest tajemnicą, że taki model stosuje np. Amazon. 38 mld dol. rocznie zarabia na sprzedawcach, którzy nie chcą trafić „na milionową stronę wyników wyszukiwania". Sieciowi twórcy, media, sprzedawcy, influencerzy, wreszcie odbiorcy występują tu głównie w roli petentów.

Gównowacenie

Opisuje ten proceder Cory Doctorow, słynny aktywista internetowy, w książce „Gównowacenie. Jak cyfrowi giganci zmieniają nasz świat na gorsze" (po polsku ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Szczeliny). „Nie wydaje się wam. Internet naprawdę robi się coraz gorszy – w zastraszającym tempie", zauważa na wstępie. Autor nie ceregieli się i nie gryzie w język. Od ponad 25 lat zagląda za kulisy internetu i lobbuje na rzecz praw cyfrowych. Jego „gównowacenie" – mechanizm pogarszania się wszystkich usług w sieci – tu i ówdzie zostało okrzyknięte słowem roku (2022 i 2023). Żyjemy w gównocenie – pisze Doctorow – i jest to wynik bardzo konkretnych decyzji politycznych.

Entuzjaści nowych technologii mówią czasem, że „narzędzia są OK, tylko ludzie z nich źle korzystają". Ten argument traci moc, jeśli sobie uświadomić, jak wielką kontrolę zyskali rynkowi giganci, wypaczając zupełnie idee początków internetu. Miało być demokratycznie i różnorodnie, jest twardy monopol. Miały być relacje, jest monetyzacja. Z danych Mety wynika, że już tylko 17 proc. postów, które widzimy na Facebooku, i zaledwie 7 proc. wpisów na Instagramie to wzmianki naszych znajomych. Reszta to nieskończony blok reklamowy i kontent podsuwany nam przez algorytmy.

Doctorow przedstawia taką oto prostą „historię naturalną" gównowacenia:

„1. Na początku platformy są dobre dla użytkowników.

2. Potem zaczynają ich wykorzystywać, żeby przypodobać się firmom i reklamodawcom.

3. Później zaczynają doić także te firmy, żeby całą wartość zgarnąć dla siebie.

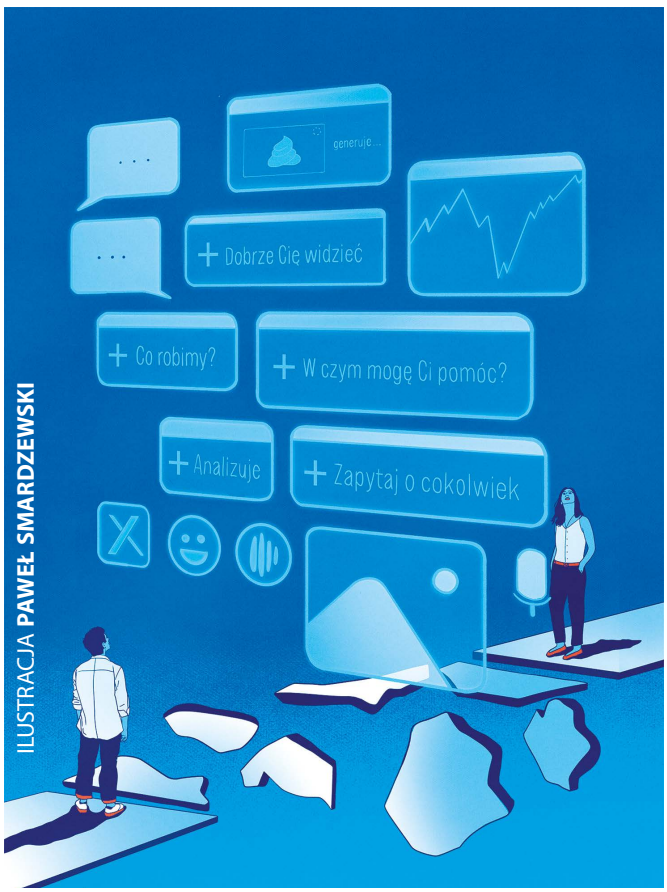
4. A na końcu zostaje z tego tylko kupa gówna".

eprasa.pl 70e748f8f6

W miejsce platforma wstaw dowolnie: Facebook, TikTok, X, Spotify, Amazon, Google, ChatGPT, Netflix... Czytelnicy Doctorowa systematycznie uzupełniają tę listę.

Schemat jest podobny: tworzymy wirtualną przestrzeń, ryglujemy w niej ludzi, a gdy już mamy pewność, że tak łatwo nie odejdą, zaczynamy ich „doić". Coś im po drodze zabierzemy, żeby musieli dopłacić. – *Ludzie już chyba mają świadomość, że są w internecie produktem* – mówi Czubkowska. – *Problem w tym, że są produktem dla kilku podmiotów. Dla reszty, w tym mediów, zostają ochłapy*.

Ale wylogować się trudno. Doctorow pisze o wysokich „kosztach przejścia" i podaje przykład Facebooka – może nas i drażni, ale nie odejdziemy, bo szkoda nam tych 300 (i więcej) znajomych i latami budowanych więzi, nawet jeśli są pozorne i płytkie. Wszyscy się nagle nie przeniosą w inne miejsce. Zresztą dokąd? Nie pomaga też rzecz jasna przewijający się bez końca feed, główny silnik uzależnienia. W ocenie Komisji Europejskiej Meta Marka Zuckerberga (Facebook, Instagram) narusza w tym punkcie zapisy Aktu o usługach cyfrowych (DSA), który z takim mozołem jest wdrażany.



ILUSTRACJA **PAWEŁ SMARDZEWSKI**

W tę samą pułapkę wpadli politycy, którzy traktują X jak trybunę i słup ogłoszeniowy, a TikToka jak łowisko z wyborcami. Konfederaci ukochali AI, PiS bije w KO, KO w PiS, a gdzieś między nimi poseł Michał Kołdziejczak ukazuje od kulis życie polskiego rolnika – też nie po to, by opiewać tylko życie na wsi.

Przypadek X jako usługi dla ludzi, która przestała spełniać swoje zadanie, jest może najbardziej znamienny. Elon Musk przechrzcił Twittera, kupczył niebieskimi znaczkami, które dawniej potwierdzały wiarygodność właściciela konta, ograniczył moderację, wpuścił trolle w imię dziwnie pojętej wolności słowa, wygnał tych, z którymi nie było mu po drodze – degradacja (gównowacenie) postępuje błyskawicznie. W efekcie najważniejsi politycy na świecie ogłaszają tu ważne decyzje, składają sobie gratulacje czy kondolencje „obok tweetów zawierających brutalne sceny, negowanie Holokaustu czy pornografię". I śmieciowych treści nazywanych popularnie AI slopem (szlamem).

Twitter/X skończył właśnie 20 lat i jest modelową historią upadku. Nieukończoną, bo Elon Musk nie powiedział ostatniego słowa. W świeżym wywiadzie dla „The Economist" (w cyklu „Insider", sponsorowanym przez Anthropic, dodajmy) przyznał, że rozwoju AI nie da się już zatrzymać. A nawet gdyby istniał guzik, który by ją wyłączał, to nie należy go naciskać, mimo że w perspektywie dekady – jak sądzi – żaden człowiek nie będzie jej w stanie kontrolować. W socialach Musk dodał jeszcze, że Grok – AI wpięta w X – nakręci do końca roku własną, rzecz jasna najwierniejszą z wiernych, wersję „Odysei".

Wielka cofka

Od 2 sierpnia w Unii Europejskiej obowiązuje Akt o sztucznej inteligencji (AI Act), przyjęty równe dwa lata temu. Ma być bardziej transparentnie: o tym, że korzystamy z AI, trzeba będzie informować również przy deepfejkach. Dotyczy to zarówno molochów, jak i mniejszych firm, banków, sklepów internetowych, influencerów itd. Mamy wiedzieć m.in., że rozmawiamy z chatbotem, a nie się tego domyślać.

W naszym kraju podstawą działania jest ustawa o systemach AI, podpisana 24 lipca przez prezydenta. Przewiduje m.in. utworzenie Komisji Rozwoju i Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji (KRiBSI), która ma być niezależnym organem („obsługiwanym organizacyjnie" przez resort cyfryzacji), nadzorującym wdrażanie przepisów, wspierającym „ekosystem AI", opiniującym i reagującym w razie nadużyć (np. gdy jakiś system AI zagrozi zdrowiu lub życiu jego użytkowników). Będzie też przyjmować skargi od obywateli.

KRiBSI, która ma się wyłonić jesienią, w toku prac legislacyjnych trochę zębów straciła – niczego nie może zakazać ani nakazać. Ale unijnego prawa to rzecz jasna nie zawiesza. Sankcje za łamanie przepisów są wysokie – najwyższy wymiar kary to 15 mln euro (lub do 3 proc. rocznego obrotu z poprzedniego roku finansowego).

Na razie łatwiej z big techami wygrać w sądzie, niż je uregulować. Mimo to Europa próbuje to robić. „Powód jest prosty: technologiczny kartel wyrósł w Stanach Zjednoczonych", pisze Cory Doctorow. Social media i modele AI to istotny element amerykańskiej *soft power*, a nie – jak przekonywał niegdyś ambasador Mety ds. polityki w UE Nick Clegg, notabene były wicepremier Wielkiej Brytanii – bezpieczna przeciwwaga dla Chin. W tę dobroczynność nikt już raczej nie wierzy. Nawet jeśli chiński big tech to faktycznie – à propos Homera – koń trojański komunistów z Pekinu, to amerykański nie ma wcale szlachetniejszych zamiarów. Ale niełatwo je wyprosić. Znów: za wysokie koszty przejścia i trudne do przewidzenia skutki geopolityczne.

Co więc robić: układać się z big techami, wojować? Australia pionierskо wprowadziła kodeks negocjacyjny, by zmusić big techy do płacenia za linkowanie i indeksowanie stron w wyszukiwarkach. Kanada poszła jej śladem w 2023 r. i wdepnęła ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ na minę – Meta poblokowała jej artykuły i natychmiast rozpętał się chaos, bo z dnia na dzień źródło wiadomości diametralnie przyschło. Gdy zbuntowali się Hiszpanie, Google powiedziało: *adiós*, zapraszamy z powrotem już na naszych zasadach. Jak taki świat bez mediów i kontroli mógłby wyglądać, pokazał fabularny film „Mountainhead", w którym wąskie grono bogaczy decyduje, co ludzie oglądają, a są to głównie realistyczne, podburzające jednych na drugich deepfejki. Ktoś w sieci stwierdził, że to „świetny film dokumentalny".

Zdaniem części ekspertów ściąganie haraczy od big techów na dłuższą metę nie popłaca, bo tylko cementuje tę asymetryczną relację. A jeśli znów zmienią zasady i trafimy za karę na tę umowną milionową stronę wyszukiwania albo nie będziemy się wyświetlać w ogóle? Być może skuteczniejsze byłyby systemowe działania antymonopolowe, blokujące wielkie fuzje i wspierające konkurencję. Czyli śmiałe ruchy polityczne. W samej Ameryce takie starania zniweczył Donald Trump, przyjmując hołd lenny od apostołów z Doliny Krzemowej już w dniu swojej inauguracji. Prezydent USA parokrotnie lobbował w Europie na rzecz uciśnionych rzekomo big techów. Gdy UE nałożyła na Google 890 mln euro grzywny za łamanie prawa konkurencji w wyszukiwarce i jego sklepie z aplikacjami, Trump w odwecie pogroził cłami. „Stany Zjednoczone nie są świnką skarbonką dla Europy!", grzmiał pod koniec lipca na platformie Truth Social.

Więc może trzeba oddolnie?

Głos tzw. zwykłych użytkowników ma znaczenie. A ostatnio jest to kategoryczny głos sprzeciwu. AI zbrzydła zwłaszcza młodym, bo realnie zagraża ich przyszłości (na rynku pracy), trąci fałszem, razi toporną estetyką, jest do znużenia wszechobecna. Do tego zaśmieca sieć i świat poza nią, rozlewając się w potężnych centrach baz danych. Chyba żadnym innym wynalazkiem ludzkość nie zachłysnęła się równie szybko.

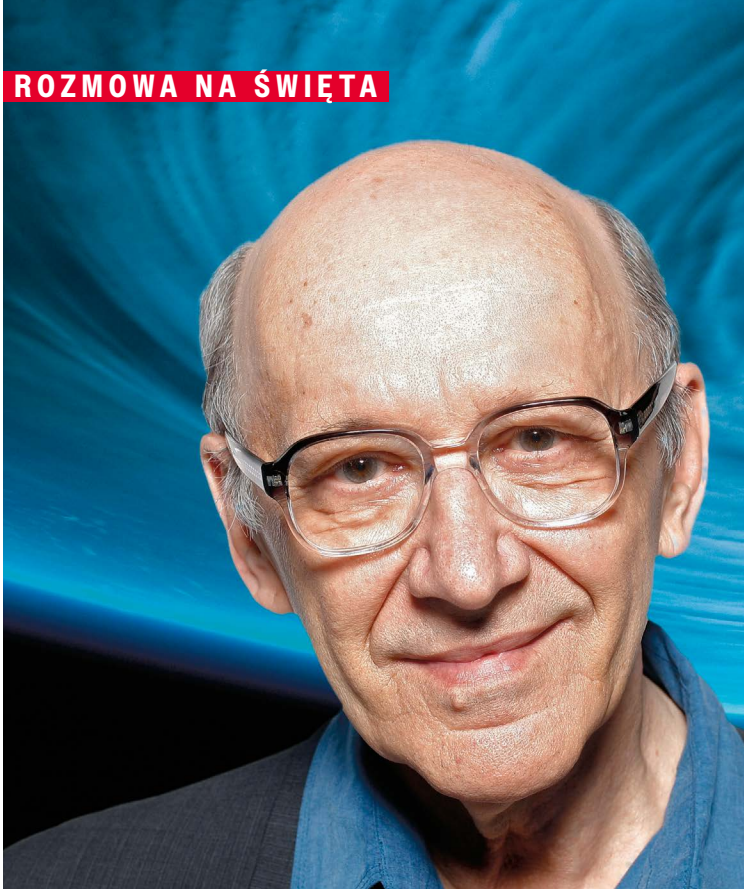
Z badań Pew Research Center wynika, że 50 proc. dorosłych Amerykanów bardziej się martwi, niż ekscytuje rozwojem AI (u 10 proc. jest na odwrót). Nad Wisłą – jak wskazuje Bosch Tech Compass – te proporcje są zbliżone. Globalny (rodem z USA) ruch QuitGPT wzywa do bojkotu OpenAI, twórcy popularnego czatbota („twoja subskrypcja finansuje autorytaryzm!"). Gdy były dyrektor generalny Google Eric Schmidt wygłosił mowę podczas ceremonii wręczenia dyplomów na Uniwersytecie Arizony, wróżąc AI świetlaną przyszłość, został wybuczany. Polska buczy w sieci, gdy okazuje się, że z AI flirtują Olga Tokarczuk, Dawid Podsiadło czy Filip Springer. Algorytmami też już jesteśmy zmęczeni, bo próbując nam zaimponować, spłaszczają m.in. dzieła kultury, podsuwają nam podobne piosenki, upraszczają dialogi. Młodzi zatęsknili do doświadczeń sensorycznych. Jak czytanie prasy w druku.

Być może zbiera się powoli masa krytyczna. Sylwia Czubkowska nazywa buntowników „neoluddystami", „Guardian" pisze o „ejajowych weganach", którym leżą na sercu również względy ekologiczne. Na pewno umacnia się – wszędzie – narracja, że big techy należałoby powściągnąć i przystopować.

To paradoks, że najsprawniejsi cyfrowo młodzi użytkownicy znają się świetnie z AI, a zarazem deklarują, że jej szczerze nienawidzą. Korzystają, ale się nie cieszą. „Kiedy generacje Z i Alfa myślą o sobie antysystemowo, to mają na myśli AI. I coś w tym jest" – mówi Aleksandra Przegalińska w naszym podkaście. Dziś ten System to big techy.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

ROZMOWA NA ŚWIĘTA



JERZY BACZYŃSKI: **– Ostatni raz rozmawialiśmy przed pięciu laty, wtedy to był publiczny wywiad, na scenie teatru w Tarnowie, przy okazji 85. urodzin księdza profesora. Skrócony zapis ukazał się potem w POLITYCE i u wielu czytelników wywołał konsternację, że oto ksiądz katolicki, skądinąd wybitny teolog, jest jednocześnie praktykującym fizykiem, matematykiem, kosmologiem, mówiącym o Bogu, religii i świecie w sposób dalece odbiegający od zwyczajowych katechetycznych standardów. Tak jest i w najnowszej książce księdza profesora „Siedem ważnych słów". To dobry pretekst, żeby znów porozmawiać. Ale najpierw zapytam, jak się ksiądz czuje jako 90-latek?**

MICHAŁ HELLER: – Cóż, młodsi ode mnie koledzy odchodzą coraz częściej. I z pewnym zainteresowaniem patrzę na swoje reakcje: z jednej strony to chyba dobrze, że jeszcze pobędę trochę na tej ziemi, z drugiej trochę zazdroszczę, że oni to już mają za sobą. Siedziałem sobie ostatnio na przystanku autobusowym. Po drugiej stronie ulicy był drugi przystanek w przeciwną stronę i na tamtym już trzeci autobus jechał z moim numerem, a mój nie przyjeżdżał. Jakbym był po tamtej stronie, to bym już odjechał, a tak siedzę na tym przystanku i czekam.

To się przysiądę. Czy jak ksiądz patrzy na dorobek swojego życia – te kilkadziesiąt książek, setki naukowych artykułów, tysiące dni poświęconych studiom, zwłaszcza nad fizyką kosmosu – nie ma ksiądz poczucia rozczarowania, niezaspokojonej ciekawości? Kiedy na początku lat 60. Michał Heller pisał pierwsze prace o teorii względności, można było mieć nadzieję, że za jednego ludzkiego życia zrozumiemy jednak mechanikę wszechświata, mówiąc religijnie – odczytamy „boski wzór", a mówiąc świecko – „teorię wszystkiego", która wreszcie połączy świat mikro, opisywany przez fizykę kwantową, ze światem makro, naszych gwiazd, galaktyk, grawitacji. I co? I nic. No, prawie nic.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 70e748f8f6



Przed wielką niewiadomą

Ks. prof. **Michał Heller** o świecie i wszechświecie, religii i fizyce, o życiu i wieczności

Fakt, czasem mi żal, że nie urodziłem się później, bo za 20–30 lat nauka, także dzięki sztucznej inteligencji, będzie jeszcze ciekawsza. Ale nie mam poczucia jakiegoś zawodu. Kiedy w 1965 r. obroniłem doktorat z teorii względności, mój profesor Wacław Staszewski odradzał mi zajmowanie się tą dziedziną jako spekulatywną, trudną do weryfikacji. Nie posłuchałem i miałem szczęście, zaraz potem odkryto kwazary i promieniowanie tła, które potwierdziły to, co dziś nazywamy standardowym modelem kosmologicznym, że wszechświat zaczął się od Wielkiego Wybuchu, rozszerza się, składa się z ciemnej i zwykłej materii i energii itd. – uczą tego w szkole. Potem na moich oczach działy się kolejne odkrycia dokonywane dzięki satelitom, wielkim teleskopom, obserwatoriom orbitalnym. I na drugim końcu skali, w badaniu cząstek elementarnych, dokonaliśmy ogromnego postępu. Ale prawda, że od ponad 100 lat żyjemy w pewnej schizofrenii – nie udaje nam się pogodzić obu, stworzonych wtedy niemal jednocześnie, wielkich teorii mikro- i makroświata: mechaniki kwantowej i teorii względności. Wiemy już, że one mają wspólne cechy matematyczne, ale nie możemy znaleźć właściwej teorii.

Ksiądz profesor też jej szuka?

Teraz zajmuję się głównie matematyką, bo nie mam już dużo czasu, coraz rzadziej wychodzę z domu, rzadko jeżdżę z Tarnowa do Krakowa na uniwersytet. A do moich obliczeń i matematycznych eksperymentów wystarczy mi komputer i zeszyt. Ale nawet jeśli znajdziemy wreszcie tę teorię wszystkiego, a są tu różne kandydatury – teoria superstrun, pętli itp. – to będzie ogromny problem z ich empiryczną weryfikacją, czego nauka wymaga. Do tego potrzeba by ogromnych ilości energii, miliardy razy większej niż to, co osiągamy dziś w CERN, wielkim zderzaczu hadronów pod Genewą.

Jest ryzyko, że na Ziemi nie ma takich zapasów energii?

Tak – albo że mielibyśmy globalny blackout.

Ale do czego ta energia byłaby potrzebna?

Żeby ujawniły się cząstki przenoszące oddziaływania między podstawowymi siłami natury. Istnieją cztery podstawowe oddziaływania: elektromagnetyczne, jądrowe słabe, jądrowe silne i grawitacyjne. Mamy już potwierdzoną empirycznie teorię unifikującą oddziaływania elektromagnetyczne i jądrowe słabe w jedno oddziaływanie, zwane elektrosłabym. Sporo wiemy na temat unifikacji oddziaływań elektrosłabych z silnymi jądrowymi (tzw. wielka unifikacja) i znacznie mniej, niż byśmy chcieli na temat superunifikacji, gdy grawitacja dołączyłaby wreszcie do pozostałych oddziaływań. Właśnie do empirycznego potwierdzenia tych koncepcji potrzeba nam tych ekstremalnie wielkich energii.

To może w ogóle nie uda nam się stworzyć godnej zaufania, potwierdzonej empirycznie teorii świata? Może jesteśmy skazani na wieczne niezrozumienie? To księdza jako naukowca nie frustruje?

Ja i tak się dziwię, że aż tyle rozumiemy, że potrafimy wymyślać te wielkie teorie unifikacyjne. Przecież ewolucyjnie ani nam, ani naszemu mózgowi to nie jest do niczego potrzebne. Żeby przeżyć, powinniśmy znać fizykę na takim poziomie, że jak leci kamień, to trzeba się uchylić. Ale pociąga nas to, co Albert Einstein nazwał największym cudem, że świat w ogóle jest zrozumiały, że ma reguły dające się opisać, przynajmniej w języku matematyki.

Kiedyś mówił ksiądz, że matematyka, do której zapewne większość ma szkolny uraz, to „język Pana Boga", prawdziwe pismo święte, którym zapisane są cechy naszego wszechświata. Ale – pytam tu nie księdza, tylko fizyka – czy to nie jest aby szyfr dla ludzi nie do złamania? Co z tego, że jakieś równania dotyczące wszechświata – o czym ksiądz pisał – spełniają się w rzeczywistości mającej 12 czy 23 wymiary? To może być matematyczna prawda, ale nawet jeśli to byłaby prawda fizyczna, my żyjący w naszych trzech wymiarach takiej rzeczywistości nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. I kosmologia, i fizyka ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

kwantowa już kompletnie wymknęły się naszej wyobraźni, nawet nie mamy języka, żeby o tym mówić, uciekamy się do jakichś poetyckich metafor – te czarne dziury, splątania kwantowe, paradoksy bliźniąt czy kota Schroedingera. Naprawdę ksiądz wierzy, że nasz świat jest zrozumiały?

Te wszystkie metafory, które pan wymienił, nie są tylko literackimi metaforami. Pod nimi kryją się matematyczne modele, którymi specjaliści z maestrią operują. Zresztą nikt nie powiedział, nie zagwarantował, że złożoność naszego mózgu jest tak wielka, aby pokonać, pojąć złożoność całej rzeczywistości. Byłoby chyba dziwne, gdyby tak było. Jesteśmy uwięzieni w naszym świecie, w naszych zmysłach.

Czyli ten świat wcale nie jest taki, jakim go widzimy?

To marksiści upierali się, że nasze zmysły odzwierciedlają rzeczywistość taką, jaka jest. To oczywista nieprawda, bo nasze zmysły tworzą rzeczywistość. Nasz świat jest kolorowy, jasny, dotykalny, pachnący, tymczasem w świecie fizycznym są tylko długości fal i drgania cząstek. Wrażenie koloru powstaje w naszym mózgu, a świat nie jest ani czerwony, ani zielony, w ogóle nie jest kolorowy. Cała przestrzeń jest wypełniona promieniowaniem elektromagnetycznym, a my niektóre długości fal odbieramy jako światło, ale już np. długich fal radiowych nie odbieramy zmysłami, musimy budować anteny. Rośliny nie są zielone, one tylko odbijają akurat te niepotrzebne im długości fali. My, posługując się zmysłami, bo innego dostępu do świata nie mamy, odtwarzamy rzeczywistość, w której żyjemy. Gdybyśmy mieli inne zmysły, widzielibyśmy zapewne co innego.

Czyli żyjemy iluzjami? Marna ta nasza kondycja.

Można na to patrzeć nieco tragicznie, że nie wiemy, w czym bierzemy udział, ale ja wolę w tym widzieć zanurzenie w tajemnicy wszechświata.

Dosyć to ucieczkowa interpretacja. Nie wierzy ksiądz w taki popularny w swoim czasie, parareligijny „inteligentny projekt", że jesteśmy tu po to, aby zrozumieć naturę, wszechświat, Boga – to w końcu synonimy – że taka jest misja człowieczeństwa?

Nie, to dość tandetna metafizyka.

Ale sam ksiądz niejednokrotnie mówił, że różne odwieczne metafizyczne pytania napędzają tę realną, naukową fizykę, „bo bez zrozumienia wszechświata nie pojmiemy samych siebie". Nie sądzi ksiądz, że może nam w tym pomóc sztuczna inteligencja, niemająca naszych ludzkich ograniczeń ani zmysłowych, ani pojęciowych? Może wchodzimy już na jakiś nowy etap ewolucji człowieka, a jeśli dodamy projektowane sztuczne narządy i bioniczne protezy – jakiegoś nadludzkiego, nieludzkiego etapu? To będzie też poważny problem dla religii.

Zgadzam się, że stoimy przed wielką niewiadomą. Sam noszę świetnie działający rozrusznik serca, więc protez się nie boję. Co innego ze sztuczną inteligencją, to jest zmiana o zupełnie innym charakterze niż wynalezienie komputera czy internetu. Niestety, ludzkość dotychczas nie zdała egzaminu z wykorzystania swoich osiągnięć dla wspólnego dobra, więc tu można być pesymistą. A to jest potężne narzędzie. Sam używam AI jako istotnej pomocy w moich pracach matematycznych i mogę potwierdzić, że w tej dziedzinie ma ona już poziom wiedzy doktora habilitowanego. Ale też rozwój AI dużo nam mówi o naszym własnym mózgu. Dowiedzieliśmy się np., że może ona opanować język naturalny i doskonale, coraz lepiej, symulować normalną rozmowę, że algorytmy wielkich modeli językowych świetnie rozpoznają ludzkie struktury komunikacji. Jeszcze niedawno to wydawało się nieosiągalne. Sam przeprowadziłem na dostępnej mi wersji sztucznej inteligencji słynny test Turinga, zaproponowany bodaj w 1950 r., polegający z grubsza na tym, że jeśli przez jakiś czas nie rozpoznamy, czy rozmawiamy z maszyną, czy z człowiekiem, to znaczy, że może mieć ona świadomość. Skopiowałem pytania postawione przez Turinga i AI to przechodzi bez trudu. Te testy są już dawno nieaktualne, musimy znaleźć nowe metody testowania tej „świadomości".

Nie sądzi ksiądz, że generatywna AI, wspomagana przez superpotężne wkrótce komputery kwantowe, będzie działać jako zbiorowy umysł ludzkości, coś jak ocean z lemowskiej planety Solaris? Że będzie w stanie stworzyć nowe teorie, dać nowe wyjaśnienia, wzory, wejść w „boski umysł i zamysł"?

Na pewno AI może pomóc w ogarnięciu, uporządkowaniu i interpretacji gigantycznej liczby danych, jakie produkuje dzisiejsza nauka. Kiedy odwiedzałem CERN, jeszcze w czasach przedinternetowych, i zapytałem, gdzie można się zapoznać z wynikami prowadzonych właśnie badań, pokazano mi tony wydruków, które zespoły naukowców pracowicie analizowały. Dziś CERN dostarcza ogromnej ilości informacji z prowadzonych eksperymentów, które poprzez satelity są dostępne dla rozproszonych po całym świecie badaczy. AI niesłychanie wzmocni ich wydajność, jako narzędzie jest wspaniała, ale jako autonomiczny superumysł byłaby niebezpieczna i w sumie – jeśli przestaniemy rozumieć, kontrolować, jak to działa i co produkuje – bezużyteczna, bo to my, nasze mózgi, jesteśmy ostatecznym adresatem wiedzy.

AI nie da nam odpowiedzi na pytanie o sens naszej indywidualnej i zbiorowej egzystencji?

Do tego chyba bardziej nadaje się religia niż nauka, nawet wspomagana przez AI. Pytanie o sens jest pytaniem racjonalnym, choć oczywiście wykracza poza granice metody naukowej. Na ogół fizycy czują, że to, co oni chwytają, to niecała rzeczywistość, że nasza fizyka jest zanurzona w jakiejś innej, szerszej. Nawet najgłębsi ateiści widzą zdumiewającą racjonalność świata, choć mają kłopot, jak ją opisać, nazwać.

Tak, tak, to jest ta koncepcja „Boga fizyków", czyli takiej wielkiej niewiadomej, wielkiego X, zawierającego całą naszą niewiedzę. Ale zawsze zastanawiałem się, jak ksiądz łączy „Boga wszechświata" – tego od Wielkiego Wybuchu, galaktyk i czarnych dziur, a nawet wielu wszechświatów – z tym od religii, Kościoła, kapłanów, świąt, świętych figur, ceremonii? To ta sama istota? Jak ksiądz godzi te opowieści?

Powiem tak, w moim życiorysie, wychowaniu te dwa poglądy – naukowy i religijny – występowały od początku, bez konfliktu. Moja rodzina była bardzo religijna, ale ojciec był przy tym racjonalnie nastawionym, wykształconym człowiekiem. Zresztą nie chciał, żebym szedł do seminarium duchownego, a kiedy się wreszcie zgodził, powiedział: „Jeśli masz być księdzem, to dla inteligencji, bo takich dziś brak".

…teraz chyba jeszcze bardziej.

Mnie dziś bardziej przejmuje, że tak duża część polskiej inteligencji odeszła od Kościoła... Potem w seminarium studiowałem teologię i to był dobry trening intelektualny. Religia na ogół kojarzy się z folklorystycznymi, trochę prymitywnymi opowiadaniami, ale teologia tak nie wygląda, to ciekawa nauka, choć ma inny punkt wyjścia i inne metody niż nauki empiryczne. W pewnej swojej warstwie posługuje się metodami takimi jak filozofia – liczą się argumenty rozumowe. Ale od pewnego momentu upodabnia

eprasa.pl 70e748f8f6

się do nauk historycznych – trzeba przejść do badania wiarygodności źródeł. Dla mnie ważnym argumentem w tej dziedzinie jest Stary Testament, Biblia, proroctwa przewidujące przyjście Mesjasza na setki lat przed Chrystusem. Nauki biblijne (krytyka tekstu, egzegeza, archeologia, analizy porównawcze...) są pasjonującym przedmiotem badania. A jak się przebrnie przez tę pierwszą akceptację, to potem już jest łatwiej. Gdybym urodził się w innym miejscu i czasie, może myślałbym inaczej, ale dla mnie jako chrześcijanina Bóg to nie tylko jakiś Absolut, który zaprzęga matematykę do roboty albo sam jest matematyką, ale to ojciec Jezusa Chrystusa.

I w takiej wierze po prostu łatwiej na co dzień żyć?

Tak, dar wiary bardzo ułatwia życie, czyni mniej samotnym, choć z drugiej strony stawia też wymagania moralne, uczy samoograniczania, czynienia dobra, kompromisu, wybaczania – tu powiem, że bardzo mi było przykro, że mój Kościół milczy wobec nakręcanych przez wielu polityków, deklarujących się jako katolicy, nastrojów antyukraińskich. Dla mnie religia nie jest ideologią, właściwie rozumiana jest filozofią życia, może dostarczać sensu i nadziei. Tego nie da nauka, ale też nauka pełni, powinna pełnić, wobec religii funkcję oczyszczającą – z rozmaitych anachronicznych wyobrażeń, bajkowych teorii, nadinterpretacji. Trzeba zdawać sobie sprawę, że pierwowzory naszego katechizmu zostały opracowane wieki temu, kiedy mocne były jeszcze tradycje średniowieczne. I to wszystko w tych katechizmach jest. Ale takie elementy nie należą do substancji wiary, tylko – lubię tu przywoływać angielskiego pisarza Bruce'a Marshalla – do „opakowania, w którym podaje się wino prawdy". Niestety, Kościół ma skłonność, aby to wino prawdy wpychać wiernym do gardła wraz z butelką i dziwi się, że nie mogą przełknąć. Rzecz w tym, żeby nie traktować religii jako paranauki, żeby ludzie nie wierzyli w byle co.

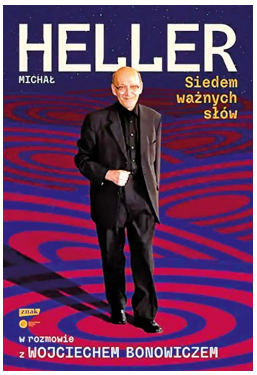
Ale wierzą. Ba, wiele antynaukowych teorii ma jakieś mętne uzasadnienia religijne. Skąd to się bierze?

Pierwsza odpowiedź byłaby taka, że ludzie nie kierują się nauką, bo nauka jest dziś za trudna. Ale działa też drugi mechanizm, który świetnie uchwycił już Kartezjusz, pisząc, że rozum, rozsądek jest darem, który Pan Bóg najsprawiedliwiej rozdzielił, bo nikt nie twierdzi, że ma go za mało, każdy jest mądrzejszy od wszystkich uczonych razem wziętych. Można mieć nie wiem jak mocne argumenty, ale jak ktoś słucha ich tylko jednym uchem, bo „swoje wie", to się do niego nie trafi. Zresztą podobnie jest, gdy się rozmawia na tematy polityczne – o czym pan chyba lepiej wie niż ja – że większość ludzi ma określone poglądy i nie zamierza ich zmieniać, choćbyś nie wiem jak perswadował.

Akurat ksiądz powinien wierzyć w nawrócenia…

Kiedy byłem młodym księdzem, wydawało mi się, że jak spotkam niewierzącego, będę go w stanie przekonać swoimi argumentami. Bardzo szybko mi to przeszło. Ale nawet jeśli nie wierzy się w skuteczność dyskusji na tematy religijne, naukowe czy inne, próbować trzeba. Byle nienachalnie.

Zwłaszcza że i nasza wiedza jest niepewna. W książce, o której wspomniałem, Wojciech Bonowicz wypytuje księdza profesora o definicje, interpretacje siedmiu ważnych słów: to wyobraźnia, język, czas, wieczność, człowiek, mądrość i oczywiście Bóg. Uderzyło mnie, jak na wielu stronach ksiądz unika odpowiedzi na temat Pana Boga.



Ks. prof. Michał Heller (ur. w 1936 r.) – wybitny fizyk, kosmolog, matematyk i teolog. Członek Papieskiej Akademii Nauk. Założyciel Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych. Jedyny polski laureat Nagrody Templetona, kawaler Orderu Orła Białego. Autor kilkudziesięciu książek. Niedawno w wydawnictwie Znak ukazało się „Siedem ważnych słów. Michał Heller w rozmowie z Wojciechem Bonowiczem".

No tak, bo według mnie najlepsza teologia to teologia apofatyczna, która nie tyle mówi, kim Bóg jest, ile kim nie jest, bo cokolwiek o nim powiemy, powinniśmy zaraz temu zaprzeczyć. Dlatego nie lubię stawiać pytań o Boga, wolę go zasłaniać innymi pytaniami. Gdy pytam o sens wszechświata, to jest prawie to samo.

Ksiądz pytał o to przez kilkadziesiąt lat naukę, filozofię, teologię… Znalazł ksiądz jakąś odpowiedź?

Dla człowieka wierzącego, przynajmniej w taki sposób, jak ja to czynię, sens, dopełnienie życia ludzkiego polega na tym, że człowiek wreszcie „zobaczy Go", może wręcz się z Nim utożsami, zjednoczy. Tak lubię myśleć. Tak też widziało to wielu chrześcijańskich mistyków. Zaznaczam, że nie jestem mistykiem.

Z tego, co ksiądz przed chwilą powiedział, wynikałoby, że sens odnajdujemy dopiero w – czy też po – śmierci. Zdziwiłem się, że w książce wśród tych ważnych słów nie ma słowa „śmierć", zamiast tego jest „wieczność". Śmierć to tylko akt przejścia do owej wieczności. Mogę zapytać o wizję tej wieczności według Michała Hellera?

Spróbuję odpowiedzieć nie wprost. Wyobraźmy sobie człowieka, który jest zamknięty w bardzo szczelnym etui, jest uwięziony, nie może się ruszyć. I w pewnym momencie ktoś otwiera to pudło i może wreszcie wyjść. I tak jest ze mną, z każdym. Jestem uwięziony w chwili teraźniejszej, nie mogę z niej wyjść, bo czasu cofnąć się nie da, a przyszłości jeszcze nie ma. I dopiero kiedy to pudło pęknie, znajdę się poza czasem. Jak to będzie wyglądać, nie wiem. Tam zacznie się poznawanie wszystkiego. Tutaj znamy fragmenciki, tam wreszcie zobaczę, jak to jest. Rzeczywistość jest tak bogata, że wieczności zabraknie, żeby do końca wszystko zrozumieć. Taki ewentualny „wieczny odpoczynek" by mi odpowiadał.

Ale ma ksiądz nadzieję zachowania po tamtej stronie swojej tożsamości, bycia jeszcze sobą?

Cała nasza historia jest zapisana w czasoprzestrzeni, a mówiąc teologicznie – w Bożej pamięci. To nie przeminęło, to jest. Wierzę, że wkroczenie w wieczność będzie odzyskaniem życia na nowo. Bawię się nieco tymi wyobrażeniami i myślę, że jakaś świadomość siebie zostanie, może będzie inna, może będę mógł podróżować po swoim życiu tam i z powrotem, albo przeciwnie – chwytać je jednym oglądem, obejrzeć całe swoje życie jeszcze raz?

Przez wieczność oglądać ten sam film? Nawet jeśli o sobie, to mi się wydaje dość straszną wizją.

Tu mi pomaga pewna anegdota. Podobno kiedy Agata Christie była na łożu śmierci w szpitalu, dopadł ją jakiś dziennikarz i zadał pytanie: „Tyle razy pisała pani o śmierci, nie boi się pani swojej?". Odpowiedziała: „A nie sądzi pan, że to może być bardzo ciekawe?".

A jakbym księdzu zadał pytanie tamtego dziennikarza?

Nie wiem, może bałbym się cierpienia, chociaż byłem przy tylu śmierciach i wiem, że na ogół ludzie odchodzą spokojnie. Ale pan chyba pyta bardziej o to, czy nie będzie mi żal życia?

Chyba wszyscy o to pytamy?

Zastanawiam się. Nie, raczej nie. Może trochę mi żal tylko tego życia, którego już nie przeżyję.

ROZMAWIAŁ JERZY BACZYŃSKI

eprasa.pl 70e748f8f6

MB XXI

Drugiej takiej Matki Boskiej Miłosiernej nie ma na świecie. Największa, najdroższa, najnowocześniejsza, prywatna i całkowicie polska. Oprócz łask tłumom wiernych może przynieść także powodzenie biznesowe okolicy.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK



Tłumy – już są, ale przyjadą dużo, dużo większe. Oficjalne otwarcie i poświęcenie – 15 sierpnia w Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Moment jest historyczny – mówią w miasteczku Kikół wszyscy; mieszkańcy, pani burmistrz, ksiądz proboszcz. Cichy Kikół został miastem w 2024 r., po 150 latach bycia wsią i pilnie potrzebuje pieniędzy na inwestycje. W magistracie dzwonią telefony z pytaniami, czy można kupić działki inwestycyjne w pobliżu Matki Boskiej. Za kilka lat wszystko tu będzie wyglądało całkiem inaczej: bogaciej, ludniej.

Równolegle do biznesowej trwa opowieść duchowa. W niej wysoki na ponad 55 m śnieżnobiały posąg Matki Przenajświętszej pochyla się nad ludźmi z opiekuńczym gestem otwartych rąk. Jej twarz tchnie spokojem, jest dobra i miłosierna. Posąg jest prywatny, ale Maryja jest matką całej ludzkości. Zaprasza do modlitwy, pielgrzymi mówią, że napełnia serca pokorą i nadzieją.

Obie opowieści przeplatają się w Kikole tak ściśle, że czasem trudno je rozdzielić i gdy ktoś mówi „ubogacenie", nie jest jasne, czy ma na myśli duchowość, czy byt.

Miejsce

Ochroniarz budowy chodzi po terenie i pomstuje na ludzi. Pchają się, gdzie nie można. Mają napisane na ogrodzeniu „wstęp wzbroniony" i „roboty na wysokości", a jakby czytać nie umieli – zobaczą posąg i natychmiast są zahipnotyzowani. Znowu ktoś uchylił bramę na budowę i robi sobie fotkę z posągiem bez bramy w tle. Ochroniarz biegnie przepędzać.

Oprócz tego jest gęsty ruch lokalny. Upał, zaczęły się żniwa i co jakiś czas latają wśród robiących zdjęcia z Matką Boską zdenerwowani rolnicy, wołając: „Zabierzcie z drogi samochody, bo kombajnem nie idzie przejechać!".

– *Takich tłumów to ja nie widziałem nawet na meczu* – mówi jeden z rolników.

– *Powinni zamknąć drogę i nie wpuszczać!* – krzyczy inny.

Matka Boska Miłosierna, wciąż w budowie, stoi w szczerym polu we wsi Konotopie pod Kikołem. Widać ją doskonale na wiele kilometrów zewsząd, a już zwłaszcza z drogi krajowej 10 Warszawa–Szczecin. Więc oprócz ruchu pielgrzymskiego ściąga też gapiowski, choć do figury nie ma zjazdu. Mijają się, łażąc wzdłuż płotu budowy – poruszeni świętością i konstrukcyjnym rozmachem. Byli nawet dziennikarze z brytyjskiego „Financial Times". Projekt wydał im się „faraoński" w swoim ogromie, lecz, jak napisali, inwestor i lokalny proboszcz nie uważają go za nieadekwatny, tylko za wyznanie wiary. Ksiądz umiejętnie ujął to tak: to jest prawdziwe centrum Polski, miejsce, gdzie bije serce naszego kraju.

– *Tłumy były też w poprzednie soboty i niedziele* – mówi jeden z budowlańców. – *Całe autokary przyjeżdżały. Ostatnio była piesza*

eprasa.pl 70e748f8f6





pielgrzymka, ludzie modlili się i śpiewali kościelne pieśni pod bramą budowy. A my normalnie pracowaliśmy, bo czas goni.

Właściciele terenu i posągu Maryi – małżeństwo Grażyny i Romana Karkosików, miliarderzy – zaplanowali otwarcie w dzień podwójnego święta kościelno-państwowego: Wniebowzięcia Maryi, zwanego też Świętem Matki Boskiej Zielnej, i Święta Wojska Polskiego. To drugie obchodzi się na pamiątkę zwycięstwa Polaków nad armią bolszewicką w Bitwie Warszawskiej 1920 r. Liczne wyobrażenia malarskie tej bitwy ukazują, że Matka Boska stała wówczas po stronie polskiej. Tablice pamiątkowe i murale z bitwą widać w całym Kikole. Mszę otwarciową w miejscu pod posągiem poprowadzi biskup.

„Miejsce" – mówi się na razie w Kikole i okolicach. Na tablicy informacyjnej budowy tak napisano: „miejsce widokowe z pomnikiem Matki Boskiej wraz z infrastrukturą".

Sąsiedzi

Gdy 18 lat temu ks. Marek Mrówczyński obejmował parafię pod wezwaniem św. Wojciecha Biskupa i Męczennika we wsi Kikół, budynek kościoła wymagał pilnego remontu, a parafia posiadała tylko jedno miejsce popularne wśród pielgrzymów – małą leśną kaplicę z drewnianym posążkiem Matki Boskiej Bolesnej (68 cm) w Konotopie. Bolesna jest pietą z XIX w., rzeźbioną na modłę ludową, i słynie z licznych cudów. Ks. Marek wspomina, jak któregoś dnia usiadł sam na sam ze świętą rzeźbą, prosząc Maryję o wspomożenie.

– *Kilka dni później zostałem zaproszony do państwa Karkosików i gospodarze pytają mnie: a co by ksiądz powiedział, żeby zbudować nową kaplicę dla naszej Matki Boskiej Bolesnej?* – opowiada proboszcz. – *Aż mnie wgniotło w krzesło.*

Cud maryjny zdarzył się za sprawą sąsiadów miliarderów z wielkiego zabytkowego pałacu po przeciwnej stronie ulicy od kościoła. Rozmach budowlany Karkosików – jak podkreśla ksiądz: ludzi głębokiej wiary – sprawił, że w miejscu skromnej kapliczki stanął w 2011 r. murowany kościół. Tablica na nim mówi, że to dar wdzięczności Karkosików za beatyfikację Jana Pawła II. Do tablicy fundatorzy dołączyli „kamień z Kościoła w Kanie Galilejskiej upamiętniający I Cud Jezusa na prośbę Maryi". W ten oto sposób Matka Boska z kaplicy przy drodze krajowej 10 nie tylko „odnowiła swoje panowanie w duchowości gminy", ale także liczniej zaczęli przyjeżdżać do niej pielgrzymi.

W kolejnych latach – jak to widzi ks. Marek – figura Bolesnej nie zaprzestała swych cudów. To za jej sprawą udało się doprowadzić kościół parafialny w Kikole do poziomu perełki, której zazdroszczą inni proboszczowie. Ona także natchnęła małżeństwo Karkosików do wzniesienia posągu Miłosiernej. Decyzję oznajmili proboszczowi z właściwą sobie skromnością: a jakby tak zbudować wielki posąg na chwałę Maryi Panny?

– *Dziś patrzę na to w poszerzonym widzeniu* – mówi ks. Mrówczyński. – *Działania Maryi są dla mnie jak fragmenty puzzli, które dopiero po czasie łączą się w konkretny zamysł i dają się zauważyć. Te wszystkie piękne dzieła po prostu nie udałyby się bez wstawiennictwa Matki Boskiej.*

Tak było z działką w Konotopiu – mieszkał tam rolnik, który od ponad sześciu lat nie mógł sprzedać swojego gospodarstwa. Wywiesił na płocie ogłoszenie widoczne z drogi 10 i nic. Przyjeżdżało wielu chętnych do kupna i nic. W Kikole już mówili: niesprzedawalna. W tym czasie Karkosikowie szukali miejsca dla fundowanej przez siebie figury. Było kilka propozycji, cena nie grała roli. Starosta powiatowy z Lipna, który wydaje zgody na lokalizację obiektów o kubaturze tak gigantycznej jak Maryja Miłosierna, sprawdzał zgodność z planami zagospodarowania. Jednak żaden grunt nie pasował zarazem do planu urzędniczego i do zamysłu artystyczno-duchowego.

Aż któregoś dnia Adam Jakub Matejkowski, rzeźbiarz, u którego miliarderzy zamówili projekt świętego posągu, stanął na „niesprzedawalnej" działce i, jak sam opowiada, przeżył coś w rodzaju olśnienia. To doskonałe miejsce – leżące 20 m od ruchliwej trasy 10 i 100 m od kaplicy Matki Bolesnej – wprost prosiło się o Matkę Miłosierną.

Lub też, jak to ujmuje proboszcz Mrówczyński: Matka Boska sama je sobie wybrała.

Karkosikowie

Pałac Grażyny i Romana Karkosików stoi w 10-hektarowym parku pośrodku Kikoła. Włości, ogrodzone litym, wysokim murem, są tak rozległe, że sięgają niemal w każdy zakątek miasteczka. Pałac zbudowała w XVIII w. rodzina Zboińskich, potem przechodził z rąk do rąk, a tuż przed wojną został zlicytowany za długi – większą część przejęła cukrownia. Po wojnie niszczał i zarastał, eksploatowały go różne instytucje państwowe. Miliarderzy kupili go na początku lat 90., rok 1995 widnieje na portyku, co widać ▶

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK (2), LESZEK ZYCH

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ zza zamkniętej i strzeżonej bramy. Własność prywatna, brak możliwości zwiedzania.

Właśnie polskie lata 90. z ich świeżutkim, szalejącym kapitalizmem, który spadł na kraj całkowicie do tego nieprzygotowany, ukształtowały dzisiejszą potęgę Karkosików. Byli samoukami i – jak wielu startujących wtedy w biznesie, a następnie wymienianych na listach najbogatszych Polaków – sami się stworzyli pracą i sprytem. Często bywali sentymentalni wobec własnych początków w interesach. Tadeusz Gołębiewski, który dorobił się milionów na sieci hoteli, do końca życia prowadził wytwórnię słodyczy Tago, od której zaczynał w latach 60. Karkosik nadal prowadzi w Czernikowie małą firmę Karo, swoją pierwszą.

Roman, pan na Kikole, rocznik 1951, skończył klasę mechaniczną w technikum cukierniczym. Rodzina pochodziła z sąsiedniego Czernikowa. Jeszcze za socjalizmu weszli w, jak to się wtedy mówiło, prywatną inicjatywę i otworzyli w swojej wsi bar. To tam ujawniły się pierwsze talenty biznesowe Romana, które szybko miały uczynić z niego bogacza. Miał – za co potem doceniał go biznesowy miesięcznik „Forbes" – nos do przewidywania dobrej koniunktury na chwilę przed wszystkimi. Socgospodarka nie nadążała z produkcją oranżady? Karkosik produkował ją sam i wstawiał do rodzinnego baru. Na rynku brak kabli? Wchodził w produkcję kabli. A żeby mieć do tego surowiec, został królem skupów złomu – miał swoje filie nawet w Czechach, Słowacji, Bułgarii i Rosji. Potem, jako jeden z pierwszych, zaczął produkcję butelek plastikowych. Niedługo był już właścicielem spółek notowanych na giełdzie – branża części samochodowych (firma Boryszew, działająca dziś w kilkunastu krajach), tekstylia, recykling, wynajem powierzchni pod lokale użytkowe.



Rzeźbiarz Adam Jakub Matejkowski, autor projektu pomnika

A skoro już weszli z żoną Grażyną na warszawską giełdę – jak potem opowiadał w nielicznych wywiadach, m.in. dla POLITYKI – to szybko się tej giełdy nauczyli i zaczęli inwestować. Weszli na taki poziom zysku, że nazywano ich „giełdowymi guru", a wśród pomniejszych graczy komunikaty „Karkosik sprzedaje" albo „Karkosik kupuje" służyły za barometr w interesach. Karkosik to żywa legenda polskiej giełdy i biznesu.

Legenda

Było trzech braci Karkosików, żaden nie skończył studiów, a wszyscy stali się bogaci, najbogatszy z nich zaś był właśnie Roman, średni brat. Najstarszy Ryszard prowadził w Toruniu firmę Elkard – instalacje elektryczne. Najmłodszy Mirosław miał firmę Eliza – jubilerstwo. Wszyscy trzej byli bardzo bezpośredni w obyciu i mówili wprost, co myślą, bez przebierania w słowach. Interesy z nimi były konkretne jak biblijne tak–tak, nie–nie, żadnych salonowych tańców. Dlatego też, kiedy dochodzili do poziomów, na których liczyły się konwencja i dyplomacja, wynajmowali do tego ludzi.

Wszyscy trzej bracia byli fanami toruńskiego żużla i go sponsorowali. Rysiek, rocznik 1949, i Mirek, rocznik 1961, zmarli po długich chorobach w 2020 r. Roman też ciężko zachorował, ale cudem uszedł z życiem. Cud to dobre słowo w jego przypadku, bo rokowania miał nienajlepsze.

Matka Boska Miłosierna w Konotopiu koło Kikoła powstaje jako „wotum wdzięczności" – tak ogłosiło małżeństwo Karkosików. Nic więcej nie powiedzieli, bo w ogóle zawsze mało mówili, nie pokazywali się publicznie i nie rozmawiali z dziennikarzami. Grażyna Karkosik nie zezwala znajomemu nawet na przekazanie prasie swego zdjęcia z budowy Matki Boskiej, na którym widoczna jest z daleka i nieostro. Nie wiadomo także, ile kosztowała budowa – niewiadoma liczba milionów złotych, mówi się, że 100 albo i więcej.

Jednak – jak słychać w Kikole od osób zbliżonych do pałacu – nie byłoby największego na świecie posągu Matki Miłosiernej, gdyby nie ozdrowienie Romana Karkosika.

Maryja

Przyjechał busik z zakonnicami – selfie z Matką Boską w rozwianych welonach. Są Polacy z Australii, bardzo zachwyceni. Polacy z Anglii – to samo. Zanim się tu pojawili, czytali internetowe komentarze o posągu – ponad 90 proc. zjadliwych negatywów. Że dziwadło, że wyrzucanie pieniędzy w błoto, że śmiech z Polski na świecie, że lepiej, by Karkosik dał na sierocińce, że czysto polska gigantomania pomnikowa – po Chrystusie ze Świebodzina (36 m z koroną) Maryja z Konotopia (wyższa i solidniej zbudowana).

– *Polska pokazuje, że trwa na opoce z wiary* – mówi polski Anglik. – *Takiej na przykład Anglii właściwie już nie ma. Siedzimy tam 20 lat i poważnie myślimy o powrocie.*

– *Godna* – szepce ze wzruszeniem wpatrzona w Maryję pielęgniarka ze Zwolenia, w drodze nad morze, i zaczyna po cichu: – *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...*

– *Wiadomo: mostówka, drogówka, mieszkaniówka, to się ciągle robi* – wylicza jeden z budowlańców z firmy Wysowa-Mosty. – *A ile razy w życiu człowiek buduje coś takiego? Duma! Swoim wnukom będę opowiadał, że pracowałem przy tej Maryi.*

Oficjalne otwarcie za tydzień, a już setki, tysiące ludzi dziennie, w tym socjologicznie odpowiedni polski parytet niewierzących. Nawet wśród nich znajdują się tacy, którzy powiedzą, że obiektywnie to piękny posąg – odróżnia się od typowych licheńskich i częstochowskich „odpustówek". Ma szlachetną twarz – ludzka, skromna, spokojna.

– *Właśnie o to mi chodziło, żeby postać Maryi miała ludzki charakter, żeby schodziła do ludzi niejako z góry, ale nie z piedestału królowej, tylko po to, żeby się do nas zbliżyć* – cieszy się Adam Jakub Matejkowski, artysta rzeźbiarz, po warszawskiej ASP, autor rzeźby. – *Nie ma drugiej Maryi, która zapraszająco wyciąga ręce i pochyla się, żeby z nami pogadać. A czy to jest potrzebne na te czasy? Mam wiele argumentów za tym, że tak właśnie jest.*

Święta postać wyrasta z ogromnej betonowej korony, w której jeździ winda wwożąca wiernych i turystów na taras widokowy u stóp posągu. Na czubku posągu Matki Boskiej działa uchylna klapa serwisowa zwana przez budowlańców kopułką. Głowa i dłonie są nieco przeskalowane, żeby postać widziana z dołu nie zbiegała się w stożek. I właśnie ten rzeźbiarski trik rodzi

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 70e748f8f6

wrażenie pochylania się z troską. Jak głosi kikolska legenda, górale zatrudnieni przy budowie zeszli z cen robocizny w darze dla Matki Boskiej. Nie mówią posąg, tylko z czcią – pomnik. Budowa zajęła 13 miesięcy.

– *Uważam, że pomnik to nieodpowiednie słowo, bo pomnik stawia się komuś w uznaniu zasług i to niejako zamyka narrację na zawsze* – mówi Matejkowski. – *Posąg lepsze, ale też nieidealne. Natomiast zapomniane słowo statua wydaje mi się w punkt. Matka Boska z Konotopia zbudowana jest w nowoczesnej technologii XXI w. i ma ten wiek reprezentować. Dlatego nazwałem ją MB XXI.*

W kontaktach z inwestorami rzeźbiarz nie miał żadnych problemów. Miło się rozmawia z ludźmi konkretnymi, dla których cena inwestycji nie gra roli. Jest wierzący i mówi, że wiele zawdzięcza Maryi. Statuetek Matki Boskiej w przeróżnych wielkościach powstało kilka. Największa była skala ludzka, 1:1. Dopiero w toku rozmów Karkosikowie mieli przyznać, że chodzi im o gigantyczność.

Powiedzieli wprost: większa od Chrystusa z Rio de Janeiro (30 m plus 8 m cokołu).

Miasteczko

Ksiądz Marek Mrówczyński opowiada, że gdy zdjęto rusztowania, twarz Matki Boskiej i suknia były w smugach budowlanego brudu. Wystarczył jeden deszcz, by obmyć statuę do śnieżnobiałości – kolejny mały cud. A tak technicznie to najdroższy na świecie beton z 300-letnią gwarancją na trwałość. Cudowny, biały, samoczyszczący się, wieczyście niepokalany beton.

Co będzie dalej, nie wiem – miał szczerze przyznać proboszcz Marek przed wiernymi. Czy będą opłaty za wstęp – nie wiadomo, ale przecież każdy wie, mówi ksiądz, że posąg trzeba jakoś utrzymać. Czy powstaną przymaryjne hotele i gastronomia, jak się stało wokół świebodzińskiego Jezusa – okaże się. Na razie nie ma nawet porządnego parkingu. Ponieważ przecież mamy kapitalizm, jak mówi proboszcz, i jeżeli zjawi się kapitalista z pieniędzmi, to kto mu zabroni budować?

Na razie miliarderzy Karkosikowie postawili warunek: czysta forma wokół ich posągu. Żadnego handlu, odpustu, koszulek, kiełbasek. Zamierzają również zamknąć przestrzeń powietrzną dla dronów wokół Matki Boskiej. Tymczasem prywatnie – przyrynkowo, ulicznie i sklepowo – nowo mianowane miasto Kikół Karkosika raczej nie lubi. On dwór, my poddani – mawiają. Nawet już nie chodzi o to, że nie dał pieniędzy na jakiś sierociniec. Bardziej o to, że nikogo z miejscowych nie zatrudnił przy budowie posągu. A Kikół leży akurat na odcinku bezrobocia pomiędzy Lipnem a Toruniem. Ani jednej większej fabryki.

Miasteczko jest za to całe zakochane w Renacie Gołębiewskiej, swojej pani burmistrz. – *W naszym regionie religia katolicka jest bardzo zakorzeniona, mamy tu dużo terenów, gdzie stoją krzyże, przydrożne kapliczki, figurki świętych* – mówi pani burmistrz. – *Na zebraniach w urzędzie mieszkańcy często poruszają temat dbania o nie. Posąg Maryi Miłosiernej też będzie miejscem zadumy i modlitwy.*

I dodaje: – *Od czasu rozpoczęcia budowy posągu Matki Boskiej nasze restauracje biją rekordy, obłożenie jest ogromne, planowane są kolejne otwarcia, inwestycje* – wylicza. – *Nie ukrywam, że bardzo na to liczymy.*

Pani burmistrz żyje w zgodzie z mieszkańcami pałacu. A ten chętnie pomaga magistratowi w sprawach związanych z przeistaczaniem wsi Kikół w miasto.

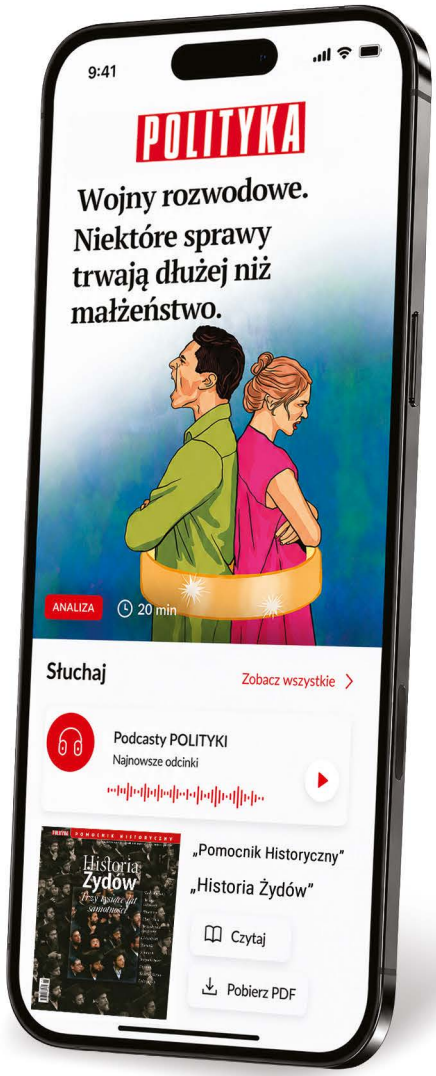
Teraz już znane w całej Polsce.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj



Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

Codzienne nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.p 70e748f8f6



Czwarta prawica

Upadające stare imperium i coraz większe niepokoje na jego granicach. Prawicowa scena po niedawnym rozłamie tonie w chaosie. Co się z tego wyłoni?

RAFAŁ KALUKIN

Po secesji Mateusza Morawieckiego i jego grupy prawicowy trójkąt rozrósł się do rozmiaru czworokąta. Nowe ugrupowanie wystartowało z organizacyjnym impetem i również pierwsze sondaże można uznać za zachęcające, chociaż bardziej dla samego byłego premiera niż całej prawicy. Rozwój Plus dzisiaj korzysta przede wszystkim z rezerwuaru dotychczasowych zwolenników PiS.

Pojawienie się dodatkowego boku nie skutkowało zauważalnym zwiększeniem pola figury. Prawica co prawda nadal wygrywa sondażowo ze stroną koalicyjno-rządową, ale już spłaszczenie prawicowych słupków nieco obniża jej prognozowany udział w sejmowych mandatach. Na razie bilans jest więc raczej ujemny, chociaż trudno jeszcze na tej podstawie pisać długofalowe scenariusze. Bo jednak oferta prawicy się powiększyła, więc i klientów do tortu może przybyć, takie przynajmniej ma nadzieje Morawiecki, stąd jego wizyta z pizzą na słynnym z poprzednich wyborów wrocławskim Jagodnie.

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 70e748f8f6

W najtrudniejszej sytuacji znalazło się Prawo i Sprawiedliwość. Formacja Jarosława Kaczyńskiego skokowo osłabła i teraz musi się zmagać z potężną presją. Bo kiedy imperia upadają, sąsiednie plemiona korzystają z okazji i coraz śmielej zapuszczają się na terytoria kolosa, który już nie ma sił ich chronić.

I taki proces daje się dzisiaj zauważyć. Chwilowo wszyscy pozostali gracze na prawicy zainteresowani są wykorzystaniem kryzysu i dodatkowym osłabieniem PiS. Toteż przynajmniej na razie nie widać szczególnego napięcia pomiędzy środowiskiem Morawieckiego i Konfederacjami, chociaż ogólnie pozostają wobec siebie wrogie. Logika gry skłania jednak do tego, żeby nacierać na tę samą bramkę.

Ugrupowanie Kaczyńskiego próbuje się bronić. Służyła temu m.in. ubiegłotygodniowa konwencja programowa, nieprzypadkowo wyznaczona na rocznicę prezydentury Karola Nawrockiego, co miało pomóc ogrzać się w aureoli głowy państwa. Przy okazji próbowano wylansować kilka młodych i szerzej dotąd nieznanych twarzy, chociaż z nadającym ton duetem Kaczyński–Czarnek skuteczność takich zabiegów siłą rzeczy musiała pozostać wątpliwa. I ostatecznie to plenerowy benefis Nawrockiego skupił większość uwagi, podczas gdy z imprezy PiS przebił się wyłącznie postulat „deportacji" niepracujących Ukraińców w wieku poborowym. Owszem, przesuwający granicę radykalizmu, ale jednocześnie potwierdzający, że partia Kaczyńskiego również po rozłamie wciąż nie ma lepszego pomysłu, niż ścigać się z konfederacką konkurencją na hasła wymagające ustawicznego połykania własnego języka i tłumaczenia się z dawniej prowadzonej polityki. I chociaż to PiS pod względem strukturalnym pozostaje najsilniejszym graczem, po wycięciu „rozwojowego" płuca jeszcze bardziej niż dotąd przypomina wydmuszkę. Kurtyna została odsłonięta i władca z Nowogrodzkiej został odarty z nimbu tajemniczości, stając się po prostu uczestnikiem brutalnej nawalanki. Jednym z kilku, słabnącym w oczach, próbującym ocalić resztki charyzmatu.

I jest to dla niego sytuacja skrajnie trudna, bo zapewne zdaje sobie sprawę, że został ograny przez własną partię. Pozwalając wcześniej partyjnym koteriom łupić państwo, chciał po dawnemu dzielić i rządzić, ale najwyraźniej nie zorientował się, kiedy rywalizujące grupy Ziobry i Morawieckiego zanadto się usamodzielniły. Okazały się dużo zwinniejsze od tradycyjnego zaplecza Kaczyńskiego, które wraz z upływem lat przypominało coraz bardziej bezkształtną pulpę. Lepiej rozumiały światowe trendy i sprawniej posługiwały się nowoczesnymi technologiami komunikacyjnymi. Aż w końcu wewnętrzna rywalizacja o wpływ na prezesa stał się wojną sukcesyjną. Dłużej zapewne już nie dawało się tym konfliktem zarządzać, Kaczyński poczuł się zmuszony jednoznacznie postawić na którąś ze stron, ryzykując wypowiedzenie posłuszeństwa przez tę drugą. I tak doszło do rozłamu, którego zapewne chciał uniknąć. Chociaż nie jest przesądzone, że będzie on trwały.

Bo dzisiejszy PiS oraz budowany od podstaw Rozwój Plus to wciąż formacje blisko spokrewnione. Funkcjonują w podobnym symbolicznym uniwersum, mniej więcej w tych samych obiegach medialnych oraz przenikających się bańkach społecznościowych. Również przepływy personalne nie zawsze są czytelne. O ile grupa inicjatywna formacji Morawieckiego posiada jeszcze jakąś zdolność tworzenia odróżniającej opowieści, o tyle budowana na niższych piętrach masa nowej partii sprawia wrażenie przypadkowej. I nie zmienią tego zewnętrzne transfery w postaci mocno już skądinąd zużytych Marka Jakubiaka i Pawła Kukiza.

Spora część posłów z pewnością poszła za byłym premierem głównie pod wpływem osobistej kalkulacji, szacując układ sił w swoich okręgach wyborczych i tracąc nadzieję na reelekcję z listy PiS. Wiadomo, że kiedy wyłania się nowy układ, zawsze obowiązuje logika „kto pierwszy, ten lepszy". Z kolei ociągającym się maruderom pozostaną już tylko dalsze miejsca na listach. Jednak jeśli Morawiecki chce utrzymać w ryzach swój obecny klub, słupki sondażowe Rozwoju Plus muszą rosnąć. Bo jeśli nie, Kaczyński podejmie skuteczną próbę przeciągnięcia z powrotem na swoją stronę części uciekinierów. Oczywiście nie wszystkich, głównie tych z dalszego planu. Oferując im wyższe miejsca, niż mogli wcześniej liczyć, choćby kosztem interesów wiernego aktywu i osłabienia jego morale.

Rozwój Plus przede wszystkim musi więc kombinować, jak wykorzystać własne szanse rozwojowe. Bez tego trudno będzie przetrwać do wyborów jako samodzielna formacja. Tymczasem z elektoratu PiS Morawiecki wiele już nie wyciągnie. Przy Kaczyńskim pozostał najtwardszy rdzeń wyborców, który należy szacować na ok. 15 proc. To elektorat zaawansowany wiekowo, mający utrwalone nawyki, odruchowo niechętny wszelkim próbom podważenia autorytetu dawnego hegemona.

Były premier jest zatem zmuszony szukać poparcia poza swoim tradycyjnym zasobem. I próbuje to robić, w jakiejś mierze idąc w ślady Trzeciej Drogi z 2023 r. Nie przekracza głównej linii podziału, ale mocno się do niej zbliża (tyle że od drugiej strony), starając się łowić wyborców chwiejnych, zmęczonych ostrymi konfliktami, oczekujących od polityków gospodarskiej racjonalności. Widać też próby zarzucenia sieci na Polskę lokalną, szczególnie w mniejszych miastach, w których funkcjonują rozmaite samorządowe układy obsługujące interesy miejscowych elit. Być może zaprocentuje tutaj pamięć o premierze Morawieckim, który swego czasu objeżdżał w kampaniach Polskę, kupując poparcie samorządowców za pomocą sławetnych „czeków".

Na razie Morawiecki jest w stanie przyciągać zewnętrznych sojuszników. Z jednej strony okazują mu względy konserwatyści starego typu, jak Jan Rokita i Aleksander Hall. Z drugiej nie brakuje życzliwości ze strony młodych środowisk z kręgu krakowskiego Klubu Jagiellońskiego, który do tej pory dystansował się od pisowskiego populizmu, oczekując bardziej pragmatycznej polityki. Ale niedawny grill Morawieckiego na warszawskiej Pradze wywołał też zainteresowanie polityków Polski 2050, o czym nawet publicznie mówiła szefowa tej partii Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Próbuje wreszcie Morawiecki szukać oddzielnych dojść do lewicy. Tej odpornej na liberalne ukąszenie, z okolic partii Razem i wianuszka pokrewnych inicjatyw, których przedstawiciele nieprzypadkowo mieli okazję oficjalnie podyskutować na wspomnianym grillu. Nie zabrakło oczywiście miejsca dla relegowanej z szeregów Razem za prawoskrętność posłanki Pauliny Matysiak, a miał również pojawić się jeden z przedstawicieli obecnego kierownictwa tej partii, tyle że nie dostał na to zgody. Po cichu mówi się jednak o rychłym transferze.

Intencja ciułającego punkty Morawieckiego jest czytelna: oskubać środowisko Adriana Zandberga z części poparcia. I nie wydaje się to wykluczone, chociaż na pierwszy rzut oka trudno ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ połączyć prawicę z lewicą. Wspólna dla obu kręgów jest jednak silna antyliberalna emocja, skłonność do ekonomizacji polityki, wiara w państwowy interwencjonizm i magię „wielkich projektów". Na tym gruncie byłemu premierowi łatwiej jest obiecywać realną sprawczość niż wiecznemu recenzentowi Zandbergowi.

Tyle że skupienie na „rozwoju" to mimo wszystko trochę za mało, żeby myśleć o dwucyfrowym wyniku. Wystarczy na rozruch, ale co dalej? W kampaniach należy obsługiwać wiele tematów i utrzymać przy tym spójność. I już dzisiaj widać, że usiłujący chwytać wiele srok za ogon Morawiecki będzie miał z tym spory problem. W ubiegłotygodniowym wywiadzie na kanale Bogdana Rymanowskiego próbował łączyć modernizacyjny dyskurs z solennością prawdziwego pisowca, przy okazji ostro wchodząc do prawicowej licytacji na kopanie Ukrainy. Z łagodnego technokraty Morawieckiego dosyć nieoczekiwanie wyszedł wtedy szczujący ksenofob, wcale niegorszy w tym od Czarnka.

Tak rozrysowane pole gry siłą rzeczy faworyzuje jednak obie Konfederacje jako stronę wiarygodniejszą, gdyż nieobciążoną kompromisami z czasów rządzenia. Jeszcze niedawno Kaczyński i Morawiecki przeważnie tłumaczyli się ze stawianych im zarzutów w sprawie pomocy dla Ukrainy i zwalczania Covid-19, próbując wskazywać okoliczności łagodzące. Po rozwodzie sami siebie wzajemnie z tego samego rozliczają, pośrednio potwierdzając słuszność konfederackiej krytyki.

Strategie „dużej" i „małej" Konfederacji na razie mocno się jednak różnią. Ta braunowska jest wręcz zadziwiająco mało aktywna, właściwie zniknęła z widoku. Przyczyny nie są do końca jasne i krążą na ten temat rozmaite spekulacje. Według niektórych Braun trochę się wystrzelał z amunicji, gdyż jego happeningi już się opatrzyły. A jemu samemu zaczyna podobno brakować energii, co ma też związek z problemami zdrowotnymi. Ale słychać zarazem, że lider Korony w sumie nie musi zabiegać aż tak o uwagę, skoro dzisiaj cała prawica próbuje go naśladować i normalizuje większość „braunizmów" (może poza miętą do Putina). Tyle że oryginał nie musi się przecież uwiarygadniać przed podróbką, a Braun na tyle wysoko podniósł poprzeczkę radykalizmu, że przelicytowanie go jest w zasadzie niemożliwe.

Dzisiaj lider Korony ma zatem skupiać się przede wszystkim na zebraniu do kupy własnych szeregów i nadaniu tej ekscentrycznej zbieraninie jakiegoś kształtu. Nie brakuje zresztą spekulacji, że Braunowi wcale nie zależy na dalszych wzrostach. Wyhodował już sobie swoisty kościół fanów, który impregnuje go na wahania koniunktury. Wielkiego klubu w przyszłym Sejmie wcale zaś nie planuje, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że kiedy już dojdzie do montowania prawicowej koalicji, to nie z nim pozostali liderzy będą na początku rozmawiać. Zamiast tego złożą hojne oferty wprowadzonym przez niego posłom, toteż lepiej już mieć skromniejszą drużynę zaufanych, niż skończyć jako ofiara rozbiorów.

Ale już Konfederacja Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka stawia sobie zupełnie inne cele, co widać było również po reakcji obu liderów na wojnę domową w PiS. Szczególnie Mentzen jątrzył, starając się uwypuklić fasadowość konkurencji, jej imitacyjny charakter, w pierwszej kolejności skupiając się jednak na Kaczyńskim jako upadającym hegemonie. Kalkulacja jest oczywista: wykrwawiony rozłamem PiS już tylko o kilka punktów wyprzedza stabilną w sondażach Konfederację i dużo łatwiej sobie dzisiaj wyobrazić przedwyborczą mijankę. Tyle że otoczenie Mentzena ma jednocześnie świadomość, że nie może sobie pozwolić na zbagatelizowanie inicjatywy Morawieckiego. Bo Rozwój Plus przynajmniej potencjalnie może osłabiać Konfederację. Do jej etosowych wyborców rzecz jasna nie ma dostępu; były premier był przez lata głównym celem ataków z powodu pandemicznych restrykcji, Polskiego Ładu i kompromisów zawieranych z Brukselą. Ale już dla rozczarowanych pisowców oraz dawnych zwolenników Trzeciej Drogi, którzy w ostatnim okresie orientowali się na Konfederację, Morawiecki może się okazać godną rozważenia alternatywą.

Trochę inaczej zareagował z kolei Bosak, wręcz apelując o obniżenie rozwodowych emocji w PiS, co tłumaczył koniecznością utrzymania elementarnej jedności prawicy. Nie pierwszy raz dała więc o sobie znać zasadnicza różnica w podejściu obu liderów Konfederacji. O ile Mentzen marzy o usunięciu Kaczyńskiego i zajęciu jego miejsca, o tyle Bosakowi wystarczy, że się ze starszym konkurentem na prawicy dogada i wejdą w niedalekiej przyszłości w sojusz. Czy to w ramach koalicji, czy może nawet wielonurtowej partii – po przejściu Kaczyńskiego na emeryturę – w której narodowcy stanowiliby jeden z filarów. Tyle że w takim scenariuszu dla Mentzena nie byłoby już miejsca.

I to wewnętrzne rozchwianie jest dzisiaj główną słabością Konfederacji. Nieprzypadkowo w środowisku Morawieckiego od jakiegoś czasu dojrzewa alternatywny plan dogadania się ze środowiskiem Bosaka i wystawieniem wspólnych list na wybory. Bardziej chyba jednak życzeniowy, gdyż bez patronatu Karola Nawrockiego taki ruch nie miałby sensu. A prezydent na razie stara się trzymać równy dystans wobec czterech prawic.

W zagmatwanym prawicowym świecie prawie wszystko jest możliwe, chociaż nic nie jest pewne. Jak zwykle zresztą, kiedy na pierwszy plan wychodzą różnice pokoleniowe i osobiste ambicje liderów. Bo już wspólna prawicowa agenda staje się coraz bardziej ujednolicona, nawet jeśli w paru istotnych wymiarach utrzymują się jeszcze różnice (zwłaszcza w podejściu do sojuszu z USA i oceny samego Trumpa).

Realistycznie oceniając, prawicowy czworokąt stał się jednak na tyle mało funkcjonalny, że należałoby się spodziewać jeszcze przed wyborami jakiejś formy konsolidacji. Tylko że afirmowany na prawicy „zdrowy rozsądek" wcale nie musi się okazać najważniejszym doradcą. Pamięć o prawicowym rozbiciu z lat 90. w znacznej mierze jest już tylko odziedziczona. Z głównych aktorów doświadczył osobiście tamtej smuty jedynie Kaczyński, który jednak miał do późniejszego dogmatu jedności prawicy dosyć specyficzne podejście, traktując to jako alibi dla poszerzania swojego władztwa. Bardziej partnerskich układów z zasady nie uznając, a dzisiaj jest już po prostu zbyt słaby, żeby odzyskać dawną pozycję hegemona.

Ale z drugiej strony nie wolno zapominać, że to prawicy wiatr dzisiaj wieje w plecy i nawet rozproszona w zwalczających się obozowiskach utrzymuje wystarczającą przewagę. I jeśli trend się nie zmieni, po wygranych wyborach, mając już władzę na wyciągnięcie ręki, zwalczającym się partiom dużo łatwiej będzie znaleźć porozumienie. Z pomocą Nawrockiego i pod presją Kanału Zero, który pod wieloma względami skuteczniej zarządza antyliberalną emocją niż każda z prawicowych partii. Obecna koalicja nie powinna zatem wiązać nadmiernych nadziei z dzisiejszym chaosem na prawicy. To tylko szansa na zmianę niepomyślnych trendów, którą na koniec trzeba będzie umieć wykorzystać.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 70e748f8f6

Chude lata, tłuste koty

Jarosław Kaczyński powołał partyjny zespół do tropienia „tłustych kotów". Przed kampanią wyborczą ma wyłapać najbardziej rażące przypadki w samorządach, ale też prześwietlić kadry Mateusza Morawieckiego. Jest co tropić.



ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

ANNA DĄBROWSKA

W akcji chodzi o monitorowanie przypadków nadużyć, nepotyzmu i afer wśród działaczy PiS w terenie, m.in. w samorządowych szpitalach, spółkach czy podległych im instytucjach. Po wybuchu afery z młodym lekarzem z warszawskiego Szpitala Południowego, radnym KO, który dorobił się milionów, prezes PiS uznał, że podobne przypadki może mieć we własnych szeregach. Wielu działaczy znalazło zatrudnienie, by jakoś spokojniej przetrwać chude lata w rządowej opozycji, kiedy drzwi do państwowych spółek zostały dla nich zamknięte.

Kaczyński musi zdawać sobie sprawę, że stracił władzę w 2023 r. także dlatego, że „klub milionerów PiS" i „tłustych kotów" rozrastał się bez opamiętania. Takie dojenie państwa z jednej strony zrażało jego elektorat, a z drugiej mobilizowało do pójścia na głosowanie zwolenników Koalicji Obywatelskiej. Po rozłamie w PiS – jak twierdzą nasi rozmówcy z Nowogrodzkiej – doszedł jeszcze jeden ważny powód, aby zespół zwiększył obroty. – Chodzi o sprawdzenie, gdzie ulokowali się zwolennicy harcerzy Morawieckiego. Jeśli nie będą chcieli opowiedzieć się po stronie Jarosława, to będą musieli pożegnać się ze stanowiskami. To może być ważny argument, by zostali przy prezesie – mówi polityk PiS.

W zespole tropiącym znaleźli się Piotr Milowański – sekretarz generalny PiS i jeden z najbliższych dziś ludzi Kaczyńskiego, posłanka i była marszałek Sejmu Elżbieta Witek, wiceprezeska PiS Anna Krupka (szefowa partii w woj. świętokrzyskim), senator Stanisław Karczewski, posłowie Zbigniew Hoffmann, Bartłomiej Wróblewski i Michał Wójcik (były wiceminister sprawiedliwości). W pierwszej kolejności mają przyjrzeć się sytuacji kadrowej w województwach lubelskim, małopolskim oraz na Dolnym Śląsku, bo to tu mocno osadzony jest Mateusz Morawiecki i jego harcerze.

Zbigniew Hoffmann mówi, że oprócz „zidentyfikowania ewentualnych przypadków nadużyć" zespół ma też grać rolę odstraszającą. – *Ktoś czuwa, ktoś się przygląda i będą bardzo surowe konsekwencje, jeżeli takie przypadki nadużyć będą się zdarzały. I zalecam obecnie rządzącym, żeby taki, i to niejeden, a kilka zespołów powołali, patrząc na skalę patologii, do której u nich dochodzi.* Według jakich kryteriów będą oceniać? – *Nie jest tak, że jeśli ktoś ma określone poglądy, to nie może pełnić stanowiska np. w spółce samorządowej. Chodzi o jakąś formę nadużycia, jak w przypadku lekarza milionera Dawida Kacprzyka czy o nepotyzm. Będziemy badać.* ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ Z Meska do Buska

Jak mówią nasi rozmówcy z PiS, podobno regionem, który został wyłączony z tropienia afer, ma być świętokrzyskie. To dzięki wpływom wiceprezes partii Anny Krupki, która miała zapewnić, że w jej regionie sytuacja jest pod kontrolą. Jest dziś główną rozgrywającą w świętokrzyskim, a jej kadrową jest marszałek województwa Renata Janik. Wiadomo, że urząd marszałkowski ma w swoich zasobach dziesiątki etatów w podległych mu spółkach i instytucjach. Więc dzielą, doprowadzając do wewnętrznych konfliktów. Po rozłamie partię opuszczają posłowie, którzy od dawna stali w wewnętrznej opozycji do wiceprezeski PiS: Krzysztof Lipiec, Andrzej Kryj oraz Michał Cieślak.

We wrześniu 2024 r. kielecka „Gazeta Wyborcza" opublikowała listę 50 nazwisk „tłustych kotów PiS", które „z podkulonym ogonem wracają z posad w państwowych spółkach". W województwie mówią, że kto żyje dobrze z paniami Krupką i Janik, temu włos z głowy nie spadnie. Anna Krupka przyznaje, że wielu ludzi związanych z PiS pracuje w miejscach podległych urzędowi marszałkowskiemu, jednocześnie zapewnia, że zawsze na pierwszym miejscu decydują doświadczenie i kompetencje, można dodać, że głównie elastyczność. Doskonałym przykładem takiej elastyczności jest Elżbieta Śreniawska. Za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy kierowała gigantem zbrojeniowym Mesko. Gdy polityczny wiatr zmienił kierunek, bez problemu przekwalifikowała się z przemysłu obronnego na branżę medyczno-rekreacyjną. Wygrała konkurs na fotel prezeski spółki Uzdrowisko Busko-Zdrój, z pensją 275 tys. zł rocznie.

Kielecki totolotek

Po zmianie władzy ci mniej ważni w partii musieli ustąpić miejsca tym, którzy zostali odwołani z państwowych posad. Tak było w Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego w Kielcach. Na jego czele stanął Zbigniew Duda, sekretarz wojewódzkich struktur PiS, radny powiatu ostrowieckiego. Musiał rozstać się z intratną posadą szefa kieleckiej elektrociepłowni (oddział państwowej PGE Energia Ciepła) i postanowił powrócić do starej pracy w samorządowym WORD. Pensja z państwowego pół miliona złotych rocznie stopniała mu do 300 tys. zł. Stanowisko musiała zwolnić dla niego inna działaczka PiS, radna starachowicka Agnieszka Kuś. Na osłodę przyznano jej gabinet dyrektorki Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej z roczną pensją 228 tys. zł.

Ludzie z dawnej Suwerennej Polski już przekonali się, że lepiej trzymać z PiS, bo wtedy dla działaczy na niższych szczeblach zawsze znajdzie się jakieś zatrudnienie. Sporo zarobił na dobrej zmianie były działacz SuwPolu Tomasz Zbróg ze świętokrzyskiego. Przez kilka lat był szefem kieleckiego oddziału Totalizatora Sportowego i zasiadał w radach nadzorczych kilku państwowych spółek z łączną średnią roczną pensją ok. 400 tys. zł. Poszukiwania pracy dla niego trwały przez dłuższy czas. Najpierw miał zostać członkiem zarządu powiatu kieleckiego, gdzie rządzi PiS, ale przegrał w tajnym głosowaniu. Były starania o miejsce dla niego w zarządzie sejmiku, ale tam też go nie chcieli. Ostatecznie latem 2024 r. został wicedyrektorem ds. administracyjno-gospodarczych w świętokrzyskim pogotowiu ratunkowym, które też podlega samorządowi województwa. Stanowiska takiego wcześniej nie było, ale jak widać, okazało się potrzebne.

Po zmianie władzy Zbróga w Totalizatorze zastąpił inny działacz partyjny, tym razem z KO. To Karol Wilczyński, przewodniczący Rady Miasta Kielce, a jego zastępcą został Sebastian Nowaczkiewicz, były wójt Nowin (PSL). Kiedy media opisały te nominacje, wytykając, że jest tak, jak było za PiS, a przecież miało być inaczej, zorganizowano konkursy na wszystkie stanowiska dyrektorów regionalnych TS. Działacze KO i PSL stracili posady, a konkursy wygrali doświadczeni menedżerowie. Lepiej późno niż wcale.

Mała Polska

Sporo do roboty zespół prezesa będzie miał też w Małopolsce. W lipcu na ręce radnego tamtejszego sejmiku Krzysztofa Nowaka (KO) trafiło anonimowe pismo, ale, jak zapewniają autorzy, jest wspólnym stanowiskiem ośmiu małopolskich szpitali, które nadzoruje urząd marszałkowski rządzony przez PiS. Piszą, że wiele razy zwracali się do urzędu, ale nic się nie działo. W piśmie wymieniają kilkudziesięciu pracowników szpitali powiązanych partyjnie, a na pierwszym miejscu Michała Tochowicza. To radny powiatu krakowskiego, który od 2021 r. jest dyrektorem szpitala klinicznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie. Gdy ówczesny wicemarszałek województwa Łukasz Smółka – dziś sprawujący urząd marszałka – wręczał nominację Tochowiczowi, nie szczędził komplementów. Zapewniał, że szerokie horyzonty nowego szefa staną się kołem zamachowym dla rozwoju placówki. Pominął fakt, że Tochowicz w przeszłości był jego asystentem. Entuzjazmu marszałka nie podziela jednak załoga szpitala. W anonimowym liście stawiają sprawę krótko: nowy dyrektor nie ma pojęcia o zarządzaniu placówką ochrony zdrowia. Ale z pewnością jest biegły w pomnażaniu majątku, gdyż swój dom i pięć mieszkań oraz trzy działki wycenił na 3,8 mln zł. W 2025 r. fotel dyrektora szpitala przyniósł mu ponad 435 tys. zł dochodu.

Jak podała krakowska „Gazeta Wyborcza", na liście personalnych układów, którą dostarczyli radnemu Nowakowi pracownicy małopolskich placówek medycznych, znajduje się także Aleksander Wierzba. Sygnaliści piszą, że to człowiek, „bez doświadczenia w służbie zdrowia, ale za to ziomek". Wierzba, kojarzony z politycznym zapleczem byłej premier Beaty Szydło, od maja zeszłego roku stoi na czele Małopolskiego Szpitala Rehabilitacyjnego w Krzeszowicach. Zanim trafił do kadr medycznych, zdobywał menedżerskie szlify w radykalnie odmiennych branżach: zasiadał w radzie nadzorczej Energa Operator, pełnił funkcję wiceprezesa ds. marketingu w spółce GSU Polisa, a wcześniej odpowiadał za bezpieczeństwo pracy jako nadsztygar w kopalni Piast. O tym, że fotel dyrektorski przypadł osobie bez dorobku w ochronie zdrowia, zdecydowały dość elastyczne kryteria. W konkursie rozpisanym przez urząd marszałkowski wymóg doświadczenia w zarządzaniu szpitalem po prostu pominięto.

Lista tych szpitalnych awansów w Małopolsce jest długa. Wymieńmy już tylko byłą posłankę PiS Annę Czech, która została dyrektorką Szpitala Wojewódzkiego im. św. Łukasza w Tarnowie. Jeden z naszych rozmówców z PiS mówi, że wcale go ta lista nie dziwi. – *Marszałek Smółka został wybrany w atmosferze wielkiego konfliktu między frakcjami i starał się, dzieląc posady czy nie zwalniając ludzi z przeciwnej frakcji, jakoś je na nowo posklejać.*

Smółka jest marszałkiem sejmiku małopolskiego od 2024 r. Wówczas część członków PiS zbuntowała się przeciwko decyzji Jarosława Kaczyńskiego i odrzuciła kandydaturę posła Łukasza Kmity na marszałka. Dopiero za szóstym razem działacze doszli do porozumienia i marszałkiem

eprasa.pl 70e748f8f6



Zbigniew Duda: musiał się rozstać z intratną posadą szefa kieleckiej elektrociepłowni i wrócił do pracy w samorządowym WORD



Elżbieta Śreniawska: ze zbrojeniówki przekwalifikowała się na uzdrowisko w Busku-Zdroju



Michał Tochowicz: nie wiadomo, czy zna się na szpitalnictwie, ale był asystentem wicemarszałka województwa małopolskiego

został właśnie Smółka. Prezes przegrał batalię o Kmitę, ale zrobił go szefem okręgowych struktur PiS. Ten jednak nie okazał się wierny prezesowi i właśnie razem z Mateuszem Morawieckim opuścił partię i przystąpił do stowarzyszenia Rozwój Plus. Nie on jeden zresztą z szefów okręgowych struktur PiS poszedł za Morawieckim. Lojalność Nowogrodzkiej wypowiedzieli też Łukasz Schreiber, dotąd szef okręgu bydgoskiego, poseł Grzegorz Macko, szef wałbrzyskiego PiS, oraz poseł Marcin Horała, który dowodzi strukturami w Słupsku.

Polityka zdrowotna

Rozłam w PiS może też skutkować kryzysem w sejmikach, w których rządzi PiS. – *Wszystko będzie zależeć od tego, czy szefowie okręgów, którzy poszli za Morawieckim, pociągną za sobą radnych, bo wtedy zacznie się rozpadać większość w naszych sejmikach* – obawia się jeden z posłów. Ale inny poseł jest o to spokojny, bo jego zdaniem Morawiecki nie może zaoferować radnym czy ich rodzinom pracy, bo nie ma jeszcze takich możliwości. – *Być może prezes wyda polecenie, aby zrobić czystki w samorządach i powyrzucać z posad rozłamowców. To będzie prawdziwy test lojalności dla ludzi, którzy popierają Mateusza. Bo dziś łatwiej się wychodzi z PiS, mając mandat posła i dobre uposażenie albo zarabiając w euro w Brukseli, ale im niżej, tym trudniej* – mówi osoba związana z Nowogrodzką.

Ostatnio głośno było też o sprawie dyrektora szpitala w Garwolinie. Od 18 lat kieruje nim Krzysztof Żochowski, lekarz i radny sejmiku mazowieckiego PiS. A liczne nieprawidłowości w pracy wytyka sam właściciel szpitala – Starostwo Powiatowe w Garwolinie rządzone przez PiS. Między innymi to, że oprócz tego, że jest dyrektorem szpitala, to jeszcze dorabia w nim jako lekarz w karetce i w pracowni endoskopowej. Do tego zarabia więcej niż pozwala mu na to prawo (w minionym roku 730 tys. zł w szpitalu).

Starosta powiatu z PiS Iwona Kurowska zwolniła Żochowskiego dyscyplinarnie ponad rok temu, ale wrócił do pracy do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd. W kwietniu dyrektor Żochowski stanął przed swoim szpitalem razem z kandydatem PiS na premiera Przemysławem Czarnkiem, by alarmować w sprawie fatalnej polityki zdrowotnej rządu Tuska. – *Dziwne, że Przemek na to poszedł. To są wewnętrzne rozgrywki w powiatowym PiS w Garwolinie. Myślę, że w kampanii będą wypływać takie niełądne rzeczy jak z Żochowskim i to nam zaszkodzi* – mówi poseł PiS.

W Garwolinie po tłustych latach przy władzy można całkiem miękko wylądować. Pod koniec 2025 r. Kurowska zatrudniła na stanowisku inspektora w starostwie Jolantę Madziar z Wołomina. To żona Ryszarda Madziara, przybocznego Jacka Sasina. Opisywaliśmy w POLITYCE, jak małżeństwo (on m.in. doradca zarządu Pekao SA, ona w zarządzie PKO Finat; w licznych radach nadzorczych) razem zarabiało przez ostatnie dwa lata rządów PiS ponad 110 tys. zł miesięcznie. Po zmianie władzy on znalazł etat w kancelarii prezydenta Nawrockiego, a ona właśnie w Garwolinie.

Małżeństwo zasiada też w radach nadzorczych spółek miejskich w Gorzowie Wielkopolskim, razem otrzymując od miasta 10 tys. zł. Mało tego, od października 2025 r. Ryszard Madziar jest też szefem rady nadzorczej spółki linii autobusowych w Chełmie, rządzonym przez prezydenta PiS, nazywanym „złotym dzieckiem" PiS, Jakuba Banaszka.

Czystki pokazowe

Jeden z posłów PiS opowiada, że już widać pierwsze efekty powołania partyjnego zespołu. – *Prezydent Otwocka sam się opamiętał i wyrzucił radnego wojewódzkiego ze spółek miejskich.* Chodzi o radnego sejmiku mazowieckiego Damiana Olszewskiego. Jego ojciec Dariusz w poprzedniej kadencji Sejmu był posłem PiS, formalnie związanym z Solidarną Polską. W kolejnych wyborach w 2023 r. nie dostał już mandatu. Na pocieszenie w 2025 r. został wicestarostą powiatu otwockiego. Stanowisko zawdzięcza umowie koalicyjnej z samorządowcami PiS, którym do stworzenia większości w radzie powiatu brakowało dwóch głosów. Zapewnił im je komitet Nasz Wspólny Dom, którego założycielem był właśnie Dariusz Olszewski.

Chwilę później syn wicestarosty, 30-letni dziś Damian, dzięki dyplomowi z Collegium Humanum zasiadł w radach nadzorczych miejskich spółek – Otwockiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji oraz Remondis Otwock. Najwięcej wątpliwości budził brak jakiegokolwiek doświadczenia młodego samorządowca w miejskich spółkach. Z zawodu jest trenerem piłkarskim. Rozpoczął też pracę na etacie w Otwockim Zakładzie Energetyki Cieplnej. Na koniec czerwca prezydent Otwocka odwołał go ze spółek. W miejskich spółkach – jak wynika z opublikowanego niedawno oświadczenia majątkowego radnego zarobił 55 tys. i do tego na etacie w otwockiej energetyce 86 tys. zł oraz z diety radnego 57 tys. zł.

W PiS słychać, że wokół Olszewskich zrobiła się gęsta atmosfera i trzeba było to przeciąć. W maju portal zero.pl opisał, że senior, wicestarosta otwocki, przez niemal trzy lata pobierał wynagrodzenie od oddalonej od 300 km samorządowej spółki odpadowej w Jarocinie za doradztwo. 5 tys. co miesiąc – łącznie 165 tys. zł. Nie zachowały się jednak żadne ślady tego doradzania, maile czy opinie jego autorstwa. W marcu 2026 r. nowe władze Jarocina złożyły w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury, w czerwcu ruszyło śledztwo.

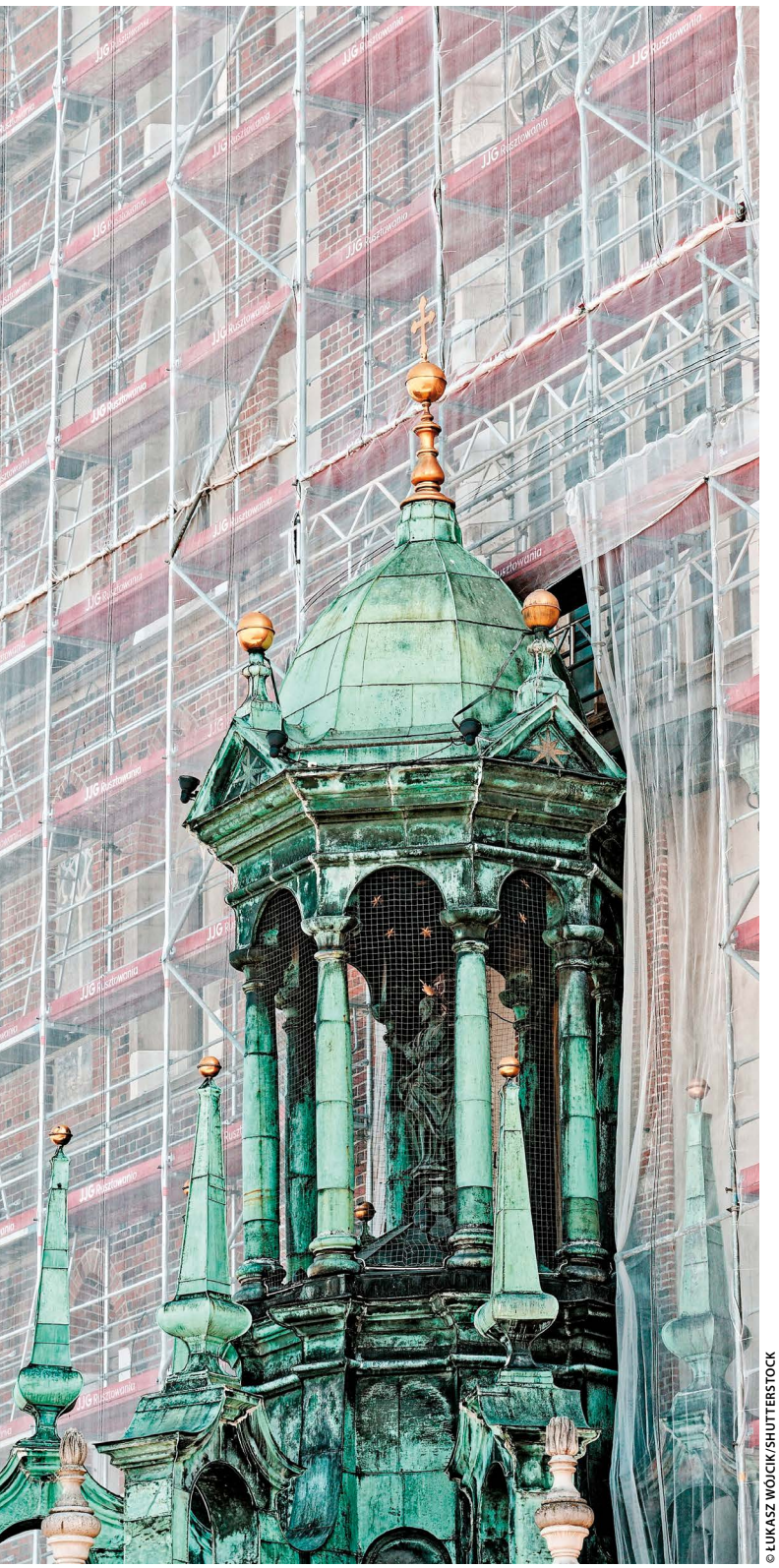
Zespół ds. tropienia tłustych kotów spotkał się już kilka razy i podobno intensywnie pracuje. Najpóźniej do końca roku ma napisać raport dla prezesa Kaczyńskiego, i to on będzie podejmował decyzje, co zrobić z tymi, którzy w kampanii mogą okazać się kłopotem. Dla przykładu może odwołać z intratnych stanowisk kilku radnych, i to też ma być paliwo na kampanię. Znacząca osoba w PiS: – *Tak odzyskamy wiarygodność po wpadkach z poprzednich lat rządów, że nawet jak się takie przypadki u nas zdarzają, to je eliminujemy. I przy okazji pokażemy listę tłustych kotów rządów Tuska.*

ANNA DĄBROWSKA

© FACEBOOK, GRZEGORZ KSEL/REPORTER, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl 70e748f8f6

Zakonserwowani



© ŁUKASZ WÓJCIK/SHUTTERSTOCK

Założenie klimatyzacji właściwie odpada, wymiana okna to droga przez mękę, a przebudowa to przeprawa jak lot w kosmos. 400 tys. zabytków ma miliony właścicieli, którzy przeklinają swój los.

MARTYNA BUNDA

W Polsce coraz łatwiej zostać właścicielem zabytku. Nawet wówczas, kiedy się o to nie prosi, a wręcz nawet nie podejrzewa, że jakiś zabytek się posiada. Praktyka jest taka, że zaczęły nimi zostawać peerelowskie kina, niewyróżniające się niczym szczególnym prywatne domy z lat 60., ale położone w zabytkowych dzielnicach, albo liczące dwadzieścia kilka lat dworce autobusowe. Zabytkowa może być kostka brukowa lokalnej ulicy, drzewa w przypałacowym parku, a nawet całe pierzeje kamienic czy układy architektoniczne wsi.

W myśl nowego patrzenia na zabytki mogły być nimi nie tyle pojedyncze obiekty, ile całe struktury urbanistyczne albo krajobrazowe. Przy tej okazji obiektem zabytkowym z dnia na dzień stawało się każde okno w budynku w okolicy, każde drzwi wejściowe albo płot. Do gminnych ewidencji wpisano tak ok. 400 tys. budynków i ponad 6 tys. ulic, pierzei i wsi. Taki wysyp zabytków musiał rodzić napięcia. I rodzi je dzień w dzień.

Gdzie jest państwo

W PRL zabytkami, jak wszystkim, zajmowało się państwo. Konserwatorzy, specjaliści od architektury historycznej, wskazywali kierunek; biura architektoniczne, wyspecjalizowane w restaurowaniu zabytków, pilnowały wykonawców.

W latach 90. kilkaset tysięcy z tych obiektów zabytkowych trafiło nagle w prywatne ręce. Wille, domy, ale też większe historyczne obiekty – kamienice, dawne fabryki. Samych pałaców sprywatyzowano około tysiąca. W tym ogromne posiadłości o gigantycznej wartości historycznej. W PRL pełniły funkcję przypegeerowskich przedszkoli, wiejskich ośrodków kolonijnych i były kupowane wraz z całym majątkiem upadłego PGR, zwykle, jeszcze w całkiem dobrym stanie, ale wymagały ciągłej konserwacji dachów, rynien, fundamentów.

Sytuacja skomplikowała się po 2010 r. wraz z nowelizacją ustawy o gminnych ewidencjach zabytków. Założenie było rozsądne: chodziło o to, żeby uporządkować dokumenty, a przy okazji sprawnie objąć ochroną również te nieruchomości, które nie zostały wpisane do istniejącego od międzywojnia ministerialnego Rejestru Zabytków, ale według władz samorządowych (i wedle opinii lokalnych konserwatorów) ich wartość była znacząca.

eprasa.pl 70e748f8f6

System formalnie istniał wówczas już od kilku lat, ale gminy nie zakładały rejestrów, a i z wpisem nic konkretnego się nie wiązało.

Po nowelizacji znienacka okazało się, że na właścicielu zabytku z ewidencji ciążą identyczne obowiązki jak na posiadaczu XVII-wiecznego pałacu z ministerialnego rejestru. Odtąd wszelkie zmiany fasady należało uzgadniać z konserwatorem i nawet wymiana okien bez jego zgody była zagrożona karą.

Nieistotni właściciele

Właściciele posesji czy mieszkań o tym, że mieszkają w zabytku, dowiadywali się przypadkiem – albo wcale. Czasem dopiero z mandatu od konserwatora, wlepionego, gdy zabrali się do wymiany okien, które w tym czasie stały się zabytkowe. Wedle ustawy o ewidencji właściciele nie byli stroną w sprawach o wpis, więc nikt o niczym ich nie powiadamiał.

Właściciel kamienicy z lat 30. w centrum Łodzi zamierzał ją przebudować. Zanim zabrał się do remontu, odwiedził konserwatora zabytków i ustalił z nim zakres planowanej nadbudowy – miał to na piśmie. Zbierał potrzebne pozwolenia. Wtedy dowiedział się, że kamienicę wraz z całą ulicą wpisano do ewidencji zabytków. Plan przebudowy musiał trafić do kosza. Z kolei inwestor, który zakupił pawilon handlowy z lat 70. w centrum Warszawy, nazajutrz po zakupie dowiedział się, że jest właścicielem zabytku – wieczorem Emilię wpisano do ewidencji.

Problem okazał się na tyle poważny, że w 2023 r. Rzecznik Praw Obywatelskich przygotował wystąpienie na ten temat, przyłączając się do wniosku do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności takich postępowań z konstytucją. Do jego biura trafiły setki skarg. Notabene, czasem mandat od konserwatora kończył zresztą karierę budynku jako zabytku, bo właściciele z powodzeniem odwoływali się do sądu od samego faktu dokonania wpisu – a sąd stwierdzał, że decyzja samorządu nie była dostatecznie merytorycznie uzasadniona. Tak z ewidencji zabytków wykreślono wspominany pawilon handlowy Emilia, prywatne domy w Warszawie, Szczecinie czy na Mazurach, dawne kina w Warszawie czy Łodzi. Ale w wielu innych sprawach ich biegu nie dało się już odkręcić. Właściciel kamienicy w Łodzi przegrał proces sądowy. Choć stracił na wpisaniu swojej własności do ewidencji zabytków, nie mógł liczyć na żadną rekompensatę od państwa. Brakowało podstawy prawnej. W efekcie kamienica jest w coraz gorszym stanie. Pusta, od lat wystawiona na sprzedaż. Właściciel zarabia, wynajmując ją jako słup reklamowy.

Państwo Potomscy z Darłowa w latach 70. kupili działkę z myślą o budowie. Trochę zeszło, ale gdy wreszcie zabrali się do dzieła, dowiedzieli się, że ich działka – jak się okazało, dawny, nieistniejący już cmentarz żydowski – została tymczasem zabytkiem. Nic nie można było tam już wybudować. Małżonkowie poprosili gminę o działkę zamienną albo rekompensatę, ale im odmówiono. Potomscy poskarżyli się do Strasburga i wygrali.

Nieznana wiedza

Podobne problemy powszechnie dotyczą dziś termoizolacji. Właściciele zabytków słyszą, że to ważne, sprawdzają rynek, i dowiadują się, że musi być styropian, 20 albo 30 cm. Piszą do konserwatora, ale ten kategorycznie odmawia zgody na styropian – i słusznie, tych dodatkowych 20 cm nieodwracalnie odmieniłoby bryłę. Jeśli zapytają (a zwykle nie pytają, bo nie wiedzą, że mogą), konserwator może wspomni o specjalnych farbach opatentowanych na potrzeby statków kosmicznych, stosowanych dziś z ogromnym powodzeniem w termoizolacji zabytków, ale wtedy wykonawcy stukają się w głowę – bo niby jak farba miałaby być tak skuteczna jak styropian? Zresztą w programach z dofinansowania nie wspomina się o farbach, tylko o styropianie.

Konserwator być może powie właścicielom o osobnych programach termoizolacyjnych dla zabytków – ale wtedy wspólnoty pewnie trafią do którejś z kilku największych firm, wyspecjalizowanych w audytach energetycznych nieruchomości zabytkowych, i usłyszą, że to kosztuje nie tysiąc, jak w przypadku zwykłych domów, lecz kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Za styropianem pójdą okna. Konserwator nakaże zachować szerokość ram, a wykonawca powie, że w czymś takim nawet pakiet dwuszybowy się nie zmieści. Jeśli konserwator wspomni o szybach niskoemisyjnych albo jeśli właściciele spytają AI, co zrobić, może jeszcze z tego wybrną. A w kolejce czeka już temat klimatyzatorów. Przy zmieniających się temperaturach w Polsce – coraz bardziej gorący. Tak, istnieją klimatyzatory montowane wewnątrz mieszkań, można zaprojektować system tak, żeby z zewnątrz był niezauważalny, tyle że to może wymagać współpracy kilku mieszkań.

Są w Polsce lokalni rzemieślnicy produkujący niedrogie historyczne okna, choć głównie na rynek francuski. Właściwie każdy taki problem da się rozwiązać, ale nie z poziomu właściciela mieszkania w kamienicy, społecznie pracującego po godzinach na rzecz swojej wspólnoty. Bo budżetowe remontowanie zabytków to wiedza, której często nie mają nawet konserwatorzy. Oni znają najlepiej rynek dużych inwestycji, gdzie akurat nie oszczędza się na rozwiązaniach. Z problemem braku dostępu do wiedzy mogło być trochę prościej, ale nie jest.

Gdy w 2022 r. powołano do życia Narodowy Instytut Konserwacji Zabytków, w założeniu miał on w sposób dostępny szerzyć właśnie taką wiedzę. Instytut przeprowadził trochę szkoleń, przygotowywał publikacje, wsparł merytorycznie kilka udanych renowacji prywatnych zabytków, a w 2022 r. zdążył jeszcze wydać wciąż dostępny online przewodnik autorstwa Katarzyny Sielickiej dla remontujących właścicieli – po czym został zlikwidowany. Włączono go do Narodowego Instytutu Dziedzictwa zajmującego się wcześniej (i pod inną nazwą) dokumentowaniem zbiorów. A za brakiem wiedzy w Polsce idzie jeszcze brak odpowiedzialności, innej niż mierzona w mandatach.

Ludzka katastrofa

Tak się składa, że XIX-wieczne kamienice właśnie masowo weszły w ten etap swojego istnienia, gdy zaczęły sypać się ich drewniane stropy, często noszące ślady uszkodzeń z czasów drugiej wojny światowej. W ostatnich latach zawaliły się ich w Polsce dziesiątki i to jedynie szczególny zbieg okoliczności, że przy okazji nie było ofiar śmiertelnych (nie licząc zawaleń w czasie pożarów i remontów).

Tylko w niewielkim Drezdenku w Lubuskiem w ciągu 10 lat zdarzyło się kilka zawaleń stropów w budynkach wielorodzinnych; jedna osoba została ciężko ranna. Współczesne technologie pozwalają w miarę łatwo zastąpić kruszejące drewniane stropy betonowymi, prefabrykowanymi, w cenach na miarę możliwości funduszu remontowego w kamienicy. Warunek jest jeden – trzeba opróżnić wszystkie lokale na ponad miesiąc i wymienić wszystkie stropy naraz, jednak w Polsce nie ma żadnych mechanizmów prawnych pozwalających zobowiązać pojedynczych członków wspólnot do działania. Wystarczy, że jedna osoba się nie zgadza. ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ Pieniądze na zabytki to osobny temat. Niby są – liczone w miliardach, a jednak ich nie ma, bo z pieniędzmi na zabytki jest jak z całym systemem – za państwowe remontuje się to, co od dekad zawsze się remontowało, czyli niemal wyłącznie kościoły.

Najstarszy i najpopularniejszy z istniejących państwowych programów dofinansowywania renowacji to Ochrona Zabytków finansowana przez Ministerstwo Kultury. Na ten program państwo przeznacza ok. 120 mln zł rocznie. Ale choć co trzeci zabytek w Polsce należy do prywatnej osoby, to niemal 90 proc. pieniędzy idzie na renowacje własności Kościoła katolickiego – kościołów, plebanii, czasem budynków użyteczności parafialnej. Z państwowych pieniędzy remontuje się cmentarze, przydrożne kapliczki, krzyże – ale secesyjne pałace o ogromnej wartości historycznej już nie. Właściciele unikatowego na skalę europejską pałacu w Podwilczu na Pomorzu, przez niemal dekadę bezowocnie wystawionego na sprzedaż i niszczejącego, dostali go w spadku.



© PAWEŁ MARCINKO/KFP

Kościół św. Brygidy w Gdańsku walczy o ekologiczne panele położone bez zgody konserwatora w 2023 r.

Liczyli na dofinansowanie z racji rangi swojego zabytku. Założyli fundację, uzbierali pieniądze na renowację stajni pałacowych i wyremontowali je pod okiem konserwatora, licząc, że to pozytywne doświadczenie wzmocni ich szanse w ubieganiu się o większe dofinansowanie – nigdy na żadną z dotacji się nie załapali. Pałac, który zdominował całe ich życie, wystawili w cenie gruntu, ale chętnych nie było.

A przecież pieniądze, które państwo przeznacza na zabytki, płyną też do Kościoła innymi strumieniami. Na to idzie część z liczącego ponad 270 mln zł Funduszu Kościelnego. W latach 2021–23 na kościoły poszła niemal całość pieniędzy z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa – ponad 45 mln z puli 47,5 mln zł. Także dotacje, rozdzielane co roku przez wojewódzkich konserwatorów zabytków, trafiają w ponad 85 proc. do kościołów.

Przełomem w finansowym podejściu państwa do opieki nad zabytkami miał być rok 2023. Opinia publiczna zapamiętała głównie „pałacyk plus"; ulgę, w ramach której właściciel nieruchomości zabytkowej mógł odliczyć sobie od dochodu w danym roku połowę kosztów remontu prowadzonego zgodnie z wytycznymi konserwatora – z tej ulgi skorzystał bowiem Daniel Obajtek, ówczesny prezes Orlenu. Ale największe pieniądze na historyczne budynki popłynęły z Rządowego Programu Odbudowy Zabytków: 2,5 mld zł.

Pieniądze trafiły do samorządów, które same mogły zdecydować, co dofinansowują, a dopłata do renowacji zabytku mogła sięgać 98 proc. kosztów. Praktyka okazała się różna, np. w Warszawie po raz pierwszy na wsparcie załapały się wspólnoty mieszkaniowe, np. mieszkańcy przy Placu Hallera w Warszawie. Jednak w skali całej Polski pieniądze znów poszły tam, gdzie zawsze. – *Jeśli wniosek składa Kościół, to budżet remontu jest tak duży, że nic już nie zostaje dla nikogo innego. A u siebie w gminie nie mogę odmówić Kościołowi, bo wyborcy by mnie zjedli* – opowiada burmistrz miasteczka w centralnej Polsce. Według analiz „Gazety Wyborczej" 80 proc. pieniędzy z tej miliardowej puli trafiło do Kościoła.

Młyn z przepisami

Pieniędzy na remonty nie ma (chociaż są), a jednocześnie to, co w teczce na jednym z biurek tego samego urzędu jest zabytkiem, na innym biurku staje się po prostu budynkiem wielorodzinnym. I jako taki podlega coraz ostrzejszym przepisom budowlanym. Przy każdej próbie podjęcia remontu, wiążącego się z częściową przebudową – a więc i koniecznością uzyskania pozwolenia na budowę – w przypadku zabytków wypływa cała lista problemów. Liczy się procent światła wpadającego do mieszkania, szerokość klatek schodowych (nie może brakować nawet centymetra), nośność dachów (normy w ciągu ostatnich lat wyostrzyły się kilkakrotnie). W grę wchodzi konieczność obłożenia wszystkich elementów drewnianych poddasza płytami z kartongipsu, bo tak przewiduje dziś prawo przeciwpożarowe. W przypadku budynku zabytkowego nawet powiększenie jednej łazienki o metr kosztem zakupionego od wspólnoty kawałka strychu – to wielomiesięczna procedura wymagająca kosztownych ekspertyz, m.in. specjalistów od szacowania ryzyka pożarowego.

Właścicielom, którzy nie są w stanie zmieścić się w wyśrubowanych normach, pozostają indywidualne wnioski do ministra kultury o tzw. odstępstwo i oczekiwanie na decyzję. Zwykle jest pozytywna, ale cała procedura może trwać nawet rok.

Te same – ale zwielokrotnione – problemy dotyczą inwestycji, które miałyby nadać zabytkom nowy charakter. Na zachodzie Europy to już niemal standard, że stare stajnie na uboczu, zapomniane fabryki przerabia się na mieszkania. W Polsce przeróbka zabytku to nie tylko czekanie na zgody ministra – dla każdego odstępstwa z osobna, ale też np. wnioski o tzw. decyzje środowiskowe, na które czeka się znacznie dłużej. Zmorą są miejsca parkingowe. Zgodnie z nowelizacją ustawy obowiązkowe półtora albo dwa na lokal, o wymiarach, które nie mogą odbiegać od zapisanych w przepisach nawet o centymetr i muszą być oddalone od granicy działki i od okien co najmniej 10 m. Jak to zrobić? To problem nie do przejścia. A ponieważ miejsca parkingowe to osobna ustawa, akurat od tego obowiązku nie można odwołać się do ministra kultury. Młyn, w którym miały powstać cztery mieszkania, w efekcie pozostanie więc ruiną – budżet właścicieli zresztą też. Co więcej, gdyby zechcieli młyn sprzedać, wszelkie uzyskane z mozołem zgody, udzielone im przez konserwatora zabytków, tracą moc. Takie prawo, że nie można ich sprzedać wraz z budynkiem.

Ministerstwo Kultury pracuje tymczasem nad projektem kolejnej ustawy o zabytkach. Jeśli ktoś się ucieszył, że następuje opamiętanie, to na krótko. Na razie wiadomo tyle, że nakłada na właścicieli nowego rodzaju karę: za nieoznaczenie zabytku odpowiednią tabliczką.

MARTYNA BUNDA

eprasa.pl 70e748f8f6

Dzieci Paprodziada

Wiara w tajemne moce, magnesy ochronne czy magiczne kakao i spory dystans do konwencjonalnej nauki. To wszystko połączyło uczestników festiwalu Witariada.

JOANNA CIEŚLA



© JOANNA CIEŚLA

Syn kobiety w beżowym dresie widzi dusze. – *Ja w pełni to akceptuję* – zapewnia 40-latka. Jej dziecko ma 13 lat. Dostrzegane przez nie dusze przemieszczają się po całym domu. Kobieta chce ustalić z autorytetem, w jaki sposób pracować z chłopcem. Jak wzmocnić jego dar?

Stoimy na trawie w kilkudziesięcioosobowej grupce wokół 60-letniego Tomasza. Przed chwilą skończył się jego występ zatytułowany „Regresja hipnotyczna. Jak traumatyczny wpływ mają wcześniejsze wcielenia na nasze obecne życie?". Rzecz działa się na Małej Scenie festiwalu Witariada 2026, w Folwarku Łochów, godzinę drogi od Warszawy. Gdy na scenę wyszła następna prelegentka, Tomasz zabrał stand z plakatem o jego działalności. A za Tomaszem natychmiast podążyła część widzów – jak uczestnicy pielgrzymki za kapłanem. Z grupy płyną osobiste dylematy. – *Odkąd zmarł mąż, przychodzą do mnie ciemne zjawy, staram się ich do siebie nie dopuszczać. Ale może powinnam?* – dopytuje szpakowata kobieta. Tomasz chwali ostrożność i zaleca kupić magnes. Warto nosić w kieszeni, położyć na noc pod poduszką. Nic lepiej nie chroni przed energetycznymi pasożytami. Ochrona jest ważna, bo od pasożytów aż się roi.

Kolejna kobieta pyta, czy magnes ochroni ją też przed energetycznym pasożytnictwem dzieci? Bo jako pielęgniarka pracuje z niemowlętami i czuje, że ją wysysają. Poza magnesem ma używać kamertonu i okadzać ziołami swoje miejsce pracy. Po godzinach, bo za dnia nie ma opcji, to jasne.

Każdy wie, że z tym, co dzieje się wokół ochrony zdrowia i medycyny, jest ciężko. Była pandemia. – *Medyczną Nagrodę Nobla powinien dostać Putin za to, że w 2022 r. sam pandemię zlikwidował!* – krzyczy Tomasz. Widać, że raczej żartuje, nawiązując do sytuacji w Ukrainie. Śmieją się 70-latki w dresach w panterkę, mocno zbudowani panowie w średnim wieku, młode kobiety w powłóczystych spódnicach.

Dotknij pełni!

Tomasz, prowadzący kanał Zdravo, „dyplomowany naturopata specjalizujący się w usuwaniu bólu, traum oraz wszelkich napięć fizycznych i psychicznych", to jeden z ponad 50 prelegentów Witariady. Festiwal organizuje od 2020 r. Mariusz Budrowski, dziś 50-latek. W pierwszych dekadach zawodowej kariery zajmował się rozwijaniem struktur w marketingu sieciowym, m.in. na terenie Wielkiej Brytanii. Gdy popadł w problemy zdrowotne, zmienił filozofię życia. Został przedsiębiorcą w branży zdrowej żywności i popularyzatorem diety witariańskiej (je się wyłącznie surowe owoce i warzywa oraz tłoczone na zimno oleje). Początkowo na Witariadzie zajmowano się właśnie promocją surowej diety roślinnej oraz holistycznego podejścia do zdrowia. Ale rozwijająca się impreza zaczęła przyciągać specjalistów z takich obszarów jak ustawienia Hellingera, konchowanie uszu, analiza snów czy terapia oddechem. Ku temu wszystkiemu chętnie zwracają się Polki i Polacy wymęczeni prawie czterema dekadami kapitalizmu, ale ▶

eprasa.pl 70e748f8f6


Warsztaty tańca z wachlarzami

▶ wciąż pełni nadziei na lepszą codzienność i przez internet informowani o możliwościach terapeutów, uzdrowicieli, ekspertów i przewodników, którzy dotknęli Pełni i Prawdy.

Rok w rok bilety na festiwal rozchodzą się szybciej. Na tę edycję dotarły prawie cztery tysiące ludzi. Rejestracje wskazują, że zjechali z małych miejscowości Mazowsza, z dalszych miasteczek jak Chojnice, Głubczyce, z wiosek Dolnego Śląska, ale i z samej Warszawy. Zapłacili od 399 zł (jednodniowy wstęp na festiwal) do 3599 zł za pakiet VIP, uwzględniający wyżywienie, w tym z obiad z Mariuszem w kameralnym gronie oraz noclegi na terenie Folwarku Łochów (to kompleks hotelowy grupy Arche, który zasłynął ugoszczeniem Kongresu Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządowych związanego ze środowiskiem Grzegorza Brauna). Najdroższe bilety były dostępne w sprzedaży ratalnej.

Złote opaski VIP nosi zaskakująco wiele osób w wieku emerytalnym. Wśród nich pani Renata, zadbana, z makijażem i włosami ufarbowanymi na kasztan, namówiona na wyjazd przez koleżankę; szczęśliwa, że mogła przyjechać. – *To jest jak bajka. Jak dobrze sobie uświadomić, że to, jak my żyjemy, ma taki wpływ na nasze dzieci i wnuki.* Uświadamia m.in. Joanna Kaszuba, jedna z najsłynniejszych specjalistek od psychobiologii, objaśniająca mechanizmy dziedziczenia wzorców na poziomie biologicznym. Proporcje uczestniczek i uczestników to mniej więcej 60 do 40 proc. Są dorośli synowie i ich mamy, rodziny z nastoletnimi dziećmi, pary 30-latków.

Powitaj Tura!

– *Energia żeńska, gdy stawia granice, wchodzi w energię męską. Zakłóca porządek. Bo energia żeńska jest od tego, żeby kochać bezgranicznie* – naucza Paprodziad, jedna z megagwiazd festiwalu. Przed Dużą Sceną zgęstniał tłum chętny, by posłuchać tekściarza i wokalisty, związanego kiedyś z zespołem Łąki Łan. Rozstali się z Paprodziadem; nie chcieli być kojarzeni z jego teoriami na temat pandemii Covid-19 i rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Od tej pory artysta włącza się w rozmaite projekty i działa na własną rękę, głosząc m.in. powrót Tura, czyli odradzanie się dojrzałej męskości. Zarośnięty, z długimi włosami, bosy, w aksamitnej żółtej szacie wygląda jak chodząca antyteza prawicowych wartości. Ale gdy prezentuje swoje przemyślenia i fragmenty utworów, obraz się komplikuje: „Przez tyle wieków, tyle pokoleń czekać musiałaś, turkaweczko ma, ale już wracam przez rodu pole, odradza się, moc i siła ma (...). Wstajemy z kolan, serca do góry, mężowie czynu, strażnicy, tury. Czas wziąć w opiekę turkaweczki swe, by mogły o życie zatroszczyć się" – deklamuje. „To mężczyzna jest tym lodołamaczem, który jest po to, żeby za nim, za mężem mogła podążać i funkcjonować w zgodzie ze swoją biologią ta energia żeńska" – wyjaśnia.

Paprodziada niepokoi, że obecnie można sobie wybrać płeć spośród rosnącej ich liczby, a nie można wybrać sposobu leczenia w razie choroby. Niepokoi go też zagarnianie symboli przez rozmaite ideologie. Na przykład tęcza. – *Jest pięknym symbolem przymierza człowieka z Bogiem. A jednak pewna ideologia zawłaszczyła sobie ten symbol.* Przy czym, zwraca uwagę Paprodziad, ta przejęta tęcza nie jest nienaruszona. Brakuje w niej odcieni niebieskiego, który to kolor jest symbolem harmonii. – *A jak nie ma harmonii, to co jest?* – pyta.

Publiczności nie przeszkadza, że wywód Paprodziada jest pełen paradoksów i nieoczekiwanych wolt. Kilka zdań później prelegent podkreśla, że pojawienie się idei jednego Boga nie zrobiło dobrze ani ludzkości w ogóle, ani Słowianom. Ta idea od tysiącleci służy do tego, żeby dzielić i wykluczać, choć przecież każda istota ma prawo żyć, jak chce, dopóki nie narzuca czegoś innej istocie. 966 r. był, zdaniem Paprodziada, jedną z najważniejszych dat w procesie odcinania nas od wiedzy, od korzeni i prawdy.

Po żegnanym owacją guru scenę przejmuje ubrana w lycrę instruktorka fitness. Poderwana przez nią publiczność uczy się układu do discopolowej piosenki „Digi digi digi hej, zatrzymaj lato!".

Zluzuj pępek!

Rozbudowany program artystyczny jest ważną częścią oferty. Na Dużej Scenie występuje neofolkowa piosenkarka Diya, artysta reggae Mesajah, ale jest też coś dla tych, którym w sercu grają bardziej swojskie nuty – zespół Łzy i Gosia Andrzejewicz. Można skorzystać z warsztatów mantra dance – energetycznej praktyki medytacji przez ruch połączonej ze śpiewaniem świętych dźwięków. Można też nauczyć się prostego, ale efektownego tańca z wachlarzami. Otwieramy kolorowe wachlarze, patrząc w oczy sąsiada z uśmiechem i krzycząc: „Zachwyt!".

Na Dużej Scenie wczesnym popołudniem pojawiają się Siergiej Czarny i Walenty Popadyn. Siergiej Czarny to według oficjalnej wizytówki badacz, wykładowca i praktyk naturalnych metod wspierania organizmu oraz honorowy profesor lwowskiego uniwersytetu stauropigijskiego (na wizytówce nie ma nic o tym, że w 2008 r. Państwowa Komisja Akredytacyjna Ukrainy cofnęła uczelni licencję z powodu rażących naruszeń przepisów o szkolnictwie wyższym). Walenty Popadyn to wytwórca naturalnych suplementów diety i astrolog. Tłumaczy wystąpienie Czarnego z rosyjskiego na polski. Czarny mówi, że kiedyś ludzie żyli 300–400 lat, ale potem zaczęły im szkodzić trucizny, np. jad insektów, pająków czy kleszczy. A gdy trucizna trafia do ciała, mózg zaciska mikronaczynia między prawą i lewą półkulą, żeby się bronić. – *Wtedy również* – tłumaczy prelegent – *zaciska się pępek, który jest z tymi mikronaczyniami połączony. Od zaciśniętego pępka zaczynają się u mężczyzn problemy z prostatą, u kobiet – z tarczycą.*

© JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 70e748f8f6



Gdy uczestnik Witariady potrzebuje przerwy, może wzmocnić ciało i umysł na stoiskach gastronomicznych, na przykład kawą z grzybami. Arabica z dodatkiem soplówki jeżowatej podobno wspiera układ nerwowy. Robi to jednak na tyle subtelnie, że można nie dostrzec różnicy między wpływem kubeczka naparu w cenie 20 zł i zwykłej americany.

Na stoiskach targowych są do nabycia ekologiczne pudry, żywa woda, urządzenia do fizykalnej stymulacji mikrokrążenia. Dostępne są też sesje numerologiczne – 15-minutowa prognoza za 60 zł lub 30-minutowa analiza za 160 zł. Nikt nikogo nie nagabuje. Dominuje atmosfera spokoju i życzliwości, choć z jednego z namiotów sprzedawców dobiegają krzyki. – *Skoro nie mamy sukienek do wywieszenia, to ogarnij tę przestrzeń, bo wygląda jak nędza, a ty siedzisz ciągle w tym tablecie!* – wyrzuca damski głos. – *W jakim, kurwa, tablecie?!* – broni się mężczyzna. – *I zamknij się, bo przed ludźmi wstyd!*

W kolejce po wytrawnego gofra z burakiem czeka zadbany 70-latek. Przyjeżdża co roku, z kujawsko-pomorskiego. Prowadzi dużą firmę transportową, 150 tirów. Na Witariadzie jest sam; celowo, bo kiedyś musi się odciąć od zalewu spraw do załatwienia, powiadomień i raportów. Kiedyś zliczył, że w kilka godzin spływa do niego średnio po 200 wiadomości dziennie. Tutaj telefon zostawia w samochodzie i udaje, że go nie ma. Pracę nad sobą zaczął 10 lat temu, gdy po rutynowej wizycie lekarka skierowała go do szpitala. Synowa przyniosła mu wtedy książkę Michała Tombaka, mieszkającego w Polsce rosyjskiego eksperta od zdrowego stylu życia i długowieczności. Okazała się odkryciem, pozwoliła przedsiębiorcy całkowicie zrezygnować z usług lekarzy i utrzymywać zdrowie na własnych zasadach. Przyznaje, że ciśnienie co prawda ciągle mu wariuje, ale wierzy, że to w końcu przejdzie. Tak było z bólem głowy. Męczył go przez 10 ostatnich lat, aż w ubiegłym miesiącu wreszcie minął. Człowiek Zachodu po prostu oduczył się czekać. Gofry z burakiem, rukolą i sosem z nerkowców smakują jak najczystsza poezja.

Zostań królem!

Wracając do festiwalowego centrum, w okolice Dużej Sceny, już z daleka można usłyszeć zbiorowe skandowanie: – *Jest zdrowy! Jest zdrowa!* Na podwyższeniu – szef imprezy Mariusz Budrowski, a z nim kilkanaście osób. Stojący na scenie ludzie zgłosili się na ochotnika z rozmaitymi bólami – głowy, kręgosłupa, brzucha. Określali nasilenie dolegliwości w skali od 1 do 10. Po sesji zbiorowego uleczania (tym było skandowanie) mają zaktualizować odczucia. U większości ból trochę osłabł. Publiczność dalej ma wysłać cierpiącym miłość, nic nie mówiąc, tylko wyciągając w ich kierunku ręce. A potem połączyć skandowanie z wysyłaniem. Ochotnicy, którzy mówią, że ból zmalał do poziomu zero lub jeden, mogą zejść ze sceny.

Dwie oporne na oddziaływania uczestniczki zostają. Mariusz każe jednej z nich położyć się na leżance. Gdzieś ją uciska (dokładnie nie widać) i pyta do mikrofonu, czy ma „coś za złe partnerowi czy może matce?". Kobieta nie odpowiada, więc Mariusz stwierdza, że pewnie chodzi o matkę. Uciska dalej i co chwila pyta, czy ból przechodzi. Kobieta w końcu zaczyna potwierdzać, a Mariusz się nakręca: – *Przypomniałaś sobie tamtą awanturę?! Wybacz to, co ci mama nawrzucała! Czy wreszcie jej wybaczyłaś?!* Kobieta bąka do mikrofonu, że nie ma czego wybaczać, ale wreszcie może uciec ze sceny. Ostatnią pacjentką jest na oko 13-letnia dziewczynka. Będzie uleczana na stojąco. Mówi, że boli ją szyja. Mariusz wbija jej palec w żołądek i pyta, czego nie może strawić. Osłupiała dziewczyna nie musi odpowiadać do mikrofonu, może na ucho uzdrowiciela. Przez chwilę jeszcze dźga ją palcem, uzyskuje zapewnienie, że szyja już nie boli i pozwala wrócić do rodziców.

Na główny punkt wieczoru zaplanowano Ceremonię Narodzin Króla i Królowej, w Namiocie Esencji Kobiecości i Męskości, ustawionym przez parę prelegentów przedstawionych jako Aleksandra Maria Gelo i Adżaris. Adżaris tak naprawdę ma na imię Adrian i jest partnerem Aleksandry. Razem prowadzą też firmę szkoleniową. Aleksandra jest z wykształcenia psychologiem, coachem, trenerką biznesu. Przez kilkanaście lat zdobywała doświadczenie w sprzedaży, a potem została nauczycielką nowej świadomości, terapeutką wielowymiarową, która pomaga m.in. integracji świętej kobiecości ze świętą męskością oraz połączeniu ich w świętą unię. I tym właśnie mamy się wieczorem zajmować. Ale główną ceremonię poprzedza ceremonia kakao. Kubeczek w cenie 20 zł. Namiot Esencji niemal pęka w szwach. Siadamy w kilku warstwach kręgu, żeby jakoś się pomieścić. Adżaris uderza w bębny, Aleksandra zaczyna melorecytację „Kakao medycyna, Matka Ziemia nas uzdrawia". Wtórujemy jej. Wystukiwany rytm przyspiesza. Dodajemy frazę „ulecz, ulecz, ulecz nas". Po 20 minutach Aleksandra wita ducha kakao. Dodaje, że nawet ten, kto kakao nie kupił, zaraz je poczuje, bo tak działa duch medycyny. I że mamy sobie samym podziękować.

Właściwe Narodziny Króla i Królowej okazują się dobrze rozkręconą imprezą taneczną. Rozpoczyna się od rozgrzewki, następnie zgodnie z zaleceniem prowadzącej mamy przy akompaniamencie hitów z różnych dekad przytulić swoje wewnętrzne dziewczynki i wewnętrznych chłopców; dać im przyzwolenie, by wyrastali na wewnętrznych królów i wewnętrzne królowe. Wyrastamy zatem. Alkoholu na terenie festiwalu nie ma, nie czuć też charakterystycznych zapachów innych środków. Poza kakao. Osoby, które wcześniej nie zdążyły zapłacić za napój, po ceremonii rozliczają się z ambasadorkami Akademii Kobiecości przypominającymi anioły, w długich białych sukniach z różowymi szarfami.

Niestety, perspektywy przyszłorocznej Witariady, jak obawia się Mariusz Budrowski, są niepewne. W parlamencie trwają prace nad nowelizacją ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta (przez cyników nazywaną „lex szarlatan"). Ograniczy możliwości uzdrawiania innymi metodami niż niewydolna medycyna rockefellerowska. Drogi dotarcia do Prawdy, Pełni i Harmonii mogą stać się jeszcze bardziej wyboiste.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 70e748f8f6



eprasa.pl 70e748f8f6





Projekt wnętrza: Aneta Gruzik-Komasa / Zdjęcia: Mufka Fotografia Dagmara Maroszek- Bździuch

Warszawa od lat harmonijnie łączy szacunek dla historii z odważnym spojrzeniem w przyszłość. To podejście znalazło swoje odzwierciedlenie przy ulicy Żelaznej 24, gdzie marka premium Exlantix otworzyła swoją warszawską siedzibę. Powstała tu przestrzeń zaprojektowana, by spajać architekturę, wzornictwo i nowoczesną mobilność.

Stuletni, zrewitalizowany budynek odzyskał swój historyczny charakter, a odtworzone detale elewacji stanowią element opowieści o miejscu, w którym przeszłość współistnieje ze współczesnym designem. Dla Grupy DYNAMICA wybór tej lokalizacji był świadomym krokiem – to przemyślana decyzja, by połączyć miejskie dziedzictwo z filozofią marki. Efektem jest przestrzeń będąca naturalnym odzwierciedleniem wartości Exlantix.

Już od pierwszych chwil miejsce to przyciąga spokojem i wyjątkową atmosferą, która zachęca do zatrzymania się i świadomego odbioru otoczenia. Wnętrze zostało zaprojektowane tak, aby skłaniać do odkrywania gry światła, różnorodności faktur oraz materiałów, pokazując mobilność jako element szerszej opowieści o architekturze i jakości codziennego życia.

Kluczowym motywem projektu jest płynność, obecna zarówno w formie, jak i w samej idei miejsca. Charakterystyczna, metaliczna fala nawiązuje do swobody podróżowania i technologicznego zaawansowania marki, a jej organiczne linie intuicyjnie prowadzą gości przez showroom.

Ta płynna estetyka to także ukłon w stronę legendy Atlantydy, wpisanej w tożsamość Exlantix. Jej symbolika ożywa w architekturze poprzez grę odbić światła oraz materiały nawiązujące do natury wody i ponadczasowej równowagi. Całość dopełnia subtelne oświetlenie, budujące klimat elegancji i tajemnicy, oraz żywe drzewa oliwne, które wnoszą do wnętrza spokój, stanowiąc naturalny kontrast dla zaawansowanych technologii marki.

Przestrzeń przy Żelaznej 24 jest wyrazem filozofii Exlantix – idei, w której innowacja, funkcjonalność i wysmakowana estetyka wzajemnie się uzupełniają. Za jej wyjątkowy charakter odpowiada zespół projektantów, którego doświadczenie obejmuje m.in. pracę w studiu Pininfarina. Rezultatem jest projekt oparty na harmonii form, wyważonych proporcjach i precyzyjnie dopracowanych detalach, który został wyróżniony prestiżowymi nagrodami.

W tej przestrzeni to właśnie szczegóły budują poczucie wyjątkowości i jakości. Tak jak w najlepszej architekturze, luksus nie wynika z przepychu, lecz z umiejętnego połączenia proporcji, światła, materiałów i doświadczenia.

Ten showroom to więcej niż prezentacja marki – to opowieść o świadomym projektowaniu oraz tworzeniu przestrzeni, które łączą funkcjonalność, estetykę i wyjątkowe doświadczenie. Przenikają się tu różne perspektywy – europejska elegancja spotyka się z azjatycką wrażliwością, dziedzictwo miasta z wizją mobilności, a technologia z emocjami.

Salon Exlantix to miejsce stworzone, by poznać filozofię marki z bliska – odkryć jej podejście do designu, technologii i mobilności. Zapraszamy do showroomu i doświadczenia tej wyjątkowej przestrzeni osobiście.

eprasa.pl 70e748f8f6

Pies na kości

Racuch, biszkoptowy labrador, dostał zabawne imię, bo pracę ma ciężką. Idzie tropem śmierci.

ALEKSANDRA GRABOWIECKA

Do sali odpraw działu patrolowo-wywiadowczego Komendy Stołecznej Policji wchodzi Racuch, biszkoptowy labrador, ale szczuplejszy i bardziej wysportowany niż te, które można spotkać na ulicy. Za nim podąża jego przewodnik, aspirant sztabowy Kamil Malicki. – *Gdy nie wyjeżdżamy na poszukiwania, tylko mam zwykły dyżur, też zabieram go do pracy. Siedzi obok albo zaczepia innych. Kiedyś w socjalnym ukradł koledze burgera, którego ten dopiero wyjął do podgrzania*. Racuch, jak to labrador, jest łasuchem. Podczas akcji to też ma znaczenie. Kiedy Malicki ze swoim psim kompanem jedzie w teren, do bagażu pakuje też zabawki, smaczki i psi izotonik. Racuch musi dostać nagrodę, gdy odnajdzie ludzkie zwłoki.

Charakterystyczny dzwonek

Na miejscu Kamil najpierw zakłada odblaskową kamizelkę z napisem „Policja K9", a Racuchowi szelki z takim samym napisem, GPS-em i niewielkim dzwonkiem, podobnym do tych, które noszą psy pasterskie. – *Dzwonek informuje, gdzie znajduje się Racuch. Dla innych jest też potwierdzeniem, że to pies pracujący. No i ma jeszcze jedną funkcję: dzika zwierzyna słyszy go wcześniej i może się oddalić, zanim wejdziemy w teren.*

Dla psa szelki są sygnałem, że zaczyna się zadanie. Kamil wydaje komendę „pracuj", następnie wskazuje mu, dokąd ma podążać. Racuch nie wybiega przed siebie i nie znika od razu między drzewami,



Aspirant sztabowy Kamil Malicki ze swoim psim współpracownikiem Racuchem



© LESZEK ZYCH

tylko zaczyna szukać od pierwszego metra, sam wybierając kierunek: raz oddala się od przewodnika, za chwilę znowu jest bliżej. Przez następne dwie godziny las wypełnia dźwięk dzwonka przypiętego do jego szelek i chrzęst chrustu pod butami Kamila. Dzwonek nagle cichnie, a po chwili rozlega się szczekanie. To znak – Racuch coś znalazł.

Jedną z takich akcji były poszukiwania 16-letniej Mai z Mławy, która zaginęła w kwietniu 2025 r. Tuż przed zniknięciem wysłała przyjaciółce wiadomość z prośbą o pilny kontakt, a później miała się spotkać z dawnym znajomym. Kiedy rodzice zaczęli go wypytywać o córkę, odpowiedział tylko, żeby dali mu spokój i szukali jej w okolicy torów. Gdy Kamil z Racuchem weszli do lasu, teren był już wcześniej sprawdzany przez policjantów z prewencji. Zebrane przez nich informacje Kamil naniósł na mapę i wytypował obszar poszukiwań. Po 20 minutach Racuch zaszczekał. Obok niego leżały zwłoki nastolatki.

Racuch nie szuka żywych ludzi, węszy za zapachem ludzkich zwłok i fragmentów ciał: spalonych, zakopanych. Szuka również ludzkich kości. W przypadku świeżych zwłok najlżejsze cząsteczki zapachowe są przenoszone przez wiatr. Zadaniem jest ich wychwycenie, podążanie za nimi do głównego źródła zapachu, a następnie jego oznaczenie. Z kośćmi jest inaczej. Zapach utrzymuje się bardzo blisko źródła, dlatego pies musi dokładnie sprawdzić cały wyznaczony teren.

Nieprzypadkowe imię

Psów wyszkolonych do odnajdywania zwłok są w Polsce dziesiątki, ale długo był tylko jeden, który potrafił odnaleźć ludzki szkielet – Racuch, jedyny taki pies w Europie. Dziś ma już swojego ucznia: Scooby'ego, który uczył się, podglądając, jak pracuje Racuch, i kilka razy już sam odnalazł ludzkie kości. W jego ślady poszły kolejne psy w polskiej policji. Racuch i Kamil stali się prekursorami wyszukiwania ludzkich szkieletów przez policyjne psy w Europie. Racuch wziął udział w 210 akcjach poszukiwawczych, 22 razy odnalazł ludzkie zwłoki lub szczątki, a w 14 przypadkach były to szkielety. Za każdą z tych liczb stoi rodzina, która mogła wreszcie pochować bliską osobę.

Wszystko zaczęło się zimą 2021 r. Kamil był przewodnikiem psa wyszukującego materiały wybuchowe, gdy zaproponowano mu udział w nowym programie szkolenia. Instruktor psów policyjnych dał mu znać o dwóch szczeniakach. – *Powiedział, że na kurs psa poszukującego zwłok wybrane są dwa labradory, i zapytał, czy nie chciałbym zostać przewodnikiem jednego z nich. Mam doświadczenie z tą rasą, bo od lat pracuję z labradorami.*

Do hodowli pod Rzeszowem pojechał poznać dwóch braci. Pierwszym był Racuch, drugim jego brat, który dziś służy w policji w Tarnowie. – *Miałem przy sobie smaczki. Podszedłem do Racucha, a on od razu skupił się na pracy ze mną. Ja znam labradory – każda rasa ma swoje specyficzne zachowania. Wiem, czego mogę się po nich spodziewać* – tłumaczy Kamil. Już wtedy zwrócił uwagę na jedną rzecz. – *Racuch był bardzo zaangażowany podczas pracy. Odcięty od świata zewnętrznego. To było nasze pierwsze spotkanie.*

Po kwalifikacji Kamil wrócił do Warszawy, a Racuch został jeszcze u hodowcy, spotkali się ponownie dwa miesiące później, w Sułkowicach, gdzie mieści się Zakład Kynologii Policyjnej Centrum Szkolenia Policji. – *Przypiąłem mu smycz, a on nawet się za hodowcą nie obejrzał.* Od tego dnia tworzyli już zespół.

Imię psa nie jest przypadkowe. – *Psy szkolone w tym samym roku dostają imiona na tę samą literę, u nas było to „R". Imiona wybiera się z księgi prowadzonej przez zakład kynologii. Uznałem, że Racuch będzie idealnie pasował do biszkoptowego labradora, nie chciałem, żeby miał poważne imię, wystarczy, że ma bardzo poważną pracę* – tłumaczy jego opiekun. Poza pracą Racuch potrafi być niepoważny. I bardzo przyjacielski. – *Ze wszystkich moich psów jest do mnie najbardziej przywiązany.*

Szkolenie w Sułkowicach trwało 80 dni. – *To przede wszystkim czas budowania relacji. Policjant jest wtedy skupiony wyłącznie na psie, nie bierze udziału w służbie ani w innych zadaniach.* Po kursie Racuch dostał atest, to był – jak podkreśla Kamil – dopiero początek.

Szkolenie w Teksasie

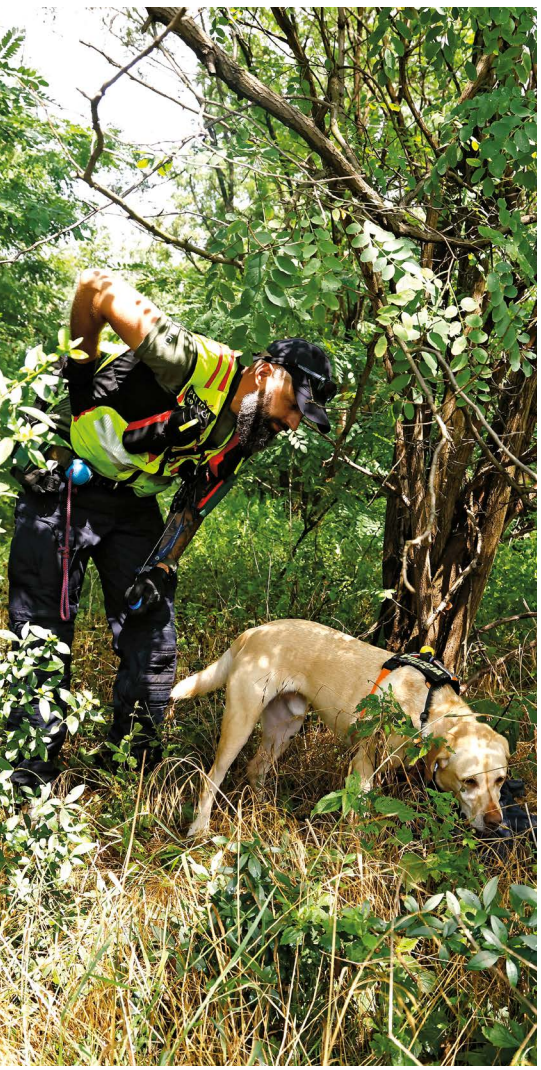
Po skończeniu kursu pies ma półtora roku. Najlepszy okres zaczyna się około trzeciego roku życia, kiedy dojrzewa i nabiera doświadczenia.

W 2023 r. Kamil z Racuchem polecieli do Teksasu. – *Bardziej stresowałem się lotem niż samym szkoleniem. To był* ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ *pierwszy lot Racucha i zastanawiałem się, jak go zniesie.* Niepotrzebnie. Wysiadł z samolotu bardzo zadowolony. – *Byliśmy pierwszym zespołem spoza Ameryki, który przyjechał na to szkolenie.*

Odbywało się na terenie Forensic Anthropology Center przy Uniwersytecie Stanowym Teksasu, miejscu znanym na całym świecie jako Farma Zwłok, gdzie



© LESZEK ZYCH

Racuch potrafi znaleźć to, czego nie widać gołym okiem

od ponad 40 lat naukowcy badają rozkład ludzkiego ciała w różnych warunkach: na słońcu, w cieniu, pod ziemią, w wodzie i w zamkniętych pomieszczeniach. Korzystają z tego wraz z antropologami sądowymi, medykami i przewodnikami psów. – *To szkolenie dla certyfikowanych psów, które już potrafią wyszukiwać zapach ludzkich zwłok. Chodzi o to, żeby miały kontakt z całymi ciałami, szczątkami i szkieletami.*

Pierwszego dnia instruktorzy przygotowali prosty test zapachowy, zawieszając na drzewie klatkę z fragmentem dłoni. To nie był egzamin, chodziło tylko o sprawdzenie, jak psy reagują na zapach. Ale była presja, wszyscy patrzyli. Racuch poradził sobie bardzo dobrze. Dopiero następnego dnia rozpoczęło się właściwe szkolenie. Każdego dnia materiał był inny: najpierw świeże zwłoki, potem szkielety, później ciała zakopane pod ziemią.

Kamila najbardziej zaskoczyło coś, czego o psach nie wiedział. – *Niektóre bały się twarzy zmarłych* – wspomina Malicki. Z doświadczeń amerykańskich instruktorów wynika, że taka reakcja występuje u dziewięciu na dziesięć szkolonych psów. Racuch również nie był wyjątkiem. Kiedy tylko mógł, podchodził do ciała od strony stóp. Bo ludzkie ciało wygląda znajomo, ale jednocześnie coś się w nim nie zgadza.

Racuch miał też bliskie spotkanie z kaktusami. Podczas ćwiczeń wpadł prosto na nie, kolce powbijały mu się w kufę i nos. – *To bolesne doświadczenie skojarzyło mu się z podejściem do źródła zapachu. Musieliśmy odwrócić to skojarzenie.* Instruktorzy przygotowali specjalne ćwiczenia. Udało się. Szybko się przełamał. To jedna z najważniejszych cech psa użytkowego. Nie to, że się nie boi – każdy pies się czegoś boi. Ważne jest to, jak szybko potrafi po strachu wrócić do zadania. – *Pies, który niczego się nie boi, zazwyczaj żyje bardzo krótko* – filozoficznie podsumowuje opiekun Racucha.

Praca w terenie

Po powrocie z Teksasu Kamil wciąż się zastanawiał, czy Racuch naprawdę potrafi odnaleźć ludzki szkielet. Sprawdzian przyszedł szybko. – *To był starszy mężczyzna, który zaginął w październiku. My pojechaliśmy go szukać w styczniu* – wspomina Malicki. Od zaginięcia minęły trzy miesiące. Na dodatek warunki były trudne. Spadł śnieg, temperatura utrzymywała się poniżej minus 10 stopni. Dla prowadzących to była jedna z tych spraw, które powoli spisuje się na straty. Ale dali sobie i Racuchowi jeszcze jedną szansę. Przewodnicy wytypowali dwa miejsca: bagno i młodnik. Najpierw sprawdzili bagno. Nic. Dopiero w młodniku jeden z policjantów znalazł fragment materiału, który pasował do ubrania zaginionego, więc poszli tam z Racuchem.

Pies szedł leśną drogą, po czym nagle skręcił między drzewa. I wykopał czaszkę. Pierwszą reakcją był sceptycyzm. – *Nie oznaczył jej tak, jak był uczony. Powinien przy niej stanąć i szczeknąć, a nie ją wykopywać. Sam chyba nie wiedział, co ma z nią zrobić. Pomyślałem: przypadek.* Ale to pies miał rację.

Przez kolejne lata, obok regularnych treningów, było wiele policyjnych akcji. Każda wygląda inaczej i wymaga od psa innej pracy. Inaczej wyczuwa zapach w lesie, inaczej na otwartym polu, w pustostanie, pod ziemią czy w wodzie. W każdym z tych środowisk występują również inne zapachy, które mogą psa rozpraszać. Racuch coraz częściej potwierdzał, że potrafi znaleźć to, czego nie widać gołym okiem.

Wiosną 2024 r. w piwnicy opuszczonej, przedwojennej kamienicy przy ul. Grzybowskiej w Warszawie Racuch odnalazł zwłoki zamordowanego mężczyzny. Ofiar było więcej, zatrzymano 11 osób, a za jednym z podejrzanych, Ivanem Railianu, prokuratura wydała list gończy. Inną ze spraw było podwójne zabójstwo w Karolewie pod Sierpcem. Dwaj spokrewnieni mężczyźni, 61-letni i 90-letni, zaginęli na przełomie maja i czerwca 2025 r. podczas napadu rabunkowego na ich posesję. Poszukiwania trwały kilkanaście dni, uczestniczyły w nich policja i straż pożarna, wykorzystano drony i śmigłowiec. Przełom nastąpił dopiero w podmokłym lesie w sąsiednim województwie, gdzie w porzuconym samochodzie jednej z ofiar odnaleziono ciało jednego z zaginionych, ciało drugiego Racuch wytropił nieopodal.

Psi słownik

– *Nie boję się, że coś mu się stanie podczas służby. Jestem ratownikiem, umiem udzielić pomocy ludziom i psom. Gdyby coś się wydarzyło, poradzę sobie. Najbardziej boję się, że mi coś się stanie i wtedy Racuch trafi do kojca albo do przewodnika, który nie będzie go rozumiał* – zwierza się instruktor.

Kiedy znowu zadzwoni telefon, Kamil spakuje smaczki i psi izotonik. Racuch zna zapach i nagrodę, jego cały słownik. To ludzie dopisują resztę: twarze z list zaginionych, nazwiska, daty – i telefony do rodzin, które latami nie wiedziały, gdzie szukać grobu.

ALEKSANDRA GRABOWIECKA

eprasa.pl 70e748f8f6

AKADEMIA
zwierciadła

ZAPRASZA NA WYDARZENIE

wolni od stresu

edycja ósma

Temat: DOJRZAŁOŚĆ. Sztuka świadomego życia


Martyna Wojciechowska

26.09.2026
GODZ. 9–19
SOBOTA

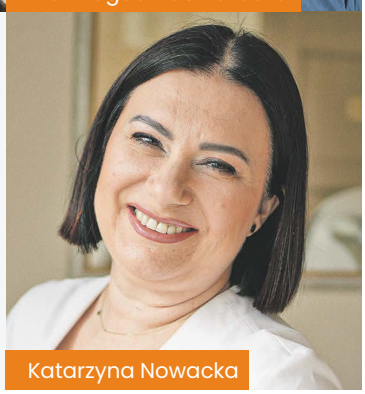

Sylwia Sitkowska


Prof. Bogdan de Barbaro


Sonia Kisza


Prof. dr hab. n. med. Krzysztof Nowosielski

WARSZAWA
MULTIKINO
ZŁOTE TARASY
UL. ZŁOTA 59


Katarzyna Nowacka

ZDJĘCIA: MARTA WOJTAL, KRZYSZTOF OPALIŃSKI, ARCHIWUM PRYWATNE

Udział w ósmej edycji „Wolni od stresu" potwierdzili m.in.:

Martyna Wojciechowska, Sylwia Sitkowska, prof. Bogdan de Barbaro, Sonia Kisza, prof. dr hab. n. med. Krzysztof Nowosielski, Katarzyna Nowacka.

Więcej informacji o programie naszego wydarzenia znajdziesz na:
www.zwierciadlo.pl/akademia-zwierciadla

UDZIAŁ STACJONARNY

290 zł
~~490 zł~~

Z KODEM **POLITYKA**
BILET KUPISZ Z RABATEM **-200zł**
DO 01.09.2026
Najniższa cena z 30 dni = 290 zł

UDZIAŁ ONLINE

90 zł
~~290 zł~~

Z KODEM **POLITYKA**
BILET KUPISZ Z RABATEM **-200zł**
DO 01.09.2026
Najniższa cena z 30 dni = 90 zł

KUP BILET
Bilety dostępne na
sklep.zwierciadlo.pl

PARTNERZY:

Avène · Dr Irena Eris HOTELE SPA · Estée Lauder Companies Breast Cancer Campaign · iana · Kartell Warsaw · LogosTour · Młode Głowy · Sanprobi · Unaweza Fundacja · Yves Rocher France · Multikino

eprasa.pl 70e748f8f6

Wakacje pod mejlami

Morza szum, ptaków śpiew, a po głowie tłucze się myśl: jak oni sobie tam w firmie beze mnie poradzą? Blisko połowa pracujących Polaków przyznaje, że w czasie urlopu nie potrafi się wylogować: odbiera służbowe mejle i telefony, wykonuje niektóre obowiązki. Tylko co to za wypoczynek?

ADAM GRZESZAK



W środku lata miasta opustoszały, bo duża część mieszczuchów ruszyła na letni urlop. Na tydzień lub dwa, rzadziej na dłużej, bo wiele osób tak dzieli swój ustawowy roczny zasób urlopowy 20–26 dni (w zależności od stażu pracy) – by za pomocą kalendarzowych mostów rozmnożyć go, zachowując możliwość wypoczynku także w innych okresach. „Urlop stał się czymś bliższym kalkulacji niż fantazji – dobrze zaplanowanym projektem na spokojny tydzień. Wakacje jawią się mniej jako terytorium odkryć i przygody, a bardziej jako obszar takiego wypoczynku, w którym szuka się wytchnienia od trudności" – oceniają badacze z Instytutu Badań Pollster w raporcie „Polacy na wakacjach 2026. W poszukiwaniu świętego spokoju".

Przepytywani przez ankieterów na progu letniego sezonu Polacy w większości (ok. 70 proc.) deklarowali zamiar spędzenia urlopu w kraju. I to nie dlatego, że ich na zagraniczne wczasy nie stać, bo wypoczynek w kraju bywa często droższy, ale głównie ze względu na wygodę dotarcia, poczucie pewności i łatwość organizacji. Dodatkowymi argumentami okazuje się większa możliwość nawiązywania społecznych kontaktów, bezpieczny związek z naturą.



© SHUTTERSTOCK

Bałtyk rządzi

Niezależnie w kraju czy za granicą, urlop to zawsze wydatek, i to spory. Wymagający zaangażowania oszczędności, bo jedynie co piąty Polak jest w stanie sfinansować letni wypoczynek z bieżących dochodów. Większość deklarowała przed sezonem, że wyda więcej niż w latach poprzednich, co zdaniem badaczy świadczy bardziej o wyobraźni ekonomicznej, a mniej o zamiarze wypoczynku „na wypasie". „Przy rosnących cenach może to po prostu odzwierciedlać próbę utrzymania dotychczasowego standardu wypoczynku".

Wakacyjną miejscówką pierwszego wyboru, jak zawsze, jest dla nas wybrzeże Bałtyku. Na drugim miejscu są góry (łącznie Tatry, Sudety, Bieszczady, Beskidy), a na trzecim jeziora mazurskie. Przywiązanie do wakacji krajowych nie oznacza, że Polacy bojkotują wczasy zagraniczne. Nic z tych rzeczy. Niektórzy nawet w ostatniej chwili zmieniali decyzje i zamiast wypoczynku krajowego wybierali zagraniczny. Wakacje.pl, największy internetowy multiagent turystyczny, podaje, że co piąty lipcowy wyjazd kupowano w ciągu siedmiu dni poprzedzających wylot.

Liczba tegorocznych lipcowych wyjazdów zagranicznych w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosła dwucyfrowo. Amatorzy upalnych lipcowych plaż tradycyjnie wybierali Turcję, Grecję i Egipt; to blisko dwie trzecie wszystkich rezerwacji. Miłośnicy upałów, ale szukający oddalenia od bliskowschodniego konfliktu, woleli Hiszpanię i Włochy. Oba kraje zanotowały wyjątkowe wzrosty, zyskały także Albania, Malta, Maroko, Bułgaria (do Złotych Piasków pojechało dwa razy więcej turystów niż przed rokiem).

Jak się wyłączyć?

Niezależnie, gdzie Polak wypoczywa, najczęściej mentalnie pozostaje w pracy. Z badania SW Research przeprowadzonego na zlecenie Devire „Jak Polacy (nie)odpoczywają w 2026 roku? Gdy jedziemy na urlop i nie potrafimy się wyłączyć" wynika, że blisko połowa (46 proc.) ankietowanych przyznaje, że w różnym natężeniu, ale wykonuje zdalnie zadania związane z pracą, odbiera telefony i mejle służbowe, utrzymuje kontakt z szefem lub ze swoim zespołem. Najczęstszym wytłumaczeniem jest poczucie odpowiedzialności za zespół, projekty i wyniki, a także strach przed zaległościami po powrocie. Pojawia się także obawa, że pod naszą nieobecność nikt nie wykona naszej pracy albo, co gorsza, osoba zastępująca coś spartoli.

Niektórzy wyjaśniają, że po prostu przełożeni lub współpracownicy kontaktują się z nimi mimo urlopu, co jest proste, bo wiele osób nie rozstaje się z telefonem służbowym. A oni nie mogą nie reagować. No i jest wreszcie argument łatwy do zrozumienia, czyli lęk, że jeśli w firmie mimo mojej nieobecności wszystko będzie działało po staremu, to może jestem zbędny i po powrocie zostanę zwolniony. – *Ja bym do tej listy dodał jeszcze jeden powód, dla którego trudno nam się psychicznie oderwać: wielu ludzi po prostu lubi swoją pracę. W badaniach widać wyraźnie, jak rośnie zadowolenie Polaków z wykonywanej pracy* – wyjaśnia dr Paweł Wójcik, psycholog z Wydziału Zarządzania UW.

Urlopowy pracoholizm badał też internetowy serwis z poradami dotyczącymi pracy InterviewMe i ustalił, że tylko 40 proc. ▶

pl 70e748f8f6

▶ Polaków potrafi podczas urlopu całkowicie odciąć się od obowiązków zawodowych. Nie sprawdzają służbowych wiadomości, nie odbierają telefonów. Inni czasami zerkają do skrzynki mejlowej lub komunikatora albo po prostu myślą o pracy. Co dziesiąta osoba regularnie sprawdza, co dzieje się w pracy lub zastanawia się nad bieżącymi sprawami, a 4 proc. po prostu wykonuje obowiązki służbowe, czyli uprawia *workation* (połączenie angielskich słów *work* – praca i *vacation* – wakacje).

Wiele osób uważa, że wzięcie urlopu utrudni im karierę lub ograniczy możliwości awansu, ponieważ przez jakiś czas będą poza kręgiem zainteresowań i utracą ważne okazje. To uczucie nasila się, gdy w pracy panuje niezdrowa atmosfera. Osoby samozatrudnione mają z kolei jeszcze inny powód poczucia winy i pozostawania niewylogowanymi, bo urlop oznacza dla nich wydatki, a jednocześnie utratę dochodu. A takich osób mamy w Polsce grubo ponad 2 mln.

„Ręka w górę, kto odciął się od pracy na urlopie, sprawdzając mejle w kolejce po lody. Serio – nie oceniamy. Sami tak mamy" – komentuje jeden z internautów. Badacze diagnozują u niektórych niewylogowanych nawet zjawisko wyrzutów sumienia związanych z wzięciem urlopu.

Szczególnie często występuje ono w pokoleniu milenialsów. Jedno z wytłumaczeń mówi, że weszli oni na rynek pracy w okresie boomu technologicznego, co wywołało ukryte oczekiwanie, że będą zawsze dostępni. Jednocześnie nacisk pracodawców na produktywność sprawił, że wielu pracowników własną wartość ocenia przez pryzmat wyników, uznając urlop jako niezasłużony luksus. Tylko co drugi zatrudniony Polak wykorzystuje cały przysługujący mu urlop, co trzeci tylko częściowo, a 7 proc. nie odpoczywa w ogóle – to z kolei ustalenia firmy medycznej Enel-Med.

Podróż bez bagażu

Biuro podróży Rainbow zainicjowało akcję społeczną „Urlop bez bagażu", przy czym nie chodzi o wypchane walizki, ale o bagaż mentalny zabierany na wakacje. O to, by zrzucić z siebie to poczucie winy, dlatego eksperci instruują, jak uwolnić głowę od pracowniczego bagażu. „Co czwarta osoba deklaruje, że podczas urlopu odczuwa poczucie winy związane z korzystaniem z przysługującego jej wolnego czasu. Dodatkowo 11 proc. badanych nie potrafi jednoznacznie określić swoich odczuć, co może świadczyć o towarzyszącym im napięciu" – donoszą badacze.

Pytanie pracodawców o to, czy wywierają naciski na pracowników w sprawach urlopowych albo wydzwaniają do nich w czasie wypoczynku, jest bezcelowe. Nikt się oficjalnie nie przyzna, bo byłoby to naruszenie prawa pracy i groziło problemami z Państwową Inspekcją Pracy. Między wierszami mówią tylko o uzgadnianiu terminów, by wszyscy nie znikli z firmy w tym samym momencie. Dotyczy to szczególnie sektora usługowego, a najbardziej tego o charakterze sezonowym, jak hotelarstwo czy gastronomia. W okresie wakacyjnym jest tu masa pracy, bo ktoś musi pracować, by ktoś mógł wypocząć. Na dodatek jedynie 15 proc. badanych ocenia, że zastępstwa w ich firmach są formalnie zaplanowane i dobrze zorganizowane, a 17 proc. uważa, że są chaotyczne i ustalane na ostatnią chwilę.

Niemożność oderwania się od pracy i przewlekły stres prowadzą do wypalenia zawodowego. Niedawne badania prof. Dominiki Maison z Uniwersytetu Warszawskiego wykazały, że doświadczyło tego aż 64 proc. Polaków, a 80 proc. uznaje je za istotne zagrożenie dla zdrowia psychicznego i efektywności zawodowej.

Problem wygląda więc na poważny. Dlatego w większych i bogatych firmach chętnie mówi się dziś o modnym pojęciu *work-life balance*, czyli równowadze między pracą a życiem prywatnym oraz korzyściach z wypoczętego pracownika. – *Coraz więcej pracodawców dostrzega, że odpoczynek jest elementem strategii zarządzania talentami, a nie wyłącznie indywidualną decyzją pracownika. W odpowiedzi na rosnące ryzyko przeciążenia i wypalenia zawodowego organizacje wdrażają rozwiązania zachęcające do regularnego wykorzystywania urlopów, takie jak dodatkowe świadczenia wakacyjne, dni wolne wspierające regenerację, kampanie promujące wykorzystanie zaległych urlopów czy aktywne monitorowanie przez menedżerów skali niewykorzystanych dni wolnych* – wyjaśnia Wioletta Marciniak-Mierzwa, dyrektorka w zespole People Consulting, EY Polska.

– *Nie oszukujmy się: urlop to też nie jest okres wyłącznie błogiego wypoczynku. Może dostarczyć sporo stresu, a nie wszyscy potrafią sobie z tym radzić. Wiele zależy od stylu życia i relacji z rodziną i przyjaciółmi. Na urlopie zmieniają się role społeczne i niektórzy mogą zatęsknić za rolą, jaką odgrywają w pracy* – zwraca uwagę dr Paweł Wójcik.

Zespół stresu pourlopowego

„Jeśli urlop nie przynosi ulgi, warto zadać sobie pytanie: czy problemem naprawdę był brak odpoczynku? – zastanawia się coach Sylwia Ogunleye, która wśród swoich klientów ma osoby skarżące się, że wracają po urlopie bardziej zmęczone, niż były przed. Okazuje się, że wiele osób na wakacjach rozmyśla o swojej pracy. Jedni o tym, co będą musieli zrobić po powrocie, jakie zadania ich czekają, a inni o sensie swojego zawodowego życia.

Dopiero na urlopie uświadamiają sobie, jak bardzo w pracy są zmęczeni lub przeciążeni. Co piąty dochodzi do wniosku, że praca zabiera mu zbyt dużo życia prywatnego, więc może trzeba ją zmienić. W badaniu Devire ponad połowa badanych deklarowała, że podczas urlopu zastanawiała się nad tym. Część z nich zaraz po urlopie podjęła konkretne kroki: rozpoczęła aktywne poszukiwanie pracy albo przynajmniej zaktualizowała swój profil na LinkedIn.

Nie wszyscy z urlopu wracają więc do pracy radośni, pełni energii i zapału. Niektórzy odczuwają stres, nudę, smutek, fobię społeczną, złe samopoczucie. Mają kłopoty ze skupieniem, towarzyszą im obawy przed zaległościami i natłokiem obowiązków. Zjawisko to zostało nazywane zespołem napięcia pourlopowego, które czasem powoduje rozmaite fizyczne dolegliwości: zaburzenia snu, bóle brzucha, migreny.

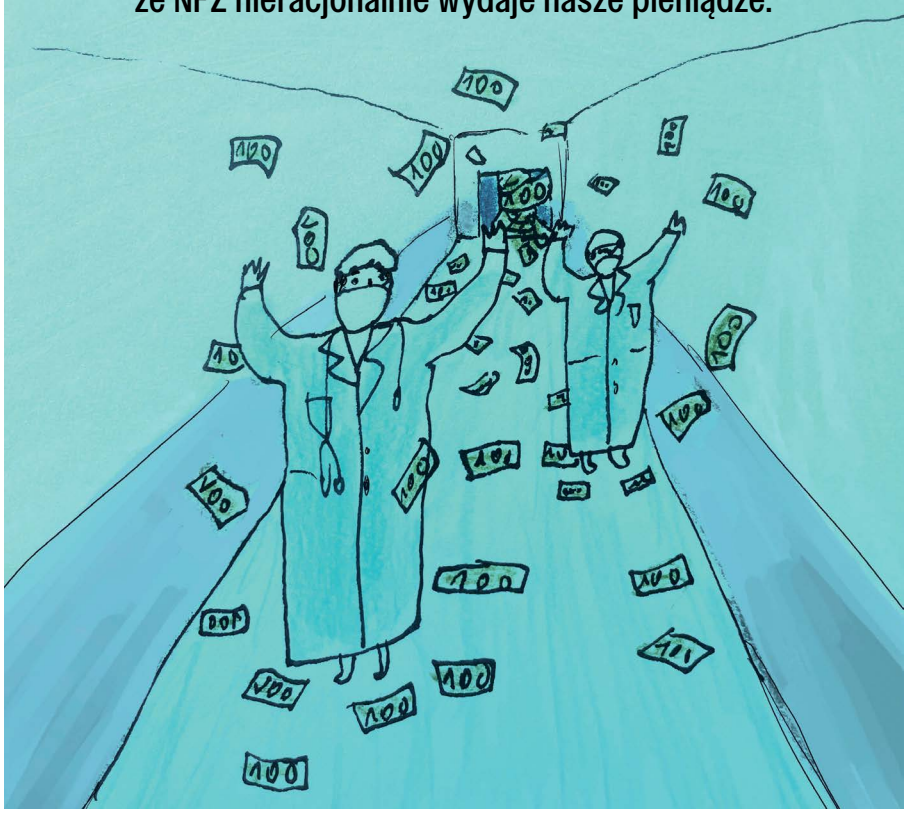
Jedną z przyczyn, dla których wiele osób wraca z urlopu w kiepskim nastroju, jest sztuczna inteligencja. Nigdy nie wiadomo, czy po powrocie nie okaże się, że jesteśmy już zbędni, bo AI przejęła nasze obowiązki. – *Z drugiej strony z pomocą AI można dużo spokojniej pojechać na wakacje, bo kiedy odpowiednio zaplanujemy swoją pracę z AI, to po powrocie przygotuje nam podsumowanie wszystkiego, co nas ominęło, wskaże akcje, które musimy podjąć, czy zadania, które czekają na nas, przygotuje odpowiedzi na mejle, które tego wymagają* – pociesza Anna Klimczuk, szefowa komunikacji Microsoft Poland, Romania & Moldova. Tylko czy AI po powrocie zdradzi nam najświeższe ploteczki o tym, co interesującego zdarzyło się w firmie podczas naszej nieobecności?

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 70e748f8f6

Łapanie wody w durszlak

Jerzy Ostrouch, prezes Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie Wielkopolskim, o tym, że NFZ nieracjonalnie wydaje nasze pieniądze.



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

JOANNA SOLSKA: **– Był pan pierwszą osobą, która już przed dwoma laty alarmowała w mediach medycznych, że zarobki niektórych lekarzy stały się nieprzyzwoicie wysokie, wtedy problem przemilczano. Sądzi pan, że jak nie będą zarabiać więcej niż 240 zł za godzinę, to sytuacja pacjentów się poprawi?**

JERZY OSTROUCH: – Moim zdaniem NFZ musiałby zdiagnozować, gdzie wydaje pieniądze nieracjonalnie. Ma tę wiedzę w swoim systemie, ale nie chce z niej skorzystać.

Podpowie mu pan?

Niejednokrotnie to robiłem, mam to także w papierach sądowych.

Tych mówiących, że na bólu można w Polsce nieźle zarobić.

Chociażby. Pacjenci z bólem mają bardzo utrudniony dostęp do specjalistów, którzy mogliby im pomóc; w woj. lubuskim szczególnie. Kiedy więc zgłosił się do mnie doktor, gotów poprowadzić w Gorzowie Wielkopolskim poradnię leczenia bólu, uznałem, że spadł mi z nieba. Oczywiście za wysoki procent od dobrze wycenionej procedury. Po pierwszym miesiącu wystawił fakturę na ok. 100 tys. zł, po następnym już na ok. 200 tys. Trochę się zdziwiłem, bo lekarze w przyszpitalnych poradniach raczej kokosów nie zarabiają. Doktor wykonywał procedurę o nazwie neuroliza, co oznacza czasowe albo trwałe uszkodzenie nerwu, po którym pacjent nie powinien odczuwać bólu co najmniej przez dwa miesiące. Kiedy okazało się, że jego grupa pacjentów prawie się nie zmienia i te same osoby zgłaszają się na zabiegi co kilka dni, nabrałem wątpliwości.

Poinformował pan NFZ?

Fundusz stanął na stanowisku, że zabiegi w naszej poradni nie są neurolizą, więc wykonywanej u nas procedury jako neurolizy nie rozliczy. Zażądałem od doktora, żeby zmienił kwalifikację procedury, ale się nie zgodził. Więc za kolejne dwa miesiące już mu nie zapłaciliśmy, był 2024 r.

Podał szpital do sądu?

Tak. A my złożyliśmy doniesienie do prokuratury o wyłudzenie nienależnego wynagrodzenia, ale ta nie zajęła się sprawą, uznając, że to nie jest wyłudzenie, lecz spór gospodarczy. Proces toczy się od 2024 r., a doktor oczekuje od nas już blisko 500 tys. zł. Zwróciliśmy się do NFZ, żeby przystąpił do procesu jako interwenient uboczny.

To znaczy?

Żeby w sądzie potwierdził to, co napisał do nas wcześniej, że należności za procedurę nam nie zrefunduje, bo to nie jest neuroliza i doktorowi się te pieniądze nie należą. NFZ do tej pory do procesu nie przystąpił. I z tego, co wiem, doktor – już w innym szpitalu – prowadzi poradnię leczenia bólu na NFZ.

Czy to znaczy, że patologii w systemie refundacji jest więcej? Patologią wydaje się już to, że za prosty zabieg neurologiczny szpital płaci doktorowi aż 50 proc. od wartości procedury.

Mnóstwo. Kiedy mieliśmy problem z chirurgami, zgłosił się do szpitala chętny do pracy. Oprócz wysokiej stawki godzinowej stawiał warunek, że przez dwa dni w miesiącu będzie miał do swojej dyspozycji blok operacyjny dla własnych pacjentów.

Na którym miał operować pacjentów na NFZ?

Oczywiście. Nie podjęliśmy z nim współpracy, ale ja sobie uświadomiłem, że on tak pracuje i że inne szpitale jego warunki przyjmują, nie zastanawiając się nawet, kogo on tam operuje. Dla zarządzających szpitalem ważne jest, że dzięki przyjezdnym specjalistom wykonają kontrakt, co daje nadzieję na dofinansowanie w podobnej wysokości w następnym roku. Więc nie interesują się, czy pacjentami doktora są mieszkańcy powiatu, czy też pacjenci, podobnie jak lekarz, przyjeżdżają z innych miast.

Jakie to ma znaczenie?

Weźmy aferę w Miastku, to niewielkie miasteczko, neurochirurdzy zarabiali ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ tam podobno 26 tys. zł za godzinę. Dlaczego NFZ nie zainteresował się, w jakim stopniu za tak wielkie pieniądze ta prywatna spółka poprawia sytuację zdrowotną lokalnej społeczności czy może prywatnych pacjentów tej spółki? Fundusz ma to wszystko w swojej bazie danych, wystarczy zajrzeć. Dlaczego tego nie robi i płaci bez szemrania?

A cieszy się pan, że lekarze nie będą mogli zarabiać więcej niż 240 zł za godzinę? Może się okazać, że wybitni specjaliści nie będą chcieli wykonywać trudnych, ryzykownych operacji za takie pieniądze?

To nie oni są największymi „kominiarzami", ale przedsiębiorczy lekarze o przeciętnych kompetencjach, wykonujący procedury w szpitalach o niskiej referencyjności. Jest okazja, by jasno powiedzieć, że trudne specjalistyczne operacje powinny być przeprowadzane tylko w klinikach, szpitalach uniwersyteckich i za inne stawki. W placówkach gwarantujących jednak pacjentom bezpieczeństwo, a nie w małych szpitalach, w których lekarz widzi operowanego pacjenta po raz pierwszy i ostatni dopiero na stole.

Nie obawia się pan, że po wprowadzeniu górnych limitów za godzinę pracy gwałtownie spadnie wydajność lekarzy? Już teraz tygodniami czeka się na opis np. tomografii, kolejki będą jeszcze dłuższe.

Jeszcze jak się boję. Ciekawe rzeczy dzieją się w radiologii, w której lekarze coraz powszechniej korzystają z pomocy sztucznej inteligencji, co znacznie przyspiesza tempo pracy. Tymczasem NFZ o istnieniu AI jakby nie wiedział, wyceny pozostają na tym samym, wysokim poziomie, więc radiolodzy stanowią dość liczne grono beneficjentów wycen.

W naszym szpitalu są tacy, którzy miesięcznie zarabiają ponad 100 tys. zł, opisując 1,2 tys. wyników badań, ale są także tacy, którzy opisują tylko 300 miesięcznie. Koszt opisu stanowi aż 60 proc. kosztu badania, już teraz czeka się na niego około sześciu tygodni. W Gorzowie krócej, bo dopłacamy 20 proc., jeśli lekarz dostarczy opis w terminie krótszym niż pięć dni. Jakiś element motywacji powinien zostać zachowany, bo nikt nie zechce pracować bardziej intensywnie.



Według najnowszego raportu NIK tylko 11 proc. pacjentów trafiających na SOR (szpitalne oddziały ratunkowe) zostaje w szpitalu, prawie 90 proc. po udzieleniu pomocy wraca do domu. O czym to świadczy?

Że nie byli w stanie bezpośredniego zagrożenia zdrowia ani życia, więc pomoc medyczna powinna im zostać udzielona w inny sposób, bo SOR to najdroższy rodzaj pomocy. W szpitalu, w którym jest SOR, na każdym oddziale musi dyżurować co najmniej jeden lekarz, a na ginekologii nawet trzech, od godz. 15.00 do rana, co nierzadko okazuje się fikcją. Jeśli w szpitalu jest oddział chirurgii, a także ortopedii, to na każdym musi być dwóch lekarzy, taki jest wymóg NFZ. W razie operacji jeden operuje, drugi trzyma haki. A nie wystarczyłoby, żeby na tych dwóch oddziałach dyżurowało dwóch, a nie czterech lekarzy? I tak podczas dyżuru zwykle nie operują, jeśli w ogóle, to dopiero rano. Ale powstaje wrażenie, że lekarzy brakuje.

Stawki za dyżury są wysokie?

Lekarze wolą dyżurować, niż operować. Wynagrodzenia dla lekarzy za dyżury pochłaniają już 50 proc. wszystkich kosztów wynagrodzeń szpitali. Presja na wzrost stawek godzinowych na dyżurach jest najwyższa, więc stawki rosną. Liczbę szpitali posiadających SOR trzeba zatem ograniczyć, bo wiele z nich nie spełnia swojej funkcji. Jeśli pacjent jest w stanie naprawdę ciężkim i wymaga natychmiastowej interwencji, coraz częściej zdarza się, że jest on odsyłany przez szpital, do którego przywiozła go karetka, transportem tegoż szpitala do innej placówki, która podejmie się natychmiastowej operacji.

Nikt nie pyta, dlaczego tak się dzieje?

Lepiej nie wiedzieć, bo wtedy trzeba by problem spróbować rozwiązać. Coraz częściej sami ratownicy nie wiozą pacjenta do pobliskiego szpitala, ale karetka jedzie 60 km dalej, np. ze Słubic do Gorzowa, żeby pomoc nie przyszła za późno. Ratownicy mają świetną orientację, w której placówce pacjenci mogą liczyć na pomoc. Zawiadamialiśmy NFZ, nie zareagował. W naszym województwie jest osiem szpitalnych oddziałów ratunkowych, ale 90 proc. pacjentów zaopatrywanych jest tylko w trzech SOR-ach. Pozostałe płacą dyżurującym lekarzom za gotowość, a stawki rosną. System jest jak durszlak, wycieką z niego każde pieniądze.

Bez tych pięciu oddziałów może czas dojazdu do SOR byłby zbyt długi?

W system ratownictwa medycznego zainwestowaliśmy ogromne pieniądze. Do najbardziej skrajnego miejsca w województwie karetka musi dotrzeć w ciągu 20 minut. Działa też pogotowie lotnicze. Przynajmniej to jest monitorowane.

Przed kilkoma laty byliście ostatnim województwem, w którym nie było jeszcze diagnostyki onkologicznej za pomocą PET.

Ówczesny wojewoda, a było to za rządów PiS, zaprosił szefów trzech największych szpitali, żeby zadeklarowali, czy są w stanie taką diagnostykę uruchomić. Zadeklarowaliśmy, że w ciągu pół roku się uwiniemy, NFZ ogłosił konkurs. Wkrótce potem od wojewody dowiedziałem się, że jest prywatna firma, która ma PET i ona ten konkurs wygrała, ale nie ma gdzie tego urządzenia wstawić. Mogłaby u nas. Rozmowa odbyła się przy świadkach, jej przebieg utrwaliliśmy w dokumentach zarządu. Ja tylko zapytałem: „Czy chce mnie pan wysłać do więzienia?".

Rozumiem, że ta firma konkurs wygrała?

Dostali od NFZ kontrakt na diagnostykę.



Jerzy Ostrouch
ekonomista po Uniwersytecie Szczecińskim, stypendysta Georgetown. W latach 80. działacz opozycji demokratycznej. W 1998 r. z rekomendacji Akcji Wyborczej „Solidarność" został wojewodą gorzowskim. Po klęsce wyborczej AWS założył własną działalność gospodarczą, bez powodzenia ubiegał się w 2002 r. o fotel prezydenta Gorzowa. Do polityki wrócił, wiążąc się z Platformą Obywatelską. Pełnił funkcję wojewody lubuskiego. Największe sukcesy odnosi jednak jako menedżer publicznych szpitali – najpierw w Świeciu, a od 2016 r. w Gorzowie Wielkopolskim.

eprasa.pl 70e748f8f6

Pewnie byli gotowi szybciej, niż pan zadeklarował?

Ich PET miał już 10 lat, był wysłużony, zaś pomieszczenie, w którym urządzenie może być ustawione, musi być zabezpieczone przed promieniowaniem. A ta firma uruchomiła urządzenie w pomieszczeniach biurowych, bez żadnych zabezpieczeń, i zaczęli przyjmować pacjentów. Wiedzieliśmy też, że nie ma niezbędnego pozwolenia Agencji Atomistyki. Dlatego nie zrezygnowaliśmy z tej inwestycji.

Więc na nich donieśliście?

Nie zdążyliśmy. Wojewoda wysłał do nas CBA, które miało stwierdzić, że naruszamy dyscyplinę finansów publicznych, więc trzeba zarząd szpitala pociągnąć do odpowiedzialności.

Na czy miało polegać to naruszanie?

NFZ rozstrzygnął konkurs, a dwóch PET-ów w województwie nie przewidywano. CBA stwierdziło, że realizujemy niepotrzebną inwestycję. Sporządzili protokół. Zgodziłem się go podpisać tylko pod warunkiem zamieszczenia pod nim naszego pytania – jak nasz konkurent realizuje kontrakt z NFZ, skoro procedura wykonywana jest w sposób niebezpieczny dla pacjentów i lekarzy. Zażądaliśmy też zabezpieczenia billingów rozmów między wojewodą a właścicielem firmy, która wygrała konkurs NFZ.

Funkcjonariusze się zgodzili?

Próbowali nas przekonać, że jeśli mamy taką wiedzę, to powinniśmy złożyć doniesienie do prokuratury. Ona na pewno się tym zajmie.

Finał?

Po kilku tygodniach NFZ w trybie natychmiastowym wypowiedział tej firmie umowę, a po kilku następnych wygraliśmy nowy konkurs.

Ale mówi pan, że największej dziury w tym durszlaku, jakim jest NFZ, propozycja ministry Sobierańskiej-Grendy jednak nie dotyka.

Naruszałaby interesy bardzo wpływowego środowiska. Lobby profesorskie jest zbyt silne, zablokuje każdą reformę. Mam na myśli konflikt interesów wynikający nie z tego, że lekarz przyjmuje bokiem prywatnego pacjenta w publicznym szpitalu. W tej sprawie coś się próbuje zrobić, może nawet się uda. Myślę o sprawach dużo większego kalibru, gdy lekarz, zwykle już profesor, jest właścicielem prywatnej kliniki, a jako konsultant wojewódzki czy krajowy blokuje kontrakt NFZ dla publicznego szpitala, żeby mu nie robił konkurencji. Czy pani uwierzy, że szpital uniwersytecki w Zielonej Górze, który kształci również kardiochirurgów, do tej pory nie ma kontraktu NFZ na kardiochirurgię?

Szpital w Gorzowie już ma. Czyżby był pan właścicielem prywatnej kliniki?

Bez żartów, nie jestem profesorem. Ale kontrakt ma prywatna spółka profesora, która procedury kardiochirurgiczne wykonuje w pomieszczeniach szpitala publicznego w Nowej Soli, które wynajmuje. A jej współwłaściciel był jednocześnie konsultantem wojewódzkim kardiochirurgii i blokował kontrakty dla potencjalnych konkurentów, uznając, że potrzeby pacjentów są zaspokojone, co było rażącą nieprawdą.

Sam mu pan podpisywał nominację na konsultanta, był pan wtedy wojewodą lubuskim.

Fakt. Ale później, już jako prezes gorzowskiego szpitala, dwa lata zabiegałem o kontrakt na kardiochirurgię.

Może NFZ ani Ministerstwo Zdrowia nie wiedzą, że profesor ma prywatną spółkę i zachodzi konflikt interesów?

Wszyscy wiedzą, mówiłem też o tym w Sejmie na komisji zdrowia, której przewodniczył wtedy poseł Tomasz Latos z PiS. Nie był w stanie nic z tym zrobić, za słaby był.

Co się zmieniło po wyborach w 2023 r.?

Jest wakat na stanowisku konsultanta wojewódzkiego ds. kardiochirurgii, a szpital w Gorzowie ma nareszcie kontrakt. Rozmawiałem też z wysokim przedstawicielem koalicji 15 października o konieczności zrobienia raportu pocovidowego. Ciągle trudno jest mi pogodzić się z ogromną liczbą nieuzasadnionych zgonów w czasie pandemii, niewynikających z zakażeń wirusem. To wtedy zaczęło się traktowanie NFZ jak wrogiego terytorium, które trzeba złupić. Robią to nie tylko pracownicy ochrony zdrowia, ale też dostawcy sprzętu, leków, programów informatycznych. Raport powinien to wszystko pokazać.

Nie dotarłam do niego.

Bo nie powstał... Mogłyby się w nim znaleźć niewłaściwe nazwiska.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" - SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II



LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
14.08–27.09 oraz 27.09 - 25.10.2026
W ramach pobytu:
- 15 lub 20 zabiegów leczniczych
- diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- basen solankowy
- basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ

* możliwa dopłata

NOWOŚĆ! ONKO REHAB 30.08 ORAZ 27.09 ZADZWOŃ I SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
14.08–27.09 oraz 27.09 - 25.10.2026
W pakiecie:
- opieka dietetyka i analiza składu ciała
- indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
- 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
- ćwiczenia grupowe, FIT Park
- basen, sauny, łaźnie, grota solna
- konsultacje i badania lekarskie

Zeskanuj mnie

54 416 70 00 rezerwacja@podtezniami.pl ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 70e748f8f6

Świat lubi Chiny?

Państwo Środka wyprzedziło USA na czele prestiżowego rankingu ulubionych państw. Czym się tak zachwycają ci, którzy je chwalą?

MICHAŁ BOGUSZ

Do niedawna porównywanie wizerunku Stanów Zjednoczonych i Chin przypominało konkurs, w którym jeden uczestnik miał przewagę instytucjonalną, kulturową i historyczną, a drugi nadrabiał braki tempem rozwoju gospodarczego. Ameryka oferowała uniwersytety, Hollywood, Dolinę Krzemową, sojusze, dolara i język praw człowieka. Chiny obiecywały partnerom handel, infrastrukturę, fabryki oraz zapewnienie, że nie będą zadawać pytań o znikających opozycjonistów. I chociaż Chiny nadal więcej obiecują, niż realizują, a cała ta asymetria się nie zmieniła, to zmieniła się publiczność.

Wiele mówi o tym szeroko dyskutowane badanie sondażowni Pew, przeprowadzone między 8 lutego i 13 maja 2026 r. w 36 państwach z udziałem ponad 42 tys. dorosłych. W 25 z nich Chiny oceniano przychylniej niż USA, Ameryka zachowała przewagę



Caofeidian nad Morzem Żółtym miało być najbardziej ekologicznym miastem świata. Z braku środków budowa stanęła i stało się „miastem duchów".

eprasa.pl 70e748f8f6

zaledwie w sześciu, m.in. w Japonii, Korei Południowej, Indiach i na Filipinach. W stałej grupie 20 państw badanych co roku od 2023 r. mediana pozytywnych ocen USA spadła z 58 do 36 proc. W tym samym czasie ocena Chin wzrosła z 32 do 46 proc.

Warto pamiętać, co mierzy Pew. Pytanie o „przychylną" ocenę państwa nie jest referendum nad jego ustrojem. Respondent może podziwiać chińskie szybkie koleje, potępiać obozy pracy przymusowej w Xinjiangu, kupować chińskie smartfony i nie ufać Xi Jinpingowi. Wszystko naraz. Sondaż wychwytuje bilans takich sprzeczności, nie zaś spójne poglądy polityczne. Badani oceniają także każde państwo osobno, więc mogą wyrazić takie same opinie o obu równocześnie. Dlatego chińska przewaga nad USA nie powinna być automatycznie tłumaczona jako poparcie dla autorytaryzmu.

Geografia tej zmiany jest równie ważna jak średnia wyników. W Kanadzie, Australii oraz części Europy Zachodniej USA utraciły przewagę, którą jeszcze niedawno można było uważać za naturalną. We Włoszech i w Hiszpanii Chiny uzyskały już większość ocen pozytywnych. W państwach bogatych stosunek do Pekinu pozostaje jednak znacznie chłodniejszy niż w gospodarkach o średnich dochodach.

Światowa mediana maskuje więc dwa różne zjawiska. Na Globalnym Południu częściej rośnie rzeczywista sympatia do Chin, a na Zachodzie raczej maleje niechęć do nich, kiedy równocześnie spada sympatia do USA. To rozróżnienie jest ważne. Gdyby Chiny dokonały nagłego podboju „serc i umysłów", należałoby mówić o triumfie chińskiej *soft power*. Tymczasem w wielu państwach oba mocarstwa są oceniane negatywnie, a Chiny często wygrywają tylko dlatego, że są mniej nielubiane.

Bambusowa kurtyna

Najbardziej widocznym elementem tej zmiany są przywódcy. W 2023 r. średnia zaufania do prezydenta USA w stałej grupie państw wynosiła 54 proc. W 2026 r. zaufanie do Donalda Trumpa spadło do 21 proc. Zaufanie do Xi Jinpinga wzrosło w tym czasie z 19 do 31 proc. Xi prowadził przed Trumpem w 22 państwach, ale trudno uznać 31 proc. za globalny mandat. W Europie żaden z nich nie cieszył się poparciem większości. Nawet w Wielkiej Brytanii, gdzie Xi wyprzedzał Trumpa o kilkanaście punktów, jego najlepszy wynik wynosił zaledwie 37 proc. Świat nie wybiera więc między Jerzym Waszyngtonem i nowym Konfucjuszem. Wybiera między człowiekiem, którego zna i któremu nie ufa, a człowiekiem, o którym wie niewiele, ale którego zachowanie propaganda przedstawia jako światłe.

Na wynik wpłynął także atak na Iran. W 36 państwach mediana 74 proc. respondentów nie aprobowała sposobu, w jaki Trump prowadził tę wojnę. Jedynym wyraźnym wyjątkiem był Izrael, ale stosunkowo wysoką aprobatę odnotowano również w Kenii i Nigerii. Trudno jednak uznać czas i okoliczności badania za obojętne. Ankieterzy mierzyli opinię o Ameryce w chwili, gdy na ekranach telefonów pojawiały się informacje o amerykańskich nalotach, a ropa naftowa biła kolejne rekordy cenowe.

Trump obciąża więc markę USA w sposób, w jaki Xi nie szkodzi wizerunkowi Chin. Nie dlatego, że chiński przywódca jest popularny. Jest po prostu mniej obecny jako osobisty sprawca wydarzeń, które dominowały w światowych mediach i biją ludzi po kieszeni. Amerykański prezydent mówi często, ostro i publicznie. Xi przemawia rzadziej, zawsze z kartki, w starannie dobranym otoczeniu. Jeden dostarcza codziennie nowego materiału przeciwnikom, a drugi zarządza wizerunkiem i trzyma kamery światowych stacji na dystans.

Demokracje mają ten osobliwy problem marketingowy, ponieważ produkują dowody przeciw samym sobie. Wolne media ujawniają nadużycia policji, korupcję, rasizm, nierówności, chaos administracyjny i spory wewnątrz rządu. Parlament przesłuchuje urzędników przed kamerami. Sądy publikują uzasadnienia. Organizacje społeczne punktują porażki państwa. W rezultacie każdy cudzoziemiec może poznać szczegóły amerykańskiego kryzysu.

Chiny oferują obraz odwrotny. Cenzura usuwa informacje niekorzystne, propaganda eksponuje sukcesy, a państwowe i powiązane z państwem podmioty próbują wpływać na zagraniczne środowisko informacyjne. Amerykańska organizacja Freedom House opisała rozbudowę chińskiego oddziaływania poprzez treści propagandowe, presję ekonomiczną na media, kontrolę dystrybucji czy „szkolenia" dla zagranicznych dziennikarzy. Badanie polskiego ośrodka NASK pokazało różne metody działania chińskiej propagandy na TikToku – raz jest to podsuwanie prochińskich treści, kiedy indziej zarzucanie użytkownika spamem, aby zniechęcić do drążenia tematów takich jak chińskie obozy reedukacyjne. Z kolei instytut badawczy Citizen Lab zidentyfikował sieć ponad stu chińskich stron podszywających się pod lokalne portale informacyjne w ok. 30 państwach (także dwa w Polsce).

Wszystko to nie dowodzi, że to propaganda „wykręciła" wynik Pew. Pokazuje jednak, że obie potęgi startują w konkursie reputacji z drastycznie odmienną gotowością do ujawniania własnych błędów. USA przypominają rodzinę prowadzącą awanturę przy otwartym oknie. Chiny – dewelopera, który pokazuje wyłącznie mieszkanie wzorcowe, a cała reszta jest ukryta za bambusową kurtyną. Transparentność zwiększa wizerunkowe koszty błędu, ale go nie tworzy. Wojna, brutalność policji czy polityczny chaos pozostają realne. Problem USA polega nie na tym, że media je ujawniają, lecz że amerykański ustrój polityczny coraz rzadziej daje prasie coś innego do pokazania.

Ta asymetria jest widoczna w pytaniu Pew o wolności osobiste. W 2026 r. mediana 39 proc. respondentów uważała, że USA respektują wolności własnych obywateli wobec 26 proc. w przypadku Chin. Ameryka nadal prowadzi, lecz przewaga szybko maleje. W Szwecji odsetek uznających USA za państwo szanujące swobody jednostki skurczył się z 61 proc. w 2021 r. do 27 proc. w 2026 r. Spadki o co najmniej 25 pkt zanotowano także w Kanadzie, we Francji, Niemczech, Włoszech, Holandii, Hiszpanii i Korei Południowej. Nie oznacza to, że ludzie nagle uznali Chiny za ostoję demokracji. Przestali natomiast wierzyć, że USA mają oczywiste prawo występować w roli jej arbitra.

Pamięć kolonialna

W państwach pozaeuropejskich działa jeszcze jeden czynnik – pamięć kolonialna. Zachód woli uważać ją za zamknięty rozdział historii, ale dla wielu społeczeństw jest ona elementem współczesnej polityki. Granice, język elit, struktura własności, zadłużenie i obecność zachodnich baz wojskowych są odczytywane jako ciągłość, a nie przeszłość. Chiny umiejętnie przedstawiają się jako mocarstwo, które samo doświadczyło upokorzenia przez imperialistów i nie zamierza pouczać innych. Taka narracja jest wygodna, choć niepełna. Pekin wywiera presję ▶

© QILAI SHEN/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ na sąsiadów, karze gospodarczo nieposłusznych partnerów i traktuje własne peryferie w sposób, którego trudno nie uznać za imperialistyczny. Lecz dla wielu rządów w Afryce czy Ameryce Południowej pożyczka bez wykładu o demokracji bywa bardziej atrakcyjna niż zachodnia pomoc z katalogiem warunków antykorupcyjnych.

W 17 państwach o średnich dochodach mediana 75 proc. badanych uważa, że USA ingerują w sprawy innych krajów. O Chinach mówiło tak 45 proc. W Afryce badania Afrobarometer również pokazują, że wpływ Chin jest oceniany pozytywnie częściej niż wpływ Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej czy dawnych mocarstw kolonialnych. Co ciekawe, osoby dobrze oceniające Chiny często dobrze oceniają również USA. Społeczeństwa Globalnego Południa nie zawsze chcą zmieniać partnera. Częściej chcą mieć kilku oferentów i wygrywać ich między sobą.

Najbardziej pouczające są wyjątki. Japonia, Korea Południowa, Indie i Filipiny nadal oceniają USA lepiej. Są geograficznie blisko Chin i mają własne doświadczenia z chińską presją, sporami granicznymi lub militarnymi demonstracjami siły. Antykolonializm Pekinu wygląda lepiej z bezpiecznej odległości. I

W Europie Zachodniej antykolonializm jednak nie służy za wyjaśnienie. Tu działa inna frustracja: poczucie względnej stagnacji. Od początku wieku realny dochód rozporządzalny na mieszkańca rósł w USA niemal dwa razy szybciej niż w UE. W latach 2010–24 realny PKB per capita w większości państw „starej Unii" zwiększał się wyraźnie wolniej niż w Ameryce. Wyjątkiem była Irlandia, ale jej statystyki są zniekształcone działalnością wielonarodowych koncernów.

Autodyplomacja

Nie należy z tego wyciągać prostego wniosku, że biedniejący Europejczycy znienawidzili bogatych Amerykanów. Jednak przez dekady zachodnioeuropejski model obiecywał niższe dochody w zamian za bezpieczeństwo socjalne, krótszy czas pracy, publiczną ochronę zdrowia, edukację i mniejsze nierówności. Różnica wobec USA miała być ceną za spokojniejsze życie. Dziś ta umowa jest już mniej atrakcyjna.

Starzenie się ludności podnosi koszty emerytur, ochrony zdrowia i opieki długoterminowej. OECD odnotowuje rosnącą presję wydatków społecznych oraz spadek zadowolenia z usług publicznych. Choć państwo opiekuńcze nie zniknęło i nadal dostarcza Europejczykom rzeczywistą wartość, jego zdolność do rekompensowania wolniejszego wzrostu dochodów słabnie. Gdy pensja odstaje coraz bardziej od potrzeb, a lekarza i mieszkanie znaleźć coraz trudniej, amerykański model przestaje wyglądać jak niezasłużony sukces, a zaczyna być irytującym przypomnieniem własnej degradacji.

„Zawiść" nie jest oczywiście kategorią z kwestionariusza Pew, ale pozostaje odwiecznym składnikiem polityki. Do niej dochodzą różnice ideologiczne. Zachodnioeuropejska opinia publiczna jest bardziej nieufna wobec religijnej prawicy, broni palnej, słabego zabezpieczenia społecznego i militaryzmu. O fiksacji Trumpa na punkcie Grenlandii nie wspominając. Obecny prezydent USA uosabia niemal wszystkie elementy Ameryki, które Europejczycy lubią najmniej. Xi nie jest przez to bardziej lubiany, lecz może być mniej odpychający.

Chiny zyskały też nowy rodzaj ambasadora w formie produktu, którego nie trzeba bronić ideologicznie. W 2025 r. sprzedaż chińskich samochodów elektrycznych w Europie wzrosła o mniej więcej połowę do blisko 940 tys. sztuk. Poza Europą i USA udział importu z Chin w sprzedaży elektryków sięgnął w części rynków ponad połowy. Chińskie samochody sprawiły, że „made in China" coraz rzadziej oznacza tani substytut, a coraz częściej nowoczesną baterię, dobry ekran i konkurencyjną cenę.

Może to wpływać na obraz Chin. Badania nad odwróconym efektem kraju pochodzenia pokazują, że przekonania o produktach mogą przenosić się na ocenę państwa, zwłaszcza gdy konsument ma o tym ostatnim słabą wiedzę. Psychologia dysonansu poznawczego podpowiada również, że po kosztownym wyborze ludzie skłonni są podnosić ocenę wybranej opcji. Właściciel chińskiego auta, który wcześniej uważał Chiny za gułag wytwarzający technologiczną tandetę, musi zmienić opinię o samochodzie albo o Chinach. Łatwiej uznać, że Chiny „nie są takie złe".

Najbardziej prawdopodobny efekt dotyczy obrazu chińskiej kompetencji, nowoczesności i wiarygodności przemysłowej, a nie cenzury czy represji. Niemniej udany samochód jest cierpliwszym ambasadorem niż rzecznik MSZ. Może szpiegować kierowcę i jego rodzinę, ale codziennie dowozi właściciela do pracy i rzadko wygłasza wykład o wielkim renesansie narodu chińskiego.

Nic nowego

Chiny i USA już wcześniej zamieniały się miejscami. W 2007 r., pod koniec prezydentury George'a W. Busha i w cieniu wojny w Iraku, Chiny miały dodatni bilans ocen w 27 z 47 społeczeństw, a USA w 25. W 2012 r. mediany pozytywnych ocen były niemal równe – 52 proc. dla USA i 49 proc. dla Chin. Barack Obama odbudował amerykańską przewagę. Donald Trump zmniejszył ją po 2017 r., a pandemia pogrążyła oba mocarstwa. Dopiero początek prezydentury Joe Bidena ponownie poprawił obraz Ameryki. Dzisiejsza zamiana nie jest więc końcem historii, lecz kolejnym wahnięciem reputacyjnego wahadła.

Różnica polega na tym, że Chiny mają dziś więcej kanałów oddziaływania niż dwie dekady temu. Są głównym partnerem handlowym wielu państw, budują infrastrukturę, dostarczają telefony, platformy cyfrowe, panele słoneczne, baterie i samochody. Nie muszą przekonywać świata, że ich ustrój jest godny naśladowania. Wystarczy, że pokażą się jako skuteczne, przewidywalne i użyteczne, a Ameryka będzie wyglądała na chaotyczną, nieracjonalną i skłonną do użycia siły.

Badanie Pew nie mówi zatem, że liberalna demokracja przegrywa z autorytaryzmem w konkursie idei. Pokazuje, że wielu ludzi na świecie przestało wiązać USA z liberalną demokracją równie mocno jak dawniej. Ameryka nadal ma silniejsze uniwersytety, kulturę, sojusze i zdolność przyciągania migrantów, także z Chin. Ma też wolne media, dzięki którym świat widzi jej porażki. Chiny mają cenzurę, jednorodny przekaz i coraz lepsze produkty, dzięki którym świat widzi przede wszystkim ich kompetencję.

Najskuteczniejszym zasobem chińskiej propagandy nie jest więc ani agencja informacyjna Xinhua, ani TikTok, ani producenci elektrycznych samochodów. Okazał się nim Donald Trump. Problem z nim jest taki, że jego pierwsza prezydentura mogła się wydawać ludziom w innych państwach wypadkiem przy pracy amerykańskiej demokracji, ale druga coraz bardziej wygląda na stałą usterkę. Chińskie elektryki takich usterek nie miewają.

MICHAŁ BOGUSZ

eprasa.pl 70e748f8f6

Latynoski serial

Za Keiko Fujimori, która właśnie objęła urząd prezydencki, ciągnie się historia zbrodni ojca, nadużyć jej samej, rodzinnej makabry i mafijnej polityki. Dlatego wygrała.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Podobno jest zagadkowa. Niewiele wiadomo o jej życiu prywatnym, osobowości, zainteresowaniach. Wiadomo, że jest rozwiedziona, ma dwie córki i prowadzi ubogie życie towarzyskie. Autor biografii jej ojca – nieżyjącego już dyktatora Peru Alberta Fujimori – twierdzi wręcz, że wydaje się nijaka. To szokujące, zważywszy że na scenie publicznej jest obecna ponad trzy dekady, a od blisko dwóch trzęsie peruwiańską polityką.

Wiadomo, że ma charakter. Prezydenturę wygrała teraz, za czwartym podejściem. Zazwyczaj przegrywała o włos. A teraz o włos zwyciężyła – miała 0,7 pkt proc. przewagi nad kandydatem lewicy – i 28 lipca objęła urząd.

Jest pierwszą w Peru kobietą wybraną na stanowisko głowy państwa w powszechnym głosowaniu. Pierwszą w ogóle była Dina Boluarte (2022–25), którą z powodu zarzutów o przywłaszczenie mienia i zamordyzm parlament usunął ze stanowiska w zeszłym roku; tyle że ona została prezydentką w wyniku zbiegu okoliczności, a nie wyborów – była wice u prezydenta Pedra Castillo, który w 2022 r. chciał bezprawnie rozwiązać parlament, a ostatecznie – jako puczysta – skończył w więzieniu.

Ubieganie się kobiety o prezydenturę w kraju o patriarchalnej kulturze, znacznych pokładach szowinizmu i rasizmu (Fujimori ma japońskie korzenie), na dodatek rozwódki, to niełatwy bieg z przeszkodami. Ale – jak mówi akademiczka i aktywistka Rocio Silva Santisteban – „nie wystarczy być kobietą, aby reprezentować kobiety". – Kobieta, która naprawdę walczy o kobiece interesy, nie zaprzecza, ▶

© SEBASTIAN CASTAÑEDA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 70e748f

▶ że tysiące Peruwianek poddano przymusowej sterylizacji. To aluzja do makabry, której sprawcą był ojciec Keiko Alberto Fujimori. W czasie jego rządów 300 tys. kobiet z rdzennych wspólnot zostało przymusowo lub bez ich wiedzy poddanych sterylizacji.

Poza tym to partia Keiko razem z innymi ze skrajnej prawicy doprowadziła do uchylenia ustaw o równości płci i edukacji seksualnej. W czasie kampanii Keiko głosiła, że sprzeciwia się przerywaniu ciąży przez dziewczynki, które padły ofiarą gwałtu.

– Wielokrotnie powtarzała: „Będę rządzić jak mój ojciec" – przypomina Silva Santisteban. I dodaje, że z perspektywy ruchów praw człowieka te słowa czynią z niej przedstawicielkę morderczego, skorumpowanego, patriarchalnego braterstwa. – To braterstwo stworzyło Grupę Colina, speckomando, które w czasie rządów jej ojca „znikało", torturowało i zabijało tych, którzy sprzeciwiali się jego woli.

1 Gdy w 1990 r. Alberto Fujimori, ojciec Keiko, stawał w szranki o prezydenturę, mało kto w ogóle o nim słyszał. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej szczytem jego marzeń było stanowisko radnego jednej z dzielnic Limy. Był synem imigrantów z Japonii, matematykiem i inżynierem; przez pewien czas przewodniczącym rady rektorów wyższych uczelni. Jak każdy kandydat spoza sceny politycznej mówił źle o partiach i głosił, że nadchodzi czas ludzi niezależnych – takich jak on.

Za rywala miał nie byle kogo – najsłynniejszego Peruwiańczyka w historii, pisarza Maria Vargasa Llosę, który głosił program zaciskania pasa, redukcji wydatków publicznych i prywatyzacji w stylu Margaret Thatcher. Fujimori tymczasem zwrócił się do najuboższych. Kampanię prowadził w indiańskiej czapce, co miało zjednać rdzennych mieszkańców. Jeździł na traktorze i nawoływał do zgody narodowej. Wspierali go pastorzy nowych Kościołów ewangelikańskich, namawiając biednych do poparcia el chinito, czyli Chińczusia (choć to przecież Japończuś).

Ku zaskoczeniu Peruwiańczyków, reszty świata i być może siebie samego Fujimori wygrał. Natychmiast przejął surowy program rywala i przystąpił do otwartej wojny z maoistowską partyzantką Świetlisty Szlak, która od dekady paraliżowała życie kraju. Rozbijał rebeliantów i równocześnie, pod pretekstem walki z terroryzmem, tworzył systemowy zamordyzm.

Policja i służby specjalne pod dyktando Fujimoriego porywały i „znikały" bez śladu krytyków i opozycjonistów. El Pentagonito, kwatera główna wojska, stała się miejscem kaźni. Poparcie, jakie Fujimori zaskarbił sobie rozbiciem Świetlistego Szlaku – od ubogich na wsi po wielkomiejskich krezusów – wykorzystał do rozpędzenia w 1992 r. parlamentu i ustanowienia dyktatury. Dawny el chinito stał się Chinochetem (gra słów: el chino i nazwiska eksdyktatora Chile gen. Augusto Pinocheta).

Jednocześnie był bohaterem wieśniaków gnębionych niegdyś przez Świetlisty Szlak. Objeżdżał kraj jak dobry gospodarz i pytał ludzi w wioskach, czego im brakuje. Krótko po takich „gospodarskich" wizytach rzeczywiście budowano to, czego brakowało – przychodnię, szkołę, kawałek drogi.

Fujimori rządził żelazną ręką 10 lat. W tym czasie on i jego zausznik Vladimiro Montesinos uwikłali w korupcję całą klasę polityczną, a ich rządy upadły z powodu wycieku taśm wideo, na których Montesinos nagrywał swoje „negocjacje" z politykami i wręczanie im łapówek. Obaj uciekli z Peru, ale w końcu ich schwytano i skazano na długoletnie więzienie. Fujimoriego – m.in. za zbrodnie przeciw ludzkości.

Wpływał na życie polityczne jeszcze zza krat. Przyjmował odwiedziny „swoich" kongresmenów. I liczył, że jeśli któregoś dnia Keiko wygra wybory, to go ułaskawi. Ostatecznie ułaskawił go rywal Keiko Pedro Pablo Kuczynski, prezydent w latach 2016–18. Ale to fragment z innego aktu tej politycznej – i także rodzinnej – tragedii w stylu Szekspira ożenionego z Telenowelą.

2 W rodzinie Fujimorich każdy miał apetyt na prezydenturę. W każdym razie od momentu, w którym Alberto zdobył władzę i zaskarbił sobie popularność pokonaniem Szlaku. Z tego powodu od ponad 30 lat dochodzi do wewnątrzrodzinnych wojen, po których czasem następują pojednania.

„Gdyby Alberto nie został prezydentem, bylibyśmy wzorowym małżeństwem i wzorową rodziną" – powiedziała kiedyś Susana Higuchi, żona Fujimoriego. Uważała, że obsesja męża na punkcie władzy zniszczyła rodzinę. Czy rzeczywiście tylko jego obsesja?

W 1992 r. Higuchi – inżynierka z wykształcenia i kobieta biznesu – ujawniła nadużycia w otoczeniu męża prezydenta. Twierdziła, że bracia Fujimoriego założyli dwie organizacje pozarządowe, które przyjmowały darowizny z Japonii, a w rzeczywistości bracia przekierowywali pieniądze na własne konta. Higuchi rzuciła też oskarżenia na szwagierkę – żonę Santiaga Fujimoriego. Twierdziła, że ta „zabiera dla siebie najlepsze rzeczy [z darów z Japonii], a ludziom rozdaje szmaty".

Fujimori zgotował żonie piekło. Najpierw zamknął ją na klucz w rezydencji i nie pozwolił opuszczać domu. W odwecie Higuchi opowiedziała o nadużyciach męża dziennikarzom – m.in. o sprzeniewierzeniu ponad 6 mln dol. – co miało dać początek śledztwu w parlamencie. Fujimori do niego nie dopuścił i właśnie wtedy rozpędził parlament oraz zawiesił działanie wymiaru sprawiedliwości.

W końcu nasłał na żonę służby specjalne. „Wyprowadzono mnie z zawiązanymi oczami – zeznała dekadę później. – Założono mi kaptur na głowę i wywieziono w nieznane miejsce. Torturowano biciem do utraty przytomności. Wstrzyknięto mi jakąś substancję, po której zasnęłam. Potem rażono mnie prądem".

Agentka wywiadu wojskowego Leonor La Rosa potwierdziła, że widziała pierwszą damę nagą, kiedy musiała zanieść jej jedzenie do celi w areszcie służb specjalnych. Kilka lat później La Rosę też poddano torturom, gdy zrobiła przeciek do prasy o metodach uciszania dziennikarzy i opozycjonistów; do dziś porusza się na wózku.

„Nie można ulegać szantażowi ani zastraszeniu, niezależnie od tego, skąd pochodzą. Dlatego podjąłem decyzję o odwołaniu mojej żony z funkcji pierwszej damy" – oświadczył Fujimori. A wiedząc, że miała ambicje kandydowania na urząd prezydenta, zmienił prawo w taki sposób, by jej to uniemożliwić.

W tej rodzinnej makabrze Keiko i jej młodszy brat Kenji opowiedzieli się po stronie ojca. 19-letnia wtedy Keiko objęła funkcję pierwszej damy. Razem z ojcem przyjmowała głowy państw, uczestniczyła w jego wizytach zagranicznych, przecinała wstęgi. Z matką pojednały się dopiero ćwierć wieku później. Higuchi wspierała Keiko w jej prezydenckiej kampanii w 2016 r. Ale i to było częścią kolejnego aktu rodzinnej dramy.

3 Rodzina Fujimorich podzieliła się w sprawie tego, czy działać wspólnie na rzecz uwolnienia Alberta. Jeszcze w 2011 r., w czasie pierwszych wyborów, do których stanęła, Keiko zapowiadała,

eprasa.pl 70e748f8f6



Lima, protest przeciwko prezydenturze Keiko Fujimori

© JORGE CERDAN/ANADOLU/GETTY IMAGES

że ułaskawi ojca, jeśli wygra. Potem nie wracała do tematu, choć wśród jej wyborców ojciec jest wciąż popularny. Mówiło się, że nie chciała ojca na wolności, bo byłby jej konkurentem w walce o władzę.

Sprzymierzeńcem Fujimoriego okazał się w tamtym akcie dramatu syn Kenji, który wobec milczenia siostry domagał się ułaskawienia ojca. Ale i on miał apetyt na władzę (a może chciał tylko zaszkodzić Keiko?) W każdym razie, gdy w 2016 r. było już niemal pewne, że Keiko przegra z Kuczynskim, Kenji ogłosił, że jeśli tak się stanie, to on wystartuje w wyborach w 2021 r.

Siostra odpowiedziała mu z furią, że „w 2021 r. nie będzie kandydata o nazwisku Fujimori", a to ona kontrolowała partię i jej fundusze. Kenji ostatecznie odpuścił. Ale nie na długo, bo tę rodzinną wojenkę wykorzystał prezydent Kuczynski w momencie, w którym został oskarżony o korupcję. Parlament z inicjatywy partii Keiko, która miała większość, chciał go usunąć z urzędu. Jej plany pokrzyżowali brat i siedzący w więzieniu ojciec. Kuczynski zawarł z nimi tajny pakt: panowie Fujimori doprowadzili do rozłamu w kierowanej przez Keiko frakcji parlamentarnej i zabrakło głosów do impeachmentu Kuczynskiego. Ceną, jaką uratowany musiał zapłacić za utrzymanie się u władzy, było właśnie wspomniane ułaskawienie Fujimoriego.

Fujimori cieszył się wolnością kilka miesięcy. Sąd Najwyższy obalił akt łaski i były dyktator wrócił do więzienia. Na wolność wyszedł dopiero sześć lat później – w grudniu 2023 r. A i tak odsiedział tylko 16 z 25 lat kary.

Na wolności Fujimori stał się popularnym tiktokerem. Publikował wideopamiętniki, w których wybielał swój wizerunek. Twierdził, że bronił narodu przed terrorystami, że nie wiedział o nadużyciach i nie pociągał za spust. Identyczne rzeczy opowiadała w czasie zwycięskiej kampanii 2026 r. Keiko.

„Między wynędzniałym staruszkiem, który opuszczał więzienie Barbadillo z butlą tlenową, a influencerem przechadzającym się po centrach handlowych i robiącym sobie zdjęcia z fanami zaszła ogromna zmiana" – pisała prasa o uwolnionym eksdyktatorze.

Zapowiadająca się obiecująco kariera Fujimoriego jako tiktokera nie trwała długo. Zmarł we wrześniu 2024 r. w wieku 85 lat.

4 28 lipca na inauguracji Keiko w roli nowej prezydentki nie pojawił się Kenji. Jego żona wyjaśniła, że jako skazany – mimo że nie siedzi w więzieniu – nie może uczestniczyć w wydarzeniach o charakterze politycznym.

Keiko obejmuje urząd, o którym były korespondent „El Pais" w Ameryce Łacińskiej pisał niedawno tak: „Peruwiańska polityka popadła w nałogowe uzależnienie od tragedii. Fotel prezydenta prowadzi tam do więzienia, a czasem wręcz na cmentarz. Większość osób, które sprawowały ten urząd w ciągu ostatnich trzech dekad, została skazana za korupcję, okryła się w oczach obywateli hańbą bądź trafiła na śmietnik historii. Jeden z prezydentów strzelił sobie w skroń z rewolweru, gdy zobaczył wchodzących do jego domu funkcjonariuszy, którzy przyszli go aresztować" (chodzi o Alana Garcię, prezydenta w latach 1985–90 i 2006–11).

I jeszcze: „Korupcja przenika niemal każdy aspekt życia politycznego i administracyjnego. Kongres tworzą rodziny powiązane z mafiami, które blokują wszelkie głębsze reformy w tak kluczowych dziedzinach jak transport czy edukacja. Zamiast stanowić przeciwwagę dla prezydenta, parlament skutecznie paraliżuje państwo. I tu pojawia się zasadniczy paradoks: rozbicie tego patologicznego systemu zależy od klasy politycznej, która sama jest jego produktem".

Keiko wie doskonale, jaki system obejmuje – od trzech dekad jest jego częścią. Przez lata była w stanie oskarżenia o współtworzenie organizacji przestępczej, pranie pieniędzy, nielegalne finansowanie swoich poprzednich kampanii. Przez jakiś czas siedziała w areszcie. Śledztwo umorzono, ale mętna woda peruwiańskiej polityki prowokuje, by nie domniemywać niewinności. Na pewno nie tej politycznej – Keiko jest od blisko dwóch dekad najpotężniejszą personą tej sceny.

Wybory wygrała hasłami brutalnej walki z przestępczością. Skoro ojciec poradził sobie z terrorystami, to ona poradzi sobie z bandytami – mówiła część ulicy. Zagrała też hasłami przeciw migrantom – tym z Wenezueli, których jest najwięcej od lat. Stworzyła wrażenie, że w Peru pod jej rządami będzie porządek jak za czasów jej ojca, czyli porządek koszar, oparty na terrorze. Pomogły jej także triumfy skrajnej prawicy w regionie pod egidą Donalda Trumpa, ale sam Trump nie pogratulował jej zwycięstwa. Być może dlatego, że w Peru potężne wpływy mają Chiny.

Na paradoks Peru zwraca uwagę wspomniany korespondent: jest to kraj w miarę stabilny gospodarczo, ma silną walutę, niezależny Bank Centralny, a dług publiczny należy do najniższych w regionie. Co zaskakujące, nieźle działa wymiar sprawiedliwości, w którym mniej więcej dekadę temu pojawiła się armia młodych i dobrze wykształconych, także za granicą, sędziów. Im przede wszystkim zawdzięczamy wiedzę o korupcji oraz to, że politycy przestępcy są ścigani i skazywani. Ale czy zdołają się obronić przed prezydentką mającą za inspirację dyktatorskie rządy swojego ojca?

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl 70e748f8f6





Król Muhammad VI.
Obok: **Marokańczycy próbujący się przedostać do hiszpańskiej Ceuty.**

Bramkarz

Król Maroka zachowuje się poniekąd jak gangster, który oferuje Hiszpanii – i całej Europie – odpłatną ochronę przed zagrożeniami, które sam może wywołać.

ŁUKASZ WÓJCIK

Muhammad VI jest jak zjawa. Tak zresztą nazywa go wielu poddanych. Zjawia się na kilka dni w swoim królestwie, a potem znika na długie tygodnie. A ma gdzie znikać, bo jest właścicielem m.in. kamienicy przy Polu Marsowym w Paryżu i zamku niedaleko francuskiej stolicy. Legendy krążą o jego posiadłościach w Gabonie, gdzie najchętniej w męskim gronie spędza długie wakacje. Ale stać go. Majątek Muhammada – zdaniem „Forbesa" – dobija właśnie do 6 mld dol.

Na przełomie lipca i sierpnia akurat był w swoim królestwie i zdążył wywołać kryzys o wadze międzynarodowej, który co prawda trwał tylko nieco ponad dobę, ale w rzeczywistości zaczął się ponad tydzień wcześniej i zostanie z nami na lata.

Już w połowie lipca w mediach społecznościowych zaroiło się od filmików o tym, że „Maroko pozwala przekraczać granicę". Setki nagrań ukazywało Marokańczyków, którym się udało, pozujących przed reprezentacyjnymi budynkami w Ceucie, hiszpańskiej enklawie na północnoafrykańskim wybrzeżu, otoczonej przez Maroko.

Wszystko to wytworzyło w sieci „atmosferę rewolucyjną", jak mówi jeden z naszych marokańskich rozmówców. Tysiące Marokańczyków ruszyły do przygranicznego miasta Fnideq, a potem już wpław wokół barier odgradzających hiszpańskie terytorium, przy biernej postawie marokańskiej straży granicznej. Rabat potem tłumaczył, że wielu funkcjonariuszy musiało akurat zabezpieczać uroczystości związane z kolejną rocznicą koronacji Muhammada, a poza tym za wszystko odpowiadają przemytnicy imigrantów. – *Gdyby tak było, gdyby ci wszyscy ludzie rzeczywiście zapłacili grube pieniądze przemytnikom, nie wróciliby tak łatwo z Ceuty następnego dnia* – twierdzi Mounia Bennani-Chraïbi, politolożka z Uniwersytetu Lozańskiego.

W ciągu dwóch krytycznych dni, 30 i 31 lipca, do 84-tysięcznej Ceuty wdarło się prawie 78 tys. ludzi z Maroka. Przez kolejne dwa dni wrócili niemal wszyscy, nie mając szans na zdobycie jedzenia czy nawet wody na terenie enklawy. Tu warto przypomnieć, że choć Ceuta jest formalnie hiszpańska, nie należy do strefy Schengen i aby dostać się do „zasadniczej" Hiszpanii, potrzebna jest wiza. W samej Ceucie zostało ok. 4 tys. nowo przybyłych, w tym 862 nieletnich, którzy pojawili się tam bez opieki. W trakcie kryzysu utonęło co najmniej 111 osób (stan na 7 sierpnia), kilkadziesiąt uznaje się za zaginione.

Można było się spodziewać, że inne kraje Zachodu, które również borykają się z problemami migracyjnymi, potępią tak bezczelne naruszenie granicy suwerennego państwa. Jednak tak się nie stało. Danny Danon, przedstawiciel Izraela przy ONZ, powiedział, że „czas, aby Hiszpania wyjaśniła światu, dlaczego utrzymuje enklawy kolonialne w Afryce". Sekretarz stanu USA Marco Rubio obwinił hiszpańskiego premiera Pedro Sáncheza o „celowe ułatwienie masowej nielegalnej migracji do Europy". Premier Włoch Giorgia Meloni wezwała do zawieszenia członkostwa Hiszpanii w strefie Schengen. A Francja zapowiedziała kontrole na granicy z Hiszpanią (ostatecznie do tego nie doszło).

Wcześniej w podobnych przypadkach „weponizacji imigracji", gdy autorytarne reżimy z premedytacją wykorzystywały

© ABU ADEM MUHAMMED/ANADOLU/GETTY IMAGES, CARLOS R. ALVAREZ/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 70e748f8f6

nielegalnych imigrantów jako broń, aby wywierać presję na inne państwa europejskie, te same rządy solidarnie stawały po stronie zaatakowanego. Różnica być może polega na tym, że wcześniej chodziło o państwa, które Donald Trump lubi (Włochy, Grecja, Polska). A tym razem trafiło na kraj, którego mistrzowska reprezentacja piłkarska nie chciała pozować z prezydentem USA podczas ceremonii wręczenia Pucharu Świata.

Rzecz jasna nie chodzi tylko o to. Premier Sánchez stał się dla Trumpa diabłem wcielonym co najmniej z trzech powodów. Amerykanin nie lubi Hiszpana, bo prowadzi zupełnie inną, inkluzywną – można by rzec w skrócie – politykę imigracyjną, to po pierwsze. Po drugie, bo Sánchez nie zgodził się na wykorzystanie amerykańskich baz wojskowych w Hiszpanii do ataków na Iran. I po trzecie, bo Hiszpan krytykuje Izrael i nazywa to, co się stało w Strefie Gazy, ludobójstwem.

Oczywiście można się nie zgadzać z Sánchezem. Ale tak jawna hipokryzja ze strony innych Europejczyków, którzy z powodów wewnętrznych i chęci przypodobania się Trumpowi atakują sojusznika z Unii Europejskiej i NATO, choć sami mogą znaleźć się zaraz w podobnej sytuacji, wydaje się krótkowzroczna. Tym bardziej że w zasadzie nikt z tego grona nie skrytykował Maroka. Być może dlatego, że król Muhammad awansował w ostatnich latach na wielkiego przyjaciela Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Tak wzmocniony 62-letni król Maroka przypomina dziś bramkarza stojącego przed wejściem do ekskluzywnego klubu. Pierwotnie miał płacone, żeby nie wpuszczać niepożądanych gości, w tym przypadku imigrantów subsaharyjskich. I przez lata to działało – aż w okolicy pojawił się potężny amerykański gangster, który podporządkował sobie wszystkich bramkarzy tego klubu (poza Marokańczykiem również Libijczyka, Tunezyjczyka, Egipcjanina, a nawet Turka) i teraz oferują oni członkom tego klubu odpłatną „ochronę" przed niebezpieczeństwami, które sami mogą wywołać.

A warunki sprzyjają takim niebezpieczeństwom. Styk Hiszpanii i Maroka to dziś największy uskok dochodowy w okolicach Europy. Dla porównania: dochody Polaka są średnio dwa razy wyższe niż Białorusina, przewaga Hiszpana nad Marokańczykiem jest pięciokrotna.

Paradoksalnie Maroko od lat ma bardzo dobre liczby. Inwestycje na poziomie 32 proc. – to jeden z najwyższych wskaźników na świecie, ustępujący jedynie Chinom i Indiom. Wzrost gospodarczy – prawie 5 proc., inflacja – pomijalna. Rosną bezpośrednie inwestycje zagraniczne, a kraj ma silną pozycję w sektorach motoryzacyjnym, lotniczym i energii odnawialnej.

I tu zaczyna się tzw. marokański paradoks. To termin wywiedziony przez ekonomistów (pisze o tym m.in. noblista Daron Acemoğlu) z tego jednego przypadku, ale dobrze opisujący kilka innych autokratycznych krajów wspieranych – z różnych powodów – przez bogate zachodnie demokracje. W takich miejscach liczbowy dobrobyt nie przekłada się na ten realny. Bezrobocie w Maroku pozostaje astronomiczne – oficjalne: 37 proc., ale realne jest dużo wyższe. Wskaźnik aktywności zawodowej wynosi ok. 44 proc. i pozostaje jednym z najniższych wśród gospodarek wschodzących.

W Maroku pęcznieją nierówności regionalne, z roku na rok rośnie poziom ubóstwa, a winda awansu społecznego utknęła. Wzrost gospodarczy nadal generuje bogactwo, ale dla coraz węższej grupy. Jak wykazał Acemoğlu, w podobnych przypadkach trwały dobrobyt zależy mniej od wielkości inwestycji, a bardziej od jakości instytucji, konkurencji i równości szans. A tego wszystkiego w Maroku brak. Skutek? – *Gdyby król, tak jak w przypadku Ceuty, otworzył wszystkie granice na dłużej, połowa Marokańczyków wyjechałaby z kraju* – uważa Bennani-Chraïbi.

W tym systemie Ceuta to najważniejsza bramka do europejskiego klubu – kluczowa dla mechanizmu presji, który stworzył król Muhammad. Jest za mała, aby poważnie zdestabilizować sytuację w Hiszpanii i Maroku. Ale wystarczająco duża, żeby postraszyć Madryt, gdy ten np. próbuje dogadać się z Algierią, z którą Maroko ma na pieńku. Albo gdy król chce doprowadzić skrajną prawicę na Zachodzie do politycznego orgazmu za pomocą zdjęć, na których młodzi Marokańczycy w niekontrolowany sposób wdzierają się do Hiszpanii. Albo przekierować kipiące regularnie niezadowolenie społeczne na „hiszpańskich imperialistów". Ceuta jest wielofunkcyjna.

O jej „zwrot" Maroko domaga się nieustannie od 1956 r., kiedy wybiło się na niepodległość od Francji. Ostatnio Muhammad otworzył tę bramkę w 2021 r., gdy Hiszpania poparła siły wrogie Rabatowi w Saharze Zachodniej. Kilkanaście dni później do Ceuty wdarło się ok. 8 tys. Marokańczyków nieniepokojonych przez własną straż graniczną. „Kluczowym pytaniem nie jest już, czy te miasta (Ceuta i Melilla – przyp. red.) zostaną ponownie zintegrowane z ich naturalnym środowiskiem, Marokiem, ale ile czasu to zajmie i ile ludzkich tragedii trzeba będzie w międzyczasie znieść" – napisał po ostatnim kryzysie w Ceucie marokański portal Le360 związany z Muhammadem VI.

Król ma w tym pełne wsparcie Ameryki, która pod rządami Trumpa regularnie podważa hiszpańską kontrolę nad północnoafrykańskimi enklawami. W kwietniowym wywiadzie dla gazety „El Español" wpływowy amerykański kongresmen Mario Díaz-Balart stwierdził, że „Ceuta i Melilla to kolonialny wstyd dla Hiszpanii" (czyżby zapomniał o Hawajach?). Trump już wcześniej uznał marokańskie zwierzchnictwo nad Saharą Zachodnią, co jest mocno kontestowane międzynarodowo. Amerykanin uczynił to w podziękowaniu za normalizację stosunków między Marokiem i Izraelem. Kilka dni temu, również w podziękowaniu za wsparcie Waszyngtonu, król Muhammad nadał autostradzie biegnącej przez Saharę Zachodnią imię prezydenta USA.

Europa ma coraz większy problem z takimi bramkarzami jak Muhammad VI. Odkąd w 2016 r. zawarła pakt z Turcją, w ramach którego Tayyip Recep Erdoğan w zamian za ok. 6 mld euro i zniesienie wiz zgodził się powstrzymać migrantów z Syrii, nim dotrą do Europy – „zanim Europejczycy pobrudzą sobie ręce", jak pisał wtedy Orhan Pamuk – coraz więcej krajów z południa kontynentu opłaca się północnoafrykańskim bramkarzom za „ochronę". Efekt jest taki, że cały system bezpieczeństwa migracyjnego Europy w coraz większym stopniu zależy od aktualnego interesu owych bramkarzy.

Jednocześnie europejskie pieniądze wzmacniają ich reżimy, podczas gdy – tak jak w przypadku Maroka – kupowana w ten sposób stabilizacja jest bardzo powierzchowna, zaraz pod nią buzuje społeczne ciśnienie. Wcześniej czy później wystrzeli ono Europie w twarz w postaci kolejnego kryzysu migracyjnego, którego nie powstrzyma już żaden bramkarz. ■

eprasa.pl 70e748f8f6



Nareszcie sami

Rozmowa z reporterką Jagodą Grondecką o tym, jak bardzo zmienili się talibowie i rządzony przez nich Afganistan. I czy świat powinien się z nimi dogadać.

MATEUSZ MAZZINI: **– Zaraz minie pięć lat od wyjścia Amerykanów z Afganistanu. Jaki to dziś kraj?**

JAGODA GRONDECKA: – Z pewnością nie upadły. Zresztą podobnie myśli wielu Afgańczyków. Widać to w języku, bo my na Zachodzie datę 15 sierpnia 2021 r. określamy jako upadek Kabulu, podczas gdy w Afganistanie mówi się o upadku reżimu. Pewien Afgańczyk oburzył się na moje stwierdzenie o upadku stolicy. Usłyszałam, że nie powinnam tak mówić, bo nie było żadnego upadku Kabulu – upadł jeden system polityczny, teraz obowiązuje inny.

Znów rządzą talibowie.

Ale w inny sposób niż po 1996 r. Tym razem przejęcie państwa było dość płynne. Niektóre urzędy czy ministerstwa zamknięto na kilka dni czy tygodni, ale w miarę szybko wróciły do życia, w dodatku niemal z tym samym personelem. Kadra kierownicza została oczywiście wymieniona, ale też nie natychmiast. Talibowie najpierw przyszli się uczyć od dyrektorów z czasów republiki. Po czym ich zastąpili.

Czyli względna stabilność.

Zdecydowanie. Tym bardziej że właśnie skończył się konflikt zbrojny. Wiadomo, że Kabul nie był codziennie bombardowany, przez stolicę nie przechodziła linia frontu, ale na różnych etapach zdarzało się tam np. sporo zamachów bombowych, których teraz nie ma. Doświadczenie wojny w Afganistanie było zresztą bardzo różne, w zależności od statusu majątkowego i geografii. Jeśli ktoś żył w mieście, należał do klasy średniej czy wyższej, to mógł naprawdę w niewielkim stopniu odczuć, że dookoła dzieje się coś złego. Natomiast mieszkańcy prowincji, w których trwały walki, będą dziś pierwszymi, którzy opowiedzą o stabilizacji. Tym bardziej że wyraźnie zredukowano pospolitą przestępczość, która doskwierała ludziom.

Czym różnią się rządy talibów dzisiaj od tych z lat 90.?

Przede wszystkim nie są aż tak restrykcyjni w kwestiach obyczajowych. Nie kontrolują już np. zakładów fryzjerskich, aby sprawdzić, czy nie dominuje tam zachodnia moda. Oficjalnie zalecają noszenie dłuższej brody, ale to zależy, na jakiego taliba się trafi. Podobnie jest z pozycją kobiet: ona jest zła, ale wciąż nie tak zła, jak za poprzednich rządów talibów. Wtedy kobiety w ogóle nie mogły chodzić do szkoły, dzisiaj jeszcze zezwala im się na edukację w klasach 1–6 szkoły podstawowej. Chociaż nie jestem pewna, czy to dla nich lepsze rozwiązanie.

Dlaczego?

Z jednej strony lepsza ograniczona edukacja niż żadna. Lepiej, żeby te dziewczyny wyszły z domu przynajmniej na chwilę. Ale z drugiej strony taka nauka to jedynie namiastka, którą tym dziewczynkom się daje, a potem dość brutalnie odbiera. Może byłoby lepiej, gdyby one jednak nie wyszły w ogóle, niż żeby tkwiły resztę życia w poczuciu, że tam dalej, za drzwiami domu, jest coś wielkiego, co je omija.

Mimo wszystko obecny rząd wydaje się dość popularny wśród Afgańczyków.

Poprzednie władze były po prostu strasznie skorumpowane. Wymiar sprawiedliwości dobrze to ilustruje. Przed powrotem talibów Afgańczycy, którzy

© OMER ABRAR/AFP/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/DDTV/EAST NEWS

eprasa.pl 70e748f8f6

nie mieli pieniędzy czy koneksji, nie mieli też czego szukać w sądach. Samo wyeliminowanie korupcji jest więc znaczącą zmianą odczuwaną przez dużą część społeczeństwa. Kiedy tylko talibowie przejęli władzę, nastąpiła autentyczna eksplozja wniosków o uporządkowanie kwestii własności ziemi – co oczywiście było bardzo trudne, bo ogromna część dokumentacji przepadła podczas kolejnych wojen. Ale ludzie zaczęli wierzyć, że teraz uda im się to w sądach załatwić.

Razem z talibami wróciła jednak masa ograniczeń społecznych i represji.

Oczywiście, ale tu jest kilka perspektyw. Inna jest perspektywa kobiet, zwłaszcza w miastach. Wiele z nich przed 2021 r. uczyło się, studiowało, miało pracę zarobkową. Teraz zostały od tego odcięte. Z kolei jeśli mężczyźni na cokolwiek narzekają, są to raczej drobne rzeczy, jak to, że muszą zamknąć swoje sklepiki w piątek o wcześniejszej godzinie z powodu modlitwy w pobliskim meczecie. Czasem te perspektywy jednak zachodzą na siebie. Talibowie wprowadzili też regulacje dotyczące ubioru mężczyzn, zakazując chodzenia w dżinsach czy właśnie za krótkiej brody. Dopiero wtedy niektórzy mężczyźni zaczęli dostrzegać problem.

Chociaż są i tacy, którzy uważają, że wolność jednostki w ujęciu zachodnim jest najgorszą rzeczą, jaka mogła się przydarzyć ludzkości. Dlatego czasy republiki były tak wielką tragedią, bo władza świecka pozwalała ludziom robić, co chcieli. Ubierali się, jak chcieli. Czesali według własnych upodobań. Pracowali w wybranych przez siebie zawodach. Wiele osób wspomina ten okres jako bardzo szkodliwy dla społeczeństwa.

Tylko czy takie koncentrowanie się na długości brody lub dostępie do nauki nie jest pułapką, w którą wpadają talibowie?

W rozmowach z Afgańczykami na pierwszy plan zawsze wychodzi gospodarka. Bo nawet jeśli masz córkę i chcesz ją wysłać do szkoły, to jeśli nie masz pieniędzy na jedzenie, nie będziesz się przejmować brakiem szans na edukację. Zła sytuacja ekonomiczna to nie jest do końca wina talibów. Przewidywano, że po ich powrocie do władzy afgańska gospodarka się załamie, ostatecznie krach nie był aż tak wielki.

Koniec wojny odsłonił też inną prawdę o afgańskiej gospodarce. Przez lata dominowało przekonanie, że najważniejszym jej segmentem jest rolnictwo. Okazało się, że to nieprawda, bo przez ostatnie 20 lat najważniejszym sektorem afgańskiej gospodarki była po prostu wojna. Na drugim miejscu stały produkcja i handel narkotykami, a dopiero gdzieś dalej rolnictwo.

Koniec wojny musiał tu dużo zmienić.

Tak, bo dziś mnóstwo osób nie ma pracy. Kierowca ciężarówki, który dostarczał piach czy żwir do baz NATO, zarabiając przy tym jakieś 200 dol. miesięcznie, został pozbawiony źródła przychodu, bo NATO już w Afganistanie nie ma. Wszystkie branże, które wyrosły wokół wojny, z dnia na dzień wyparowały. Skoczyło bezrobocie, choć i tak już było wysokie. Bardzo ucierpieli absolwenci uczelni czy szkoleń oferowanych przez zachodnie NGO-sy. Ci ludzie umieją obsługiwać komputery, nauczyli się na jakimś poziomie mówić po angielsku – przekonywano ich, że to będzie klucz do lepszej przyszłości. I nagle nikt ich już nie potrzebuje.

Czy talibowie chcą jeszcze wyeksportować swoją rewolucję?

Zdecydowanie nie. To są po prostu afgańscy nacjonaliści. I to ich odróżnia od Al-Kaidy czy od tzw. Państwa Islamskiego – nie mają żadnych ponadnarodowych aspiracji. Ich celem jest rządzenie własnym krajem. Dlatego dla wielu Afgańczyków powrót talibów do władzy to również powrót do samostanowienia. Pierwszy raz od 20 lat nikt im nie mówi, kto ma być ich prezydentem, jakich mają mieć polityków, jak ma wyglądać ustrój czy konstytucja.

To jednak nie oznacza, że wszyscy są zadowoleni. Talibowie wytracili już trochę początkowego impetu. Po odzyskaniu władzy dostali od społeczeństwa bonus, bo nie byli skorumpowaną władzą republikańską, skończyli wojnę, przywrócili bezpieczeństwo, naprawili sądownictwo. Ale minęło już pięć lat i ludzie zaczynają się dopytywać, dokąd to wszystko zmierza.

Dokąd?

Trudno powiedzieć, bo talibowie nie są monolitem. Brakuje wśród nich zgody co do wizji przyszłości, nawet jeśli podkreślają swoją jedność – to ona miała im przynieść zwycięstwo nad USA. Ale ta jedność do pewnego stopnia jest iluzją. Wielu szeregowców w siłach zbrojnych jest przeciwnych zakazowi nauki dla dziewczynek. Część z nich zawsze tak uważała, inni zmienili zdanie niedawno. Ale to nie ma większego znaczenia, bo nikt nie oczekuje, że przywódca talibów, emir Hibatullah Achundzada, przeprowadzi jakieś reformy edukacji.

Jakim on jest władcą?

Enigmatycznym. Rezyduje w Kandaharze, który jest dzisiaj centrum politycznym kraju, bo Kabul pełni funkcję wyłącznie administracyjną. Można zakładać, że emir ma bardzo konserwatywny światopogląd, choćby w kwestii roli kobiet w społeczeństwie. Wokół niego istnieje krąg doradców, ale też nie wiemy dokładnie, kto do niego należy. Nie wiemy też, czy ten konserwatyzm wynika z przekonań religijnych, czy bardziej z tradycji plemiennej, która często jest dla kobiet o wiele gorsza.

Ale tym razem talibowie chyba bardziej zauważają resztę świata?

Jednym z ich priorytetów jest przywrócenie Afganistanu do społeczności międzynarodowej. Talibowie mocno podkreślają, że nie są Al-Kaidą czy innym ciałem odrzucającym porządek międzynarodowy. Na budynku afgańskiego MSZ jest zresztą mural przedstawiający kulę ziemską z zaznaczonym Afganistanem, pomalowanym w barwy talibskiej flagi, a pod spodem hasło, że Afganistan chce i dąży do dobrych relacji ze wszystkimi krajami świata.

Czy taka międzynarodowa normalizacja Afganistanu jest dziś w ogóle możliwa?

Talibowie prowadzą ofensywę dyplomatyczną nie tylko w relacjach z Pakistanem czy Indiami, ale i z państwami zachodnimi i Unią Europejską. Niemcy kontaktują się z nimi w sprawie deportacji afgańskich uchodźców. A talibowie stawiają warunek: „przyjmiemy tych ludzi z powrotem, ale musicie zacząć z nami rozmawiać". To rozmawianie jest zresztą bardzo potrzebne. Wiadomo, talibowie z naszej perspektywy są władzą opresyjną. Natomiast jakieś dogadanie się z nimi to w tej chwili jedyna strategia, której Zachód wobec Afganistanu jeszcze nie próbował. Może czas najwyższy to zmienić? ■



Jagoda Grondecka – reporterka, iranistka, jako jedyna polska dziennikarka relacjonowała wyjście amerykańskich wojsk z Afganistanu. Nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się właśnie jej najnowsza książka „Emirat to my. Jak talibowie odbijali Afganistan".

eprasa.pl 70e748f8f6

„Macie dwie opcje: wyrzucimy was stąd żywych lub martwych”. Przed takim wyborem stają Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu wobec brutalnej ofensywy żydowskich osadników.

Władcy wzgórz



Wioska At-Tajjiba na Zachodnim Brzegu. Na porządku dziennym są ataki żydowskich osadników i podpalenia upraw.

AGNIESZKA ZAGNER Z RAMALLAH

Biorąc pod uwagę kontekst kulturowy, Madis Churi ma specyficzne zajęcie – jest szefową browaru w palestyńskiej wiosce At-Tajjiba. Wioska ma pecha, bo leży na Zachodnim Brzegu Jordanu. Madis wskazuje na przyczółek, tzw. outpost: – *Widzisz asfaltową drogę na tym kamienistym wzgórzu przed nami i obok kilka przyczep kempingowych? Osadnicy próbują tak utrudnić tu życie, żeby Palestyńczycy sami wyjechali.*

Sześć takich przyczółków w ciągu ostatniego roku powstało wokół tej jedynej całkowicie chrześcijańskiej wioski na Zachodnim Brzegu (stąd browar), w której – wedle tradycji – niedługo przed ukrzyżowaniem schronienie miał znaleźć Jezus z apostołami. Niedaleko są dwa żydowskie osiedla Rimonim i Ofra, założone w latach 70. XX w. na części ziemi należącej do wioski. W sumie w okolicy mieszka już kilka tysięcy izraelskich osadników.

Agresja nasiliła się po ataku Hamasu na Izrael z 7 października 2023 r. Na porządku dziennym są ataki osadników na palestyńskie pola, podpalenia drzewek oliwnych. W 2025 r. podłożyli ogień w pobliżu ruin bizantyjskiego kościoła z V w. Niedawno wjechali do wioski na wielbłądach, które zaczęły zjadać liście na okolicznych drzewach, terroryzowali mieszkańców. Inni weszli na teren cementowni i kamieniołomu – wywiesili izraelskie flagi i założyli przyczółek. Zakłady stanęły, ludzie stracili pracę.

Tylko koni żal

W czerwcu osadnicy znowu podłożyli ogień we wsi – wezwano straż pożarną, przyjechała z opóźnieniem, bo po drodze zatrzymali ją izraelscy żołnierze. Strażacy potrzebowali specjalnego pozwolenia ze strony izraelskich władz administrujących Zachodnim Brzegiem, ponieważ większość At-Tajjiby to tzw. strefa C, pod izraelską kontrolą cywilną i bezpieczeństwa. Na ile to biurokracja, a na ile świadome utrudnianie życia Palestyńczykom, trudno powiedzieć. Ale jedno jest pewne – każdy mieszkaniec wioski nosi w sobie własną historię o krzywdzie ze strony osadników.

Madis opowiada, jak 28 lutego, pierwszego dnia wojny z Iranem, ok. 30 uzbrojonych osadników weszło do wsi, a następnie na należącą do jej ojca i wujka działkę, gdzie w budynku gospodarczym były koń i źrebak. Przez dwie godziny kręcili się po okolicy, mieszkańcy wezwali izraelską policję i zawiadomili administrację cywilną, że intruzi próbują ukraść konia.

eprasa.pl 70e748f8f6

Po ok. 40 minutach przyjechali żołnierze i policjanci. Zamiast zatrzymać osadników, weszli razem z nimi do budynku, zabrali konia i źrebaka, a następnie odprowadzili je poza wioskę: – *Osadnik twierdził, że koń należy do niego, chociaż mieliśmy dowody, że jest nasz* – mówi Madis. Administracja cywilna rozłożyła ręce, wystarczyło oświadczenie osadnika.

W przypadku takich incydentów powtarza się schemat. – *Jeśli policja w ogóle przyjeżdża, to po kilkudziesięciu minutach. W tym czasie osadnicy zdążą uciec. Gdy policja odjeżdża, wracają* – mówi gorzko ksiądz Baszar Fawadleh, proboszcz katolickiej parafii. – *Tak wygląda nasze życie. Staramy się chronić ludzi poprzez wizyty dyplomatów i przedstawicieli zagranicznych misji, którzy nagłaśniają sytuację. To jednak niewiele zmienia.*

Brutalni i bezkarni

At-Tajjiba nie jest wyjątkiem. A bezkarna przemoc osadników wobec Palestyńczyków nie jest niczym nowym. Po 7 października przybiera jednak niespotykaną wcześniej skalę. Według OCHA, oenzetowskiej agendy ds. sytuacji kryzysowych, w tym roku doszło do ponad tysiąca aktów przemocy ze strony osadników w 230 miejscach na Zachodnim Brzegu (średnio sześć incydentów dziennie). Dramatyczny był zwłaszcza rok 2024, gdy odnotowano wzrost o 20 proc. (w 2025 r. – o kolejne 25 proc.).

Do tego dochodzą zabójstwa. W ciągu niespełna trzech lat z rąk osadników zginęło co najmniej 37 Palestyńczyków (tylko w tym roku 15), a biorąc pod uwagę także dsziałania izraelskiego wojska – w którego szeregach na Zachodnim Brzegu często służą osadnicy – to już ponad tysiąc zabitych i 12 tys. rannych. Od października 2023 r. zginęło co najmniej 24 osadników, a 146 zostało rannych. Pokazuje to, która strona jest silniejsza.

I bardziej bezkarna. Według izraelskiej organizacji Jesz Din, dokumentującej m.in. przemoc wobec Palestyńczyków, ponad 96 proc. policyjnych dochodzeń dotyczących przemocy osadników na Zachodnim Brzegu w latach 2020–25 zakończyło się bez aktu oskarżenia. Spośród 368 rozpoczętych spraw jedynie osiem (2 proc.) miało swój finał w postaci wyroku skazującego. To rażąca dysproporcja w sytuacji, gdy Palestyńczykom za samą próbę zamachu grozi śmierć na miejscu, bez sądu.

Do końca 2025 r. w ten sposób zginęło 79 Palestyńczyków, a 247 kolejnych w wymianie ognia podczas rajdów izraelskiego wojska na wioski i miasta. Według ONZ co najmniej 331 przypadków budzi podejrzenia o dokonanie egzekucji pozasądowych. Uchwalona w maju tego roku ustawa o karze śmierci dla terrorystów (de facto tylko palestyńskich), promowana przez ministra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben-Gwira (też osadnika), sytuacji nie poprawi.

Rok po ataku 7 października Ben-Gwir ogłosił, że przekazał 120 tys. sztuk broni „uprawnionym obywatelom", głównie osadnikom, a także mieszkańcom miejscowości graniczących ze Strefą Gazy czy z Libanem. Według izraelskich mediów armia dostarczyła osadnikom co najmniej 7 tys. sztuk broni długiej, a 8 tys. osadników wcieliła do jednostek obrony terytorialnej – oficjalnie miało to uzupełnić braki kadrowe po mieszkańcach osiedli powołanych do służby rezerwowej i wysłanych na front.

Czyja ziemia

Miesiąc temu kilkudziesięciu sygnatariuszy listu do premiera Beniamina Netanjahu (w tym dwóch byłych premierów, dwóch byłych szefów agencji Szin Bet, były szef Mosadu, wysocy rangą oficerowie i przedstawiciele elity) wskazało, że premier i jego ministrowie nie robią nic, żeby wyplenić żydowski terror. „Nie potępiają go, nie wymagają od Sił Obronnych Izraela, policji, Szin Bet i administracji cywilnej walki z nim, a niektórzy wspierają ten terror, zapewniając pomoc finansową i sprzętową oraz budując nielegalne farmy i placówki, które służą jako siedziby żydowskich aktywistów terrorystycznych" – napisali, zapowiadając wniosek do Sądu Najwyższego.

Ben-Gwir mieszka na obrzeżach Hebronu w Kirjat Arba. To osiedle utworzone na ziemi skonfiskowanej Palestyńczykom rzekomo na cele wojskowe w 1968 r., rok po wojnie sześciodniowej. Izrael rozpoczął wówczas okupację m.in. Zachodniego Brzegu, na którym żydowskie osiedla zaczęły się błyskawicznie mnożyć. Ben-Gwir jest wielbicielem rabina Meira Kahanego (1932–90), który uważał, że Palestyńczycy – jako wrogowie Żydów – powinni zostać pozbawieni wszelkich praw, a następnie wyrzuceni z ziem, które należą się wyłącznie Izraelowi. Ugrupowanie Żydowska Siła, na którego czele stoi Ben-Gwir, wprost odwołuje się do kahanizmu, a w jego domu wciąż wisi zdjęcie Barucha Goldsteina, który w lutym 1994 r. zastrzelił 29 Palestyńczyków w meczecie w Hebronie.

Jedną z czołowych postaci w ruchu osadniczym jest 34-letni wnuk Kahanego, Meir Ettinger, przywódca tzw. Młodzieży ze Wzgórz, kilkuset młodych Żydów zakładających przyczółki na Zachodnim Brzegu. Uważa się ich za głównych sprawców przemocy wobec Palestyńczyków. Są bardzo charakterystyczni, często można spotkać ich na ulicach izraelskich miast – wyróżniają się grubymi pejsami i dzierganymi dużymi kipami na głowach (kipa sruga), najczęściej z przewieszonym karabinem na ramieniu. – *Ten wygląd ma podkreślić, że idą na całość, w każdej sprawie* – mówi Jossie, 30-latek z Jerozolimy, który wychował się na jednym z osiedli na Zachodnim Brzegu i wciąż utrzymuje kontakt z Młodzieżą ze Wzgórz. – *Wierzymy, że cała ta ziemia należy do ludu Izraela*.

Zarówno Ettinger, jak i Młodzież ze Wzgórz objęci są unijnymi sankcjami, m.in. odcięciem od funduszy europejskich i zakazem wjazdu na teren UE. Europa problem z osadnikami dostrzega, widząc w nich główną przeszkodę w rozwiązaniu konfliktu na zasadzie dwóch państw, co jest fundamentem jej polityki wobec Izraela i Palestyny. Na czarnej liście Unii Europejskiej znajduje się już 41 organizacji osadniczych i 146 osób. Ostatnio dołączyła do nich Daniella Weiss, tzw. matka chrzestna osadników, liderka ruchu Nachala promującego tworzenie przyczółków na wzgórzach, zwolenniczka wysiedlenia ludności z Gazy i powrotu tam osadników, a także postawienia Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu przed wyborem: albo akceptują władzę Izraela, albo wynocha.

Pogrzebać ideę

To powszechne stanowisko wśród osadników. Rada Jesza, organizacja zrzeszająca władze lokalne osiedli na Zachodnim Brzegu, wskazuje pięć swoich celów: izraelską suwerenność nad tym terytorium, milion osadników, podwojenie liczby turystów, rozwój infrastruktury oraz „zapobieżenie ustanowieniu państwa palestyńskiego między rzeką Jordan a Morzem Śródziemnym".

Na Zachodnim Brzegu w ok. 160 oficjalnie uznanych przez Izrael osiedlach ▶

© AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 70e748f8f6



Żydowskie osiedle Sa Nur zlikwidowano w 2005 r. W tym roku osadnicy powrócili.

▶ i ok. 360 nieautoryzowanych przyczółkach (po 7 października przybyło co najmniej 140) mieszka obecnie 750–780 tys. osadników, w tym we wschodniej Jerozolimie ok. 230 tys. Większość osiedli leży na wzgórzach, głównie ze względów strategicznych i bezpieczeństwa, dosłownie (i w przenośni) górując nad terenami zamieszkanymi przez Palestyńczyków. Tymczasem zgodnie z czwartą konwencją genewską, którą sygnował Izrael, wysiedlanie ludności cywilnej z terenów okupowanych jest nielegalne i stanowi zbrodnię wojenną. Izrael od lat utrzymuje, że prawa nie łamie, ponieważ Zachodni Brzeg przed 1967 r. nie był suwerennym bytem (pozostawał pod kontrolą Jordanii), a więc osiedla są legalne.

Mieszkający w nich osadnicy dzielą się na trzy podobnej wielkości grupy: ultraortodoksów z dużych osiedli takich jak Modiin Illit czy Bejtar Illit; religijnych syjonistów, podobnie jak ci pierwsi uważających, że Zachodni Brzeg to Judea i Samaria, dlatego należy do Żydów (osiedla Bet El, Ofra, Jichar, Kirjat Arba) oraz tradycyjnych, a nawet świeckich Żydów, którzy mieszkają na Zachodnim Brzegu ze względu na niższe koszty życia (Ariel czy Maale Adumim).

Rozbudowa istniejących osiedli od dekad jest oficjalną polityką Izraela. Na jednego osadnika z budżetu państwa idzie trzykrotnie więcej pieniędzy (bezpośrednie dopłaty, utrzymanie infrastruktury i systemu bezpieczeństwa) niż na statystycznego mieszkańca kraju. Odkąd w 2022 r. do rządu weszło kilku osadników, m.in. Ben-Gwir, kasy i wsparcia jest jeszcze więcej. Tylko w ostatnich tygodniach rząd przeznaczył 152 mln szekli (190 mln zł) na utworzenie 69 nowych osiedli i przyczółków, a w planach jest dodatkowy miliard szekli (1,25 mld zł). Oddzielnym strumieniem do osadników płyną też grube miliony dolarów od amerykańskich ewangelikanów.

Kiedy w 2025 r. inny osadnik w rządzie, Becalel Smotricz, zatwierdzał budowę ponad 3 tys. nowych mieszkań w tzw. bloku E1, który docelowo ma poszerzyć granice Jerozolimy na wschód, zapowiedział, że ma to ostatecznie „pogrzebać ideę palestyńskiego państwa". Tak się składa, że ostatnią w tym przeszkodą jest kilkanaście maleńkich beduińskich osad wzdłuż drogi między Jerozolimą a Jerychem. W 2018 r. wysiedlenia wstrzymano m.in. pod presją międzynarodową. Jednak kilka miesięcy temu plan odżył, gdy Smotricz zapowiedział wszczęcie procedury usunięcia stamtąd ok. 3 tys. Beduinów.

Jeśli tym razem to się uda, Zachodni Brzeg zostanie przecięty na pół, zniknie połączenie między południową i północną częścią. – *Chodzi o to, żeby pozbyć się stąd Beduinów i zastąpić ich kimś innym. To czystka etniczna* – mówi Ibrahim Abu Saif, którego rodzina od pięciu pokoleń mieszka w Chan al-Ahmar, jednej z tych beduińskich osad.

Owce i muzyka

Od 2018 r. Izrael wysiedlił 70 pasterskich społeczności (aż 60 po 7 października), w sumie 4,1 tys. osób, w tym 2 tys. dzieci. Do tego ok. 40 tys. osób z obozów dla uchodźców na północy Zachodniego Brzegu. – *Cel jest oczywisty: pozbyć się jak najwięcej ludzi i zagrabić jak najwięcej ziemi* – dodaje Szaj Parnes z B'Tselem, izraelskiej organizacji zajmującej się obroną praw Palestyńczyków na terytoriach okupowanych.

W Chan al-Ahmar, gdzie za unijne pieniądze powstała m.in. szkoła dla dzieci i zainstalowano panele słoneczne, a także realizowanych jest kilka polskich projektów pomocowych, życie stało się nie do zniesienia. Na niewielkim wzgórzu nad domem Jusufa, czyli konstrukcją z blachy falistej i drewna, kilka miesięcy temu osadnicy ustawili zielony kontener. Są uzbrojeni. W ciągu dnia nie pozwalają Jusufowi wypasać owiec wokół obejścia, nocą podchodzą do jego zagrody i głośno puszczają muzykę. – *To nie jest normalne życie* – mówi Jusuf Abu Chamis, lider społeczności w Chan al-Ahmar.

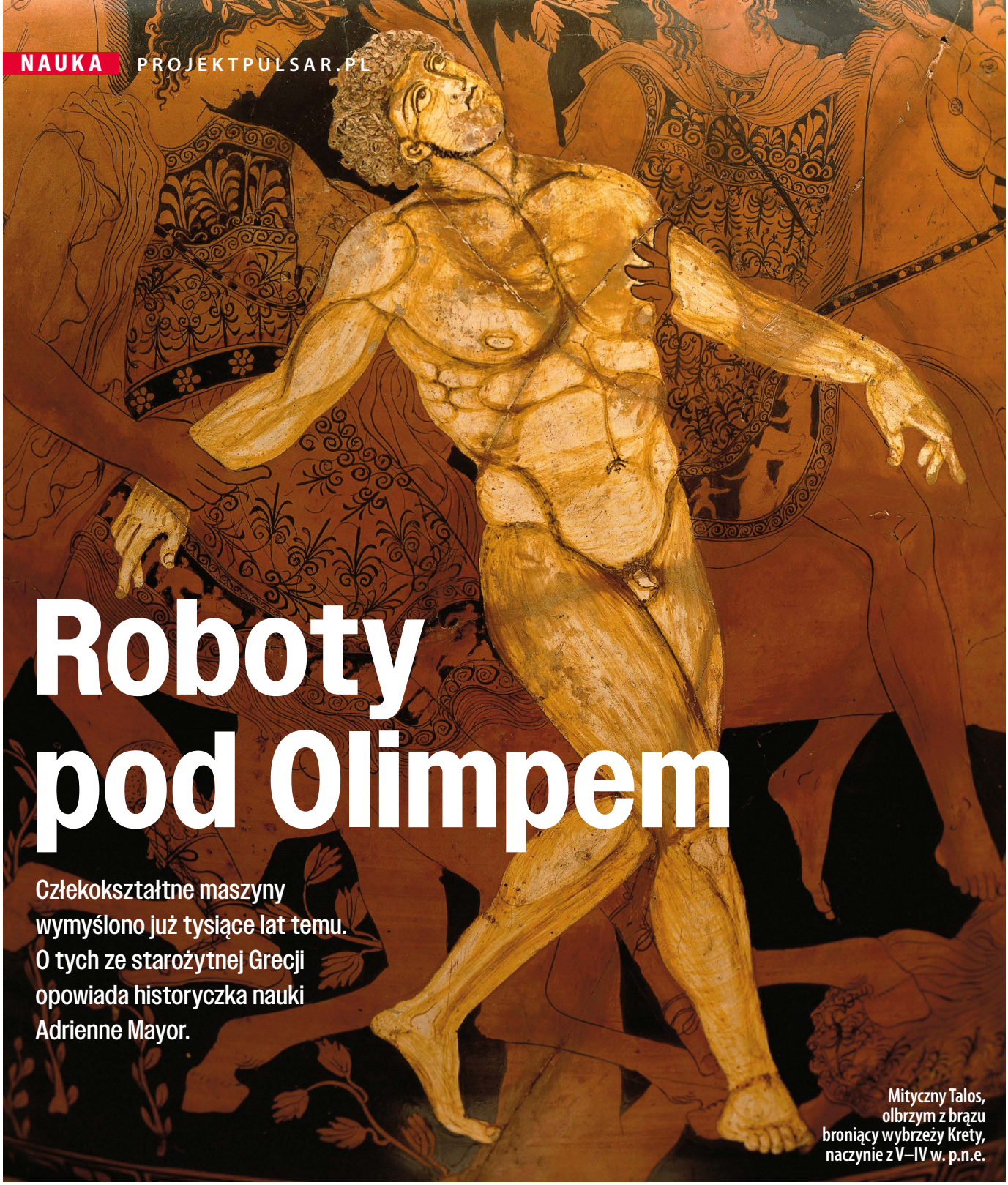
Wzywana policja zazwyczaj pomaga osadnikom. Abu Chamis opowiada, że niedawno dwie nastolatki stanęły w obronie wracającej ze szkoły dziewięcioletniej koleżanki, zaczepianej przez osadników. – *Policja zgarnęła dziewczyny, twierdząc, że utrudniają jej pracę. Żeby zostały zwolnione, za każdą musiałem zapłacić 5 tys. szekli kary* – mówi Abu Chamis.

Beduini z plemienia Dżahalin przybyli do Chan al-Ahmar na początku lat 50., gdy po wojnie w 1948 r. izraelska armia wypędziła ich z pustyni Negew. Po 1967 r. znów znaleźli się pod izraelską władzą wojskową, a ich ziemie zamieniane są na tereny państwowe, a potem oddawane pod budowę osiedli. – *Jeśli nas wysiedlą, można się będzie pożegnać z rozwiązaniem dwupaństwowym* – kończy Abu Chamis.

AGNIESZKA ZAGNER

© SHIR TOREM/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 70e748f8f6



Roboty pod Olimpem

Człekokształtne maszyny wymyślono już tysiące lat temu. O tych ze starożytnej Grecji opowiada historyczka nauki Adrienne Mayor.

Mityczny Talos, olbrzym z brązu broniący wybrzeży Krety, naczynie z V–IV w. p.n.e.

© DEAGOSTINI/GETTY IMAGES

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Pojawienie się każdej nowej technologii wynika z chęci przezwyciężenia naszych ograniczeń. W dziejach za pierwsze uchodzi wynalezienie ognia, co w mitologii greckiej znalazło odzwierciedlenie w micie o Prometeuszu.**

PROF. ADRIENNE MAYOR: – Tak, ten zbuntowany Tytan, zatroskany o przetrwanie słabego i bezbronnego rodzaju ludzkiego, wykradł bogom ogień i podarował go śmiertelnikom. Dzięki niemu ludzie mogli wytwarzać narzędzia, rozwinąć język, współpracować i wymyślać sposoby rekompensowania własnych fizycznych słabości. Według mnie *techné* (sztuka wytwarzania, rzemiosło) obok intelektu, wyobraźni i odwagi należy do wyjątkowych cech, dzięki którym człowiek przetrwał, a dzięki umiejętności tworzenia narzędzi i zaradności ludzkość po prostu rozkwitła.

Prometeusz za przekazanie ludziom ognia został ukarany. Czy Grecy nie ostrzegają, że za kolejne technologie trzeba zapłacić jakąś cenę? ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ Stale, już w V w. p.n.e. Sofokles pisał, że niezwykła pomysłowość i śmiałość człowieka mogą prowadzić zarówno do wspaniałych wynalazków, jak i do katastrof oraz zła. Wiele osób uważa, że współczesne technologie: sztuczna inteligencja czy inżynieria genetyczna, są czymś bezprecedensowym. Jednak sama idea wzmacniania ludzkich możliwości jest ponadczasowa, podobnie jak towarzyszące temu obawy.

Na przykład związane z tworzeniem sztucznych ludzi. W książce „Bogowie i roboty" pisze pani, że opowiadamy sobie o nich od ponad 2 tys. lat. Dlaczego motyw ten jest tak trwały?

Jesteśmy istotami zaprogramowanymi do tworzenia i zapamiętywania opowieści, a najtrwalsze są te, które wywołują silne emocje. Grecy z czasów Homera fantazjowali o możliwości stworzenia sztucznego życia i samoporuszających się urządzeń, lecz również w Indiach i Chinach wyobrażano sobie istnienie człekokształtnych automatów na długo przed wynalezieniem technologii, które mogłyby je urzeczywistnić. Niektóre z mitów rozważają obietnice i zagrożenia związane z próbami pokonania śmierci, inne opowiadają o wzmacnianiu ludzkich możliwości oraz naśladowaniu natury. Z jednej strony to pasjonujące opowieści przygodowe, z drugiej rozważania nad starożytną *biotechné* – greckim pojęciem łączącym *bios* (życie) i *techné* (rzemiosło, sztukę wytwarzania), co jest nam zadziwiająco bliskie. Lęki związane z ideą tworzenia sztucznego życia, zacieraniem granicy między naturą a maszynami nie są współczesną reakcją na niepowstrzymany marsz nauki i technologii.

Co starożytnych najbardziej przerażało?

Chyba tak jak my obawiali się związku technologii z tyranią i przemocą. W wielu mitach automaty i inne cuda techniki były wykorzystywane przeciwko zwykłym ludziom. Jednak w przeciwieństwie do nas nie bali się ludzi „bawiących się w Boga", tylko samych bogów, którzy mając takie zabawki, mogli gnębić ludzi. Najlepszym przykładem jest sztuczna kobieta Pandora, będąca „złem ukrytym pod postacią piękna". Mściwy Zeus kazał ją stworzyć Hefajstosowi, by okrutnie zemścić się na ludziach za przyjęcie daru ognia.

Chyba Gromowładny lubił terror za pomocą różnych cudów techniki, bo kazał swojemu synowi skonstruować dla króla Minosa wielkiego robota z brązu – Talosa. Spiżowy olbrzym broni granic Krety, zatapiając wszystkie zbliżające się do niej statki i piekąc żywcem znajdujących się na nich ludzi.

Nie tylko on. Okrutny król Ajetes, chcąc pozbyć się Jazona i innych Argonautów, też wykorzystuje dzieło Hefajstosa, czyli parę ziejących ogniem spiżowych byków. Starożytni doskonale wiedzieli, że tyrani przekształcają technologię w broń. Wielu potężnych władców zatrudniało przecież inżynierów do budowy śmiercionośnych machin wojennych, a królowie Sycylii i Sparty wykorzystywali automaty do torturowania wrogów.

Marzenia o nieśmiertelności najlepiej widać w Chinach, gdzie jej poszukiwanie było zadaniem nadwornych alchemików. Grecy też o niej marzyli, ale chyba bardziej stanowczo przestrzegali, że pragnienie to może być zgubne?

Zdecydowanie. Chociażby w micie o Medei, która chełpiła się, że potrafi odmładzać stare barany, zamieniając je w jagnięta w kotle z mieszanką ziół. Jazon poprosił ją, by odmłodziła jego starego ojca. Czarodziejka oszukała jego siostry, każąc im powtórzyć sztuczkę z baranami, i kobiety ugotowały własnego ojca. Jest też tragiczna opowieść o pięknym Tithonosie, kochanku jutrzenki Eos. Nie mogąc pogodzić się ze śmiercią ukochanego, bogini poprosiła Zeusa, by dał mu życie wieczne. Niestety, zapomniała poprosić, by pozostał młody. Nieszczęśnik starzał się i niedołężniał, aż pozostał po nim jedynie cień. Namysł Greków nad konsekwencjami nieśmiertelności skończył się tym, że za jedyną bezpieczną formę życia wiecznego uznali pamięć ludzką, w której można się zapisać dzięki wojennej sławie.

Arystoteles wyobrażał sobie narzędzia zdolne do działania bez udziału człowieka. Czy współczesna technologia jest spełnieniem tego starożytnego marzenia?

Homer w „Iliadzie" (ok. 700 r. p.n.e.) opisywał niezwykłe automaty stworzone przez Hefajstosa: samobieżne wozy, automatycznie otwierające się bramy i miechy oraz Złote Kobiety, czyli mechaniczne pomocnice pracujące w jego kuźni, obdarzone ruchem, siłą i rozumem. Ok. 322 r. p.n.e. Arystoteles we fragmencie „Polityki" przeprowadził eksperyment myślowy, zastanawiając się, co by się stało, gdyby takie urządzenia rzeczywiście istniały. I doszedł do wniosku, że „gdyby krosna same tkały, a liry same grały, nie potrzebowalibyśmy sług ani niewolników". To starożytne marzenie, że maszyny uwolnią ludzi od ciężkiej pracy, stało się później bardzo rozpowszechnioną ideą.

Tolos, Pandora i Złote Kobiety mają postać ludzką. Czy antropomorfizacja sztucznych istot sprawia, że jawią się jako jeszcze groźniejsze, bo łatwo pomylić je z ludźmi?

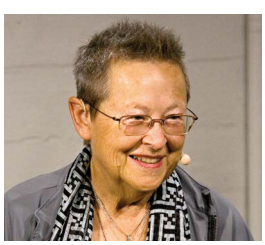
Podobieństwo sztucznych istot do ludzi nasuwało przypuszczenie, że automaty mogą rozwinąć ludzkie cechy. A wraz z nim obawę, że zaczną samodzielnie podejmować destrukcyjne decyzje albo staną się podatne na manipulacje „hakerów". Można się ich pozbyć sprytem, jak w przypadku Talosa pokonanego przez Medeę. Czarodziejka przekonuje go, by pozwolił Jazonowi wyjąć bolec uszczelniający jego wewnętrzny mechanizm. Gdy z maszyny wypływa życiodajny płyn, spiżowy kolos ginie. Epimeteusz zaś uwierzył, że Pandora jest prawdziwą kobietą i przyjął ją jako swoją żonę, a przecież była automatem zaprogramowanym, by sprowadzić na ludzkość cierpienie i nieszczęścia.

To bardzo współczesna myśl.

Bardzo. Myślę, że mity niosą ostrzeżenie, by nie traktować sztucznych istot czy sztucznej inteligencji jako „towarzyszy" czy „quasiludzi". Zgadzam się z etykami zajmującymi się AI, którzy podkreślają, że powinna ona pozostawać narzędziem, a nie czymś na kształt humanoidalnej istoty posiadającej prawa i sprawczość. Bo kto będzie pociągany do odpowiedzialności, gdy maszyna zacznie popełniać poważne błędy albo podejmować fatalne w skutkach decyzje?

Czy tak sformułowane pytanie starożytni też sobie zadawali?

Poniekąd tak, ale uderzające jest to, jak starożytne mity i historyczne przykłady zapowiadają współczesne osiągnięcia oraz nadzieje i lęki towarzyszące odwiecznemu pragnieniu naśladowania, udoskonalania, a nawet przewyższenia natury.



Adrienne Mayor – historyczka nauki związana z Uniwersytetem Stanforda, badaczka świata antycznego, zwłaszcza związków mitologii z nauką i techniką. Autorka wydanej niedawno po polsku książki „Bogowie i roboty. Starożytne marzenia o technice".

eprasa.pl 70e748f8f6



Zemsta Zeusa na ludziach: sztuczna kobieta Pandora, czyli zło ukryte pod postacią piękna (XIX-wieczny obraz Louisa Hersenta)

Po latach badań nad starożytnymi marzeniami o sztucznym życiu jest pani dziś bardziej optymistką czy pesymistką, jeśli chodzi o przyszłe relacje ludzi z inteligentnymi maszynami?

Kiedy pisałam książkę, byłam pesymistką. W ciągu dekady, która od tamtego czasu minęła, oszałamiające tempo rozwoju technologii i dokonujący się bez oglądania na konsekwencje postęp sprawiły, że mój pesymizm jeszcze się pogłębił. Dziś wiemy, że współczesna robotyka przemysłowa i AI zaczynają zagrażać ludzkim źródłom utrzymania, przejmując nie tylko pracę fizyczną, lecz także twórczość artystyczną, krytyczne myślenie, empatię i inne zdolności, dotąd uważane za istotę człowieczeństwa.

Czy dziś pani napisałaby ją inaczej?

Na pewno mocniej podkreśliłabym współczesny związek technologii z tyranią, zarówno państwową, jak i korporacyjną. Powinniśmy nieustannie zadawać sobie pytania: kto zabiega o rozwój AI, kto będzie gromadzić i kontrolować dane, kto naprawdę odniesie korzyści i jakie będą negatywne konsekwencje? Podkreśliłabym również, że – podobnie jak Pandora – nowe produkty oparte na AI i robotyce są niemal zawsze przedstawiane jako dobrodziejstwo i dar dla ludzkości, ale często okazują się szkodliwe. Uwzględniłabym także koncepcję „luki prometejskiej" (*Promethean Gap*) sformułowaną przez Günthera Andersa, wedle której rozwój technologii zaczyna wyprzedzać naszą wyobraźnię oraz naszą odpowiedzialność moralną. Nie umiemy już w pełni przewidzieć konsekwencji własnych wynalazków.

Czyli za najbardziej aktualną z antycznych postaci uważa pani Pandorę?

Absolutnie! Jest czymś w rodzaju złowrogiego fembota. Ponoć Zeus śmiał się z innymi bogami, ofiarowując Pandorę słynącemu z impulsywności Epimeteuszowi. Prometeusz ostrzegał go, by odrzucił ten niebezpieczny „dar", on jednak, oczarowany zwodniczym pięknem sztucznej kobiety, zlekceważył przestrogę. Nie przypadkiem greckie imię Epimeteusz oznacza „mądrego po szkodzie", a Prometeusz to ktoś przejawiający „zdolność przewidywania". Ponieważ wygląda na to, że współczesną puszką Pandory jest wymykająca się naszej kontroli sztuczna inteligencja, potrzebujemy więcej Prometeuszy zdolnych przewidywać katastrofy powodowane bezrefleksyjnym rozwojem AI – i zapobiegać im.

Ale na dnie puszki Pandory pozostała nadzieja, zwykle przedstawiana jako pocieszenie.

Tak, tyle że w oryginalnym greckim micie była to „ślepa nadzieja", która powstrzymywała ludzi przed realistycznym myśleniem o przyszłości. Pozbawiona zdolności przewidywania ludzkość przypomina Epimeteusza. Obawiam się, że przezorność nie jest naszą najmocniejszą stroną. A przecież właśnie ona jest niezbędna, gdy ludzka pomysłowość, ciekawość i odwaga nieustannie przekraczają granice życia i śmierci, coraz silniej łącząc człowieka z maszyną. Tak, skala dzisiejszych możliwości technologicznych nie ma precedensu, ale napięcie między technologicznymi koszmarami a wielkimi futurystycznymi marzeniami jest ponadczasowe. Starożytni Grecy rozumieli, że ludzkość zawsze będzie próbowała wyjść „poza człowieka", zaniedbując myślenie o konsekwencjach. Nasze emocje i kreatywność są mieczem obosiecznym.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© ALAMY/BE&W, SUFIJI/WIKIMEDIA.ORG

eprasa.pl 70e748f8f6



Hodowcy lodowców

Himalaje, Karakorum, Andy, Alpy, Kaukaz, Ałtaj – wszędzie tam lodowce się kurczą. Dla ponad 2 mld ludzi, których życie zależy od spływającej z nich wody, to katastrofa. Od czego jednak są wizjonerzy.



Sonam Wangchuk sprowadził lód do ludzi. Powyżej: **lodowa stupa w indyjskim Ladakhu.**

JOLANTA IWAŃCZUK

Lodowce nie są tylko malowniczym elementem krajobrazu. Zamarznięta woda to wciąż woda, a górskie olbrzymy są jej naturalnymi magazynami. W chłodnych porach roku gromadzą śnieg, który z czasem zbija się w firn, a później w lód. Wiosną i latem, gdy temperatury rosną, on powoli się roztapia i uwalnia wodę właśnie wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebna – w sezonie wegetacyjnym, kiedy pola potrzebują nawadniania, a rzeki nizinne, zasilane samymi deszczami, często wysychają. Dlatego rolnicy w Ladakhu, Kaszmirze, Peru czy Tadżykistanie od pokoleń planują swój rok według rytmu topniejących lodowców.

Ten mechanizm zaczyna zawodzić. Górski lód rozpuszcza się zbyt szybko i zbyt wcześnie. Woda schodzi już wczesną wiosną i często zalewa doliny, a w kluczowych miesiącach – czerwcu, lipcu i sierpniu – kiedy jęczmień, gryka i pszenica wchodzą w fazę wzrostu, w potokach robi się niepokojąco pusto. W dalszej perspektywie, gdy lodowce znikną zupełnie, znikną też te letnie wypływy. Zostaną tylko sezonowe deszcze i śnieg. A to za mało, żeby wyżywić okołogórskie społeczności.

Lód, który ma dwie płcie

W dolinach Hunzy i Chitralu, na pograniczu dzisiejszego Pakistanu, Afganistanu i Chin, na wysokościach, gdzie lato trwa zaledwie kilka tygodni, górale od wieków praktykują coś, co można nazwać szczepieniem lodowców. Metoda kojarzy się nieco z alchemią. Trzeba zdobyć dwa rodzaje lodu – „męski" (twardy, przezroczysty, gęsty) i „żeński" (porowaty, z bąbelkami powietrza, bliższy ubitemu śniegowi). Górale wierzą, że dopiero połączenie obu daje zaczyn żywotny, zdolny do wzrostu.

Kawałki obu typów przenosi się w cienisty wąwóz na dużej wysokości – najlepiej na północnym stoku (tam słońce dociera rzadko) i powyżej granicy trwałego mrozu (gdzie średnia temperatura przez większą część roku pozostaje ujemna). Układa się je naprzemiennie, okrywa grubą warstwą trocin, plew albo węgla drzewnego, a następnie zmienia bieg strumienia, by woda z niego zasilała „sadzonkę".

Przez pierwsze lata sztuczny lodowiec przede wszystkim rośnie. Izolacja z materiałów organicznych działa jak koc – spowalnia przewodzenie ciepła, dzięki czemu przez krótkie lato lód traci tylko niewielką część swojej masy. Zimą, gdy jest bardzo mroźno, doprowadzana woda zamarza na istniejącym zaczynie warstwa po warstwie. Każdy sezon zostawia po sobie

eprasa.pl 70e748f8f6

kilkanaście, czasem kilkadziesiąt centymetrów nowego lodu. Bilans jest dodatni – więcej przybywa, niż ubywa.

Dopiero gdy lodowiec osiągnie odpowiednią masę i grubość – zwykle po 5, 10, a nawet 15 latach – zaczyna działać tak jak jego naturalni krewniacy. Wtedy górale zdejmują izolację i pozwalają, by wiosenne i letnie słońce topiło jego powierzchnię. Woda spływa kanałami irygacyjnymi na tarasowe pola jęczmienia, pszenicy i moreli, dokładnie w tych miesiącach, gdy rośliny są najbardziej spragnione. Zimą lodowiec się odbudowuje – nowa warstwa zastępuje tę, która stopniała latem. Przy dobrym gospodarowaniu może działać przez kilka pokoleń.

Nikt nie wie dokładnie, jak stara jest ta praktyka – przekazy ustne sięgają wiele pokoleń wstecz, a zachodni badacze zaczęli ją dokumentować dopiero w drugiej połowie XX w. Być może mamy do czynienia z najstarszą formą świadomej geoinżynierii lodowej na świecie.

Inżynier, który wyprzedził czas

Przez stulecia wiedza o hodowli lodowców pozostawała zamknięta w niedostępnych dolinach Karakorum. Dopiero pod koniec XX w., kilkaset kilometrów dalej na wschód, w indyjskim Ladakhu, pewien emerytowany inżynier wpadł na podobny pomysł. Tyle że zrealizował go inaczej. Urodzony w 1935 r. Chewang Norphel całe życie pracował przy projektach wodnych. Na emeryturze obserwował, jak lodowce, od których zależało rolnictwo w regionie, kurczą się z roku na rok. Tradycyjne źródła wody wysychały, a wioski traciły plony.

Norphel zaczął budować coś, co nazwał sztucznymi lodowcami. Na północnych, zacienionych zboczach gór, na wysokościach 4–4,5 tys. m, wznosił niewielkie kamienne zapory i wały, tworząc system płytkich tarasów. Jesienią kierował do nich wodę z górskich potoków za pomocą prostych kanałów. W ladakhijskie zimy – gdy temperatury sięgały minus 30 st. C – woda zamarzała na tarasach piętro po piętrze, budując płaskie rozległe pokłady lodu.

Od lat 80. XX w. do początku XXI w. Norphel zbudował ponad 15 takich konstrukcji. Każda mogła zmagazynować miliony litrów wody. Metoda miała jednak poważne ograniczenia. Lodowce leżały wysoko i daleko od wiosek, dostęp do nich był trudny, a cienkie warstwy lodu na otwartych tarasach topniały zbyt szybko – często zanim rolnicy zdążyli zasadzić pierwsze uprawy. Przez lata Norphel działał niemal w pojedynkę, z minimalnymi środkami, nierzadko ignorowany przez władze i media. Znacznie później zyskał przydomek, który oddaje mu sprawiedliwość – Lodowcowy Człowiek Indii. Prawdziwy przełom miał jednak przyjść dopiero z następnym pokoleniem.

Stożek, który jest symbolem

Sonam Wangchuk – inżynier, reformator edukacji i, jak się okaże, następca Norphela — podszedł do problemu z jeszcze innej strony. Zamiast budować lodowce wysoko w górach, postanowił sprowadzić lód do ludzi. Dosłownie pod wioskę. Istota pomysłu, który zaczął realizować w latach 2013–14, jest w zasadzie trywialna. Woda z górskiego strumienia płynie rurą w dół zbocza, a już w dolinie wytryskuje pod ciśnieniem jak fontanna. W ladakhijskim suchym i chłodnym powietrzu rozpylone krople zamarzają, zanim dotrą do ziemi lub od razu po zetknięciu z podłożem. Lód narasta wokół rusztowania, tworząc stożkowaty kopiec – lodową stupę.

Geniusz tego rozwiązania tkwi w geometrii. Stożek ma najmniejszą możliwą powierzchnię w stosunku do objętości. To znaczy, że stosunkowo niewielka część lodu jest wystawiona na wiosenne słońce. Budowle topnieją więc powoli, uwalniając wodę przez kilka krytycznych miesięcy – od kwietnia do czerwca – kiedy naturalne lodowce jeszcze nie zaczynają oddawać roztopów. Największe kopce osiągają 30, a nawet 50 m wysokości i magazynują wystarczająco dużo zapasów, by nawodnić okoliczne uprawy.

Nie bez znaczenia jest też forma. W buddyjskim Ladakhu stupa to obiekt sakralny, symbol oświecenia. Nadanie lodowej konstrukcji tego kształtu było gestem kulturowym – połączeniem pragmatyzmu z duchowością, inżynierii z tradycją. Wangchuk rozumiał, że aby technologia przyjęła się wśród miejscowych rolników, musi do nich pasować nie tylko funkcjonalnie, lecz i symbolicznie. Inżynier zyskał międzynarodowy rozgłos i wiele nagród, w tym prestiżową Rolex Award for Enterprise, a lodowe stupy dla całego świata stały się symbolem oddolnej adaptacji do zmian klimatu.

Płachta, która jest absurdem

W Alpach problem próbowano rozwiązać, ratując te lodowce, które jeszcze istnieją. W przypadku Preseny we Włoszech i lodowca Rodanu w Szwajcarii fragmenty górskiego lodu okrywa się na lato białymi płachtami z geotekstyliów. Odbijają światło słoneczne i izolują od ciepłego powietrza. Skuteczność jest zaskakująca – pod płachtą topnienie zmniejsza się nawet o 50–70 proc. Wystarczy jednak stanąć u podnóża lodowca i spojrzeć na jego kilometrowe połacie, by uświadomić sobie absurd tej idei – nie da się okryć kocem całych Alp.

Ambitniejsze przedsięwzięcie zrodziło się na Morteratsch w szwajcarskiej Engadynie. Naukowcy z Université de Fribourg/Universität Freiburg zaprojektowali system rur i dysz, które rozpylają wodę w postaci drobnej mgiełki nad powierzchnią topniejącego olbrzyma. W chłodnym powietrzu mgiełka zamarza, tworząc warstwy śniegu i firnu. Celem jest zmiana bilansu masowego, by z każdym rokiem przybywało materii więcej, niż jej ubywa przez topnienie. Szacunki mówią o 2–3 m dodatkowego śniegu rocznie. Czy to wystarczy, by odwrócić trend? Prawdopodobnie nie. Być może jednak proces topnienia spowolni.

Pomysł, który podróżuje

Od 2018 r. technologia lodowych stup zaczęła przekraczać granice Ladakhu. Pilotażowe projekty uruchomiono w szwajcarskiej Engadynie, w Kirgistanie, w Chile i Peru. W Andach, gdzie tropikalny lód znika w zastraszającym tempie, peruwiańscy i chilijscy inżynierowie adaptują pomysł Wangchuka do tamtejszych warunków.

Równolegle pojawiły się koncepcje mające większy rozmach. Na przykład odbudowy lodu morskiego w Arktyce – pompowanie wody oceanicznej na jej powierzchnię zimą, by przyspieszać zamarzanie – o czym sporo mówiono na konferencjach naukowych. Większość tego typu pomysłów pozostaje na etapie szkiców i symulacji komputerowych. Sam fakt, że poważni badacze dyskutują o „produkcji" lodu arktycznego, mówi jednak coś o skali problemu, z którym się mierzymy.

Tu pojawia się też pytanie o granicę. Gdzie kończy się rozsądna, oddolna adaptacja – lodowa stupa nawadniająca dolinę – a zaczyna się geoinżynieryjna pycha, przekonanie, że człowiek potrafi zarządzać kriosferą planety? Odpowiedź nie jest oczywista. Prawdopodobnie szykuje się jedna z najważniejszych debat środowiskowych najbliższych dekad. ■

© NAVEEN MACRO/SHUTTERSTOCK, DEBARCHAN CHATTERJEE/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 70e748f8f6

C.k. Klasztor

Podczas Wielkiej Wojny na Jasnej Górze trwały rządy „dziadochów i wszarzy". Austriaków, którzy marnie umundurowani i słabo uzbrojeni pilnowali sanktuarium.

PIOTR SZLANTA



© UIG/GETTY IMAGES

Już na początku pierwszej wojny światowej, 3 sierpnia 1914 r., Częstochowa – dotąd pod panowaniem rosyjskim – znalazła się w rękach Niemców. Ważne sanktuarium religijne słynące z cudów było dla protestanckiego cesarstwa niemieckiego kłopotem, toteż kościół pielgrzymkowy, klasztor i należące do niego grunty powierzono katolickim Austro-Węgrom. Warunki: żadnej agitacji antyniemieckiej na Jasnej Górze, żadnych zgromadzeń pod gołym niebem (z wyłączeniem mszy) i wstrzymanie pielgrzymek do czasu zawarcia pokoju.

W klasztorze ulokowano niewielki garnizon austro-węgierski, a łącznikiem pomiędzy oboma reżimami okupacyjnymi i klasztorem został 40-letni kpt. Joseph Klettlinger. Na stanowisko komendanta c.k. enklawy Jasna Góra wybrano go na pewno nie ze względu na biegłą znajomość języka polskiego, bo w aktach personalnych zadeklarował tylko niemiecki i podstawy węgierskiego. Jak na zawodowego oficera c.k. armii dużo poniżej średniej.

Siły, jakimi dysponował Klettlinger, były mniej niż skromne. Jesienią 1916 r. miał do pomocy czterech podoficerów, dwóch ordynansów i woźnicę. Okresowo garnizon wzmacniano kilkunastoma żołnierzami, głównie spośród stacjonujących w nieodległym Radomsku. W lutym 1917 r. uzbrojenie garnizonu jasnogórskiego stanowiły: trzy rewolwery, dwa karabiny, dwie szable żandarmów i szabla saperska woźnicy. Obecność austro-węgierska

eprasa.pl 70e748f8f6



Gigantyczny pomnik cara Aleksandra II ustawiony przed klasztorem w 1889 r.

na Jasnej Górze miała charakter symboliczny i trudno mówić o kontroli klasztoru przez władze okupacyjne.

Klettlinger miał początkowo złą opinię o jasnogórskich mnichach. Uważał, że charakteryzują się niskim poziomem moralnym i intelektualnym, nie wykazują zainteresowania światem zewnętrznym, sztuką ani historią. „Całe dążenie nakierowane jest na dochody" – ocenił paulinów.

Mimo swego krytycyzmu zdobył zaufanie zakonników. Reprezentował ich interesy wobec władz niemieckich, ochronił c.k. poddanych w Częstochowie, dbał o zaopatrywanie klasztoru w jedzenie i niezbędne towary, m.in. opał, naftę, świece, materiały budowlane, czego odmawiali Niemcy.

Wraz z władzami miejskimi Częstochowy oczyścił z kramów z dewocjonaliami i z chaszczy błonia jasnogórskie w okolicy Bramy Lubomirskich, uporał się z agresywnymi żebrakami. Panicznie bano się epidemii którejś z chorób zakaźnych, więc Klettlinger nakazał regularne sprzątanie mieszkań, schodów, ganków i szaletów. Te ostatnie oraz rynsztok miały być codziennie odkażane chlorem lub innymi środkami, a mieszkańcy enklawy byli przymusowo szczepieni przeciwko ospie. Na terenie kompleksu klasztornego o przestrzeganie ładu i porządku dbało na co dzień dwóch żandarmów. Te środki poprawiły bezpieczeństwo sanitarne.

Komendant skutecznie bronił klasztoru przed konfiskatą przez Niemców miedzianego dachu, spiżowych dzwonów i rzeźb z Drogi Krzyżowej czy wyposażenia wnętrz kościoła i klasztoru na cele wojenne. Starał się pozyskać materiały (np. papę lub blachę cynkową) na remonty. Argumentując to znaczeniem klasztoru dla narodu polskiego – porównywalnym z Wawelem – Klettlinger sugerował przełożonym przeprowadzenie remontu Jasnej Góry (zwłaszcza przeciekających wałów) na koszt państwa austriackiego.

Wspomagał zakonników w zdobywaniu żywności rozdawanej później w punkcie wydawania darmowych posiłków dla potrzebujących (korzystało z niego do 2 tys. osób dziennie) oraz zorganizował punkt medyczny.

Na Jasnej Górze modlono się za pomyślność władców Niemiec i Austro-Węgier, a klasztor odwiedzali dostojnicy. Cesarz Wilhelm II przybył wieczorem 6 lutego 1915 r. Przed Bramą Lubomirskich wojsko niemieckie uszykowało dla niego szpaler z pochodniami i latarniami. Cesarz wpisał się do księgi pamiątkowej. Otrzymał w prezencie kopię obrazu, a sam złożył ofiarę pieniężną na rzecz klasztoru w kwocie 10 tys. marek.

Klasztor odwiedzili też m.in.: gen. Paul von Hindenburg, następca tronu w Austrii i na Węgrzech arcyksiążę Karol i król Saksonii Fryderyk August III. W listopadzie 1916 r. odprawiono nabożeństwa żałobne za duszę zmarłego Franciszka Józefa I.

Kiedy cesarze Wilhelm II i Franciszek Józef I proklamowali powstanie Królestwa Polskiego 5 listopada 1916 r., zwołano mnichów, którym odczytano ten manifest. Na wieży kościoła wywieszono austriacką flagę państwową. W samo południe dołączyła do niej flaga polska, a trębacz po hymnie austriackim odegrał trzy razy Mazurka Dąbrowskiego. Wywołało to erupcję radości. W Częstochowie wywieszano plakaty z proklamacją cesarską, spontanicznie uformował się pochód, którego uczestnicy śpiewali pieśni narodowe.

Następnego dnia na błoniach jasnogórskich zgromadziła się ludność miasta z orkiestrą i pocztami sztandarowymi. Zebrani wzięli udział w mszy dziękczynnej. Jednak na wszelki wypadek władze okupacyjne nie zezwoliły na wygłoszenie kazania.

Największe zgromadzenie, wbrew wszystkim ustaleniom państw centralnych, było ponad 50-tysięczną pielgrzymką. 8 września 1917 r. przypadała 200. rocznica koronacji cudownego obrazu. Ponieważ władze zabroniły organizowania pielgrzymek podczas wojny, uroczystości oficjalnie przełożono na czas po jej zakończeniu. Ale o rocznicy wspomniała prasa, więc do klasztoru, nie licząc miejscowych, spontanicznie przybyło, jak liczono, nawet 60 tys. wiernych z dalszych stron. Przy tak masowym zrywie władze okupacyjne nie zdecydowały się przeciwdziałać. Mimo obaw – brakowało sanitariatów i łaźni, trudno było zachować higienę – nie doszło do wybuchu epidemii. ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

Jednym z drażliwych problemów klasztoru była kwestia pomnika cara Aleksandra II. Gigantyczny monument mierzący 8,8 m wzniesiono w 1889 r. za wymuszone od Polaków składki jako rzekome spontaniczne wotum z okazji 25. rocznicy zniesienia pańszczyzny. Polscy patrioci uważali go za haniebny, poniżający i wymierzony w katolicyzm. Chcieli pozbyć się pomnika cara stojącego w prestiżowym miejscu, tuż przy alei prowadzącej do klasztoru. Jednak Niemcy i Austriacy nie zgodzili się na jego rozebranie i zapewnili mu ochronę. Zmagali się z wojskami rosyjskimi na froncie, ale uznawali, że monarchom należy się szacunek – pomnik cara był nietykalny. Sytuację zmieniła dopiero abdykacja Mikołaja II.

Przed planowanymi na 15 października 1917 r. obchodami setnej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, które Polacy chcieli świętować na błoniach jasnogórskich, władze okupacyjne ostatecznie zgodziły się na demontaż trzyipółmetrowej figury. Zdjęto ją kilka dni przed obchodami kościuszkowskimi i zdaniem Klettlingera wyglądało to jak egzekucja.

Zażarcie dyskutowano o tym, co umieścić na pustym cokole. Paulini oraz biskup włocławski optowali za rzeźbą o tematyce religijnej, podczas gdy magistrat Częstochowy – w ocenie komendanta opanowany przez republikanów, socjalistów i Żydów – optował za wątkiem świeckim, np. alegorią wolności, figurą Tadeusza Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego albo za przeniesieniem w to miejsce z wałów pomnika ks. Augustyna Kordeckiego.

Przeor obawiał się, że jeśli stanie tu pomnik Kościuszki, chłopi mogą próbować go zniszczyć. W końcu ktoś zakończył spór nocą. Kiedy 14 października rano Klettlinger szedł do pracy, z ulgą zauważył, że na cokole ustawiono zaimprowizowany pomnik maryjny. Na niego nikt ręki nie podniesie.

Wtedy wpadł na pomysł, aby nową statuę maryjną ufundował następca Franciszka Józefa I, cesarz Karol I. W korespondencji ze swoimi przełożonymi snuł wizję, że będący cesarskim darem pomnik zostanie oficjalnie poświęcony na wielkiej uroczystości narodowo-religijnej z udziałem setek tysięcy pielgrzymów i całego polskiego episkopatu wkrótce po zakończeniu wojny. „Pomnik powinien ukazywać przyszłym pokoleniom zainteresowanie Waszej Wysokości narodem polskim" – argumentował.

Klettlinger zaproponował magistratowi i radzie miejskiej Częstochowy ufundowanie przez cesarza maryjnej statuy. Radni uchwałą z 8 listopada podziękowali: „Ten wspaniałomyślny dar pozostanie na zawsze własnością Polskiego Narodu i będzie wymownym dowodem łaskawej życzliwości JEGO KRÓLEWSKIEGO MAJESTATU względem Polski całej". Za gotowość podarowania pomnika wdzięczność wyrazili paulini. Plany te obróciło wniwecz oburzenie na okupantów wywołane pokojem brzeskim.

W Częstochowie zawrzało po zawarciu niekorzystnego dla Polaków pokoju z Ukraińską Republiką Ludową w marcu 1918 r. W geście sprzeciwu w wielu miejscowościach Galicji oraz niemieckiej i austro-węgierskiej stref okupacyjnych doszło do burzliwych demonstracji i strajków. Oddanie Chełmszczyzny nowo powstałej Ukraińskiej Republice Ludowej jednogłośnie potępiła prasa polska wszystkich odcieni. Na stronę ententy przeszła dowodzona przez gen. Józefa Hallera II Brygada Legionów Polskich, a w Warszawie podał się do dymisji rząd (z nadania Rady Regencyjnej) Jana Kucharzewskiego.

Na ulicach Częstochowy kirasjerzy rozpraszali demonstrantów. Nakazano zamknięcie sklepów, teatrów i lokali gastronomicznych, wprowadzono godzinę policyjną. Akurat wtedy Klettlingera, przebywającego na leczeniu w Wiedniu, zastępował porucznik baron Ivo Tišljar von Lentulis. Bał się, że dojdzie do rozlewu krwi, bo mnisi zaplanowali mszę żałobną i na Jasną Górę ciągnęły z miasta tysiące wiernych. Mimo wyraźnego zakazu wydanego przez Austriaków po mszy wierni uformowali pochód, który obszedł jasnogórskie wały. Zebrani odśpiewali hymn narodowy i wznosili wrogie okupantom okrzyki. Z błoni przyglądała się temu niemiecka kompania piechoty z bagnetami nasadzonymi na karabiny oraz oddział huzarów. Niemiecki gubernator Częstochowy gen. Hans von Carlowitz był zdania, że bez 50 trupów na ulicach nie przywróci się spokoju, ale do masakry nie doszło.

Jednym z obowiązków Klettlingera było dbanie o dobry wizerunek monarchii habsburskiej. Zadanie niełatwe, zwłaszcza że reżim okupacyjny nakładał na ludność różnego rodzaju ograniczenia oraz dokonywał rekwizycji.

W porównaniu z Niemcami, do których Polacy czuli respekt i strach, Austriaków postrzegano jako mało zdecydowanych i niekonsekwentnych. Wpływał na to sam wygląd c.k. żołnierzy. Jak w liście z maja 1918 r. pisał komendant Jasnej Góry, niemieccy żołnierze w Częstochowie, choć często wdziewali znoszone i połatane mundury, zawsze byli schludni, czego nie można było powiedzieć o ich austro-węgierskich towarzyszach broni. Ci często nosili brudne, obszarpane, niekompletne mundury. Na Jasną Górę jeden z nich przyszedł z dworca kolejowego boso, gdyż – jak tłumaczył – gdy spał w pociągu, ukradziono mu buty. Widok takich wojaków, nazywanych pogardliwie dziadochami i wszarzami, nie przyczyniał się do wzrostu szacunku Polaków do państwa, któremu służyli.

Austro-węgierska kontrola Jasnej Góry zakończyła się 4 listopada 1918 r. o godz. 21.15. Wówczas sporządzono protokół przekazania Jasnej Góry polskim władzom wojskowym w osobie ppor. Adama Wiśniewskiego z 4. kompanii szkoły podoficerskiej. Klettlinger przekazał mu kasę w kwocie 16 marek 15 fenigów.

Przeor klasztoru Piotr Markiewicz nie zgłosił wobec Austriaka żadnych pretensji. Obaj panowie rozstali się w zgodzie, a wyraźnie wzruszony Klettlinger obiecał, że przybędzie do klasztoru w spokojniejszych czasach jako pielgrzym. Przeor przekazał mu pismo dziękczynne, w którym czytamy: „P. Major Klettlinger zaskarbił sobie serca nas zakonników Jasnogórskich, mieszkańców Jasnej Góry, miasta i okolic. Bo był to i jest człowiek, który na to najzupełniej zasługiwał i zasługuje, człowiek prawy, charakteru czystego najzupełniej, człowiek najuczciwszy i szlachetny nadzwyczaj, (...) niejednego ratował, niejedną łzę otarł, który wreszcie miejsce święte, naszą ukochaną Jasną Górę, szczególnem otaczał sercem i opieką i która Mu bardzo dużo ma do zawdzięczenia".

Paulini ufundowali pamiątkową tablicę w dawnym biurze Klettlingera. Wyrazy wdzięczności za opiekę nad klasztorem złożyły mu na piśmie także władze miasta.

Przez co najmniej 18 lat po powrocie do Austrii były komendant pozostawał w kontakcie listownym z paulinami. Jasną Górę odwiedził z pielgrzymką w 1930 r., gdzie został uroczyście przyjęty. Zmarł w Wiedniu w kwietniu 1944 r.

PIOTR SZLANTA

eprasa.pl 70e748f8f6



Szach Iranu Reza Pahlawi z wizytą w Polsce, Poznań 1977 r.

© WOODY OCHNIO/PAP

Irańczycy jak Polacy

Dlaczego Iran to najbardziej niezrozumiany kraj na Bliskim Wschodzie oraz co łączy historię Iranu i Polski – opowiada irański historyk, dawny więzień polityczny prof. Abbas Milani.

TOMASZ TARGAŃSKI: **– W czasach szacha Rezy Pahlawiego był pan opozycjonistą i siedział w więzieniu. Po rewolucji 1979 r. władze Republiki Islamskiej usunęły pana z uczelni i zmusiły do emigracji. Doświadczył pan więc trudnej historii Iranu na własnej skórze. Jako historyk i Irańczyk co uważa pan za najczęstszy błąd w zachodnim myśleniu o tym kraju?**

ABBAS MILANI: – Największym nieporozumieniem jest patrzenie na Irańczyków przez pryzmat Republiki Islamskiej i utożsamianie ich z teokratycznym reżimem. Tymczasem według wszelkich dostępnych badań Iran jest dziś najbardziej zsekularyzowanym społeczeństwem na Bliskim Wschodzie. Fakt, że coraz bardziej świeckie społeczeństwo zamieszkuje kraj, który jest teokracją, to tylko jeden z wielu paradoksów tamtejszej historii. W przeszłości Irańczycy wielokrotnie musieli ukrywać, co naprawdę myślą, i wieść podwójne życie. Jedno było publiczne i na pokaz. Drugie, prawdziwe, toczyło się w zaciszu domu. Podobnie było w czasach dyktatury szacha i podczas rządów jego ojca. Rozdźwięk między tym, co naprawdę czują, a tym, co wolno im powiedzieć, jest moim zdaniem czymś, co łączy Irańczyków z Polakami w okresie komunizmu. O tym właśnie pisał Miłosz w „Zniewolonym umyśle".

Pisał o Ketmanie.

Ketman to termin zaczerpnięty z dzieł francuskiego filozofa Arthura de Gobineau, który pisał, że irańscy szyici, aby przetrwać w świecie otaczającej ich sunnickiej ortodoksji, nauczyli się żyć, wykorzystując mechanizm psychologicznego kamuflażu. Publicznie mówili to, co chciała usłyszeć władza, a nie to, co naprawdę myśleli. Chronili swoją wewnętrzną niezależność, ale ceną za to było życie w schizofrenicznym rozdwojeniu. Jeśli przyjrzeć się uważnie, stalinizm i rządy ajatollaha Chomeiniego były do siebie zadziwiająco podobne. Oba reżimy bezgranicznie wierzyły w nieomylność najwyższego przywódcy. Oba były wrogo nastawione do indywidualizmu. W stalinizmie cytat z dzieł Stalina był ważniejszy niż racjonalny argument. W Republice Islamskiej cytat z Koranu lub pism Chomeiniego ucinał każdą dyskusję. Przemoc, jaką oba reżimy stosowały, zawsze była usprawiedliwiona jako słuszne działanie przeciwko spiskowcom i kontrrewolucjonistom.

Badacze dziejów Iranu mówią, że nie da się zrozumieć tego kraju w XX w. bez rewolucji konstytucyjnej z lat 1905–11.

To prawda. Iran stał się wówczas pierwszą monarchią konstytucyjną w regionie. Szach musiał zgodzić się na wybory – powstał pierwszy irański parlament Madżlis. Rewolucja była przewrotem myślowym. Ukształtowała kilka pokoleń Irańczyków w duchu myślenia o rządach prawa, podziale władz i praw kobiet. Wszyscy kolejni irańscy rewolucjoniści oraz działacze demokratyczni odwoływali się do jej dziedzictwa. Echa tamtych wydarzeń pobrzmiewały w hasłach rewolucji z lat 1978–79, a dziś słychać je podczas wystąpień przeciwko reżimowi ajatollahów. W czasach oporu przeciwko dyktaturze szacha chcieliśmy rozdziału religii od państwa, niezależnego parlamentu i gwarancji praw obywatelskich.

Lata 1905–11 pokazują jeszcze jeden wyróżnik Iranu na tle całego Bliskiego Wschodu. Irańczycy zawsze byli społeczeństwem prozachodnim. Ojcowie rewolucji konstytucyjnej chcieli modernizacji na wzór europejski. Byli zapatrzeni w rozwiązania brytyjskie. Chcieli nowoczesnej monarchii konstytucyjnej. ▶

eprasa.pl 70e748f8f6



Ruhollah Chomeini, główny przywódca irańskiej opozycji, wysiada z samolotu w Teheranie w 1979 r.

▶ Jeśli byli tak prozachodni, to skąd popularność antyzachodnich, zwłaszcza antybrytyjskich haseł?

Ta część irańskiej historii ma w sobie coś z tragifarsy. Podczas gdy konstytucjonaliści chcieli naśladować Wielką Brytanię, Londyn zaangażował się w ostrą rywalizację z Rosją o wpływy w tej części świata. W 1907 r. oba imperia podpisały porozumienie dzielące Iran na strefy wpływów. Północ kraju miała być pod kontrolą Rosji, a południe – Brytanii. Kilka lat później mocarstwa poszły krok dalej i wprowadziły do swoich stref wojska. Stan obcej okupacji trwał praktycznie do końca drugiej wojny światowej. Brytyjczykom nie zależało na irańskiej demokracji. Chcieli stabilności. W 1921 r. brytyjscy oficerowie pomogli pułkownikowi Rezie Chanowi dokonać zamachu stanu. Rządy Rezy Szaha Pahlawiego były coraz bardziej absolutne, a kwestia politycznych reform utkwiła w miejscu na dekady.

Gniew na brytyjskie wpływy w kraju znalazł swoje ujście w 1951 r., kiedy premier Mohammed Mosaddegh znacjonalizował Anglo-Persian Oil Company, brytyjską firmę mającą monopol na wydobycie i sprzedaż irańskiej ropy. Kim był Mosaddegh?

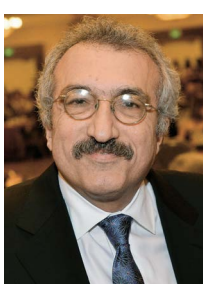
Politycznie był dzieckiem rewolucji konstytucyjnej. Chciał demokracji i wyzwolenia Iranu spod obcych wpływów. Trudno przecenić znaczenie tej emocji w irańskiej polityce. Kraj od kilku dekad znajdował się pod okupacją, a nawet gdy się ona skończyła, o wszystkim decydowali ambasadorzy Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego, którzy zupełnie skorumpowali irański system polityczny. Mosaddegh był powiewem świeżego powietrza, bo chciał z tym skończyć. Celowo wziął na swoje sztandary nacjonalizację ropy i uczynił z niej symbol odzyskania przez kraj godności i podmiotowości. Jak wiadomo, historia zakończyła się inspirowanym przez Londyn i Waszyngton zamachem stanu i obaleniem Mosaddegha w 1953 r. Ale pamiętajmy, że nie musiało tak być. Porozumienie w sprawie podziału zysków z ropy leżało na stole. Mosaddegh proponował Brytyjczykom bardziej sprawiedliwy układ. Londyn odmówił. Nie docenił determinacji Irańczyków. Z drugiej strony Mosaddegh również pomylił się w swoich kalkulacjach. Przecenił własne siły i poparcie, jakim się cieszył. To klasyczna pułapka maksymalizmu w polityce. Nie zapominajmy też, że długofalowym skutkiem zamachu z 1953 r. była polityczna paranoja, która zainfekowała irańską politykę.

Co pan ma na myśli?

Myślenie spiskowe. Ciągłe doszukiwanie się ukrytych wpływów obcych sił. Podejrzenia o konszachty z zagranicą. Od tej chwili każda strona politycznego sporu opowiada swoją wersję tej historii. Szyiccy duchowni uważają, że szach we współpracy z Amerykanami chciał zniszczyć islam, wspierając emancypację kobiet. Komuniści mówili, że imperialiści sprzymierzyli się z irańską klasą średnią przeciwko ludowi. Z kolei rojaliści i sam szach konsekwentnie podejrzewali zagraniczne mocarstwa – zwłaszcza Wielką Brytanię – że wspólnie z Amerykanami chcą pozbawić go władzy. Kiedy rządy objął Chomeini, wciąż pisał i mówił o „kolonialnych spiskowcach", którzy przy pomocy „piątej kolumny" sączą do uszu Irańczyków truciznę świeckich ideologii – socjalizmu i liberalizmu – aby zniszczyć pierwsze prawdziwie islamskie państwo. Chomeini nawet konstytucję z 1906 r. uważał za brytyjski spisek. Fabuła tych opowieści się różni, zmieniają się postaci, ale sens jest ten sam. Irańczycy od pokoleń żyją w świecie, gdzie wciąż zagrażają im jakieś mroczne siły. Obecny reżim wykorzystywał to, aby atakować mniejszości religijne, narodowe czy domagające się swoich praw kobiety.

Przejdźmy do rewolucji 1979 r. W jednej ze swoich książek zastanawia się pan nad zagadkowością i przewrotnym charakterem tego procesu. Na czym on polegał?

Moim punktem wyjścia było pytanie: jak to możliwe, że w kraju, który błyskawicznie się modernizuje, staje się coraz bogatszy, a społeczeństwo jest coraz lepiej wykształcone, dochodzi do rewolucji? Na pierwszy rzut oka jest to kompletnie sprzeczne z naszym intuicyjnym rozumieniem historii. Ten mechanizm jest jednak dobrze znanym fenomenem w naukach społecznych. Rewolucje nie wybuchają, kiedy ludzie są na skraju wytrzymałości i cierpią głód. Wtedy najczęściej dochodzi do buntów. Rewolucje wybuchają, gdy życie ludzi się poprawia, a oczekiwania rosną szybciej, niż rząd jest w stanie je zaspokoić. Do tego dochodzi jeszcze jeden element: liberalizacja systemu. W drugiej połowie lat 70. pod wpływem nalegań prezydenta USA Jimmy'ego Cartera



Abbas Milani
– historyk, politolog i dawny więzień polityczny. Założyciel i dyrektor instytutu badawczego Iranian Studies przy Uniwersytecie Stanforda. Autor wielu książek. Tłumacz „Głównych nurtów marksizmu" Leszka Kołakowskiego na język perski.

eprasa.pl 70e748f8f6





Rozbity podczas rewolucji pomnik Rezy Pahlawiego

szach złagodził represje polityczne wobec opozycji. Siedziałem wtedy w więzieniu i pamiętam, jak bardzo nasze warunki się poprawiły. Mogliśmy wysyłać i dostawać listy, rozmawiać ze współwięźniami. To był dla nas sygnał, że szach się boi i reżim słabnie.

Czy ktokolwiek przewidywał, że dojdzie do rewolucji?

Nikt. Wydarzenia o tak wielkim znaczeniu mogą sprawiać wrażenie nieuniknionych. Sami je tak traktujemy i mówimy: to musiało się wydarzyć. Ale to nieprawda. Historia tak nie działa. Siedziałem w więzieniu z przywódcami rewolucji: Alim Rafsandżanim, Mahmudem Taleghanim i Hosejnem Montazerim. Rozmawialiśmy codziennie. Żaden z nas nie przypuszczał, że reżim upadnie. To było nie do pojęcia. Myślę, że podobnie zaskoczeni byli polscy opozycjoniści, kiedy upadł Związek Radziecki. Okazuje się, że rewolucjonistom czasem nie starcza wyobraźni, aby przewidzieć, jak będzie wyglądał świat, kiedy dopną swego.

Zdaniem wielu rewolucja 1979 r. była najbardziej brzemienną w skutki rewolucją w XX w. po przewrocie bolszewickim. Zgadza się pan z tym?

Absolutnie. Nie tylko przearanżowała strategiczną mapę całego Bliskiego Wschodu. Oznaczała również narodziny wojującego politycznego islamu. Chomeini miał świadomość, że zwrócił na siebie uwagę całego islamskiego świata. Bardzo celnie odczytał potrzeby społeczeństw muzułmańskich, które miały dość zachodniej dominacji i postawił się w roli bojownika islamu z imperializmem. Bez rewolucji 1979 r. nie byłoby ani Hezbollahu, ani Hamasu, ani Osamy bin Ladena. Dlatego uważam, że upadek Republiki Islamskiej wyznaczy koniec pewnego historycznego cyklu i będzie szansą na narysowanie nowej ideologicznej mapy Bliskiego Wschodu.

Obecna wojna pokazała, że Republika Islamska jest bardziej odporna, niż mogło się wydawać. Na czym polega jej fenomen pod względem architektury politycznej?

To jedyne w swoim rodzaju państwo podwójne. Tak jak w komunistycznej Polsce, działają w nim równoległe struktury władzy. W Polsce Ludowej był rząd, administracja rządowa w terenie i był aparat partyjny mający swoje struktury. W Iranie również jest rząd, ministrowie, wybierany prezydent, ale obok niego mamy Najwyższego Przywódcę, Zgromadzenie Ekspertów, składające się z 86 religijnych uczonych, i Radę Strażników, która kontroluje parlament i sprawdza zgodność ustaw z islamem. Przedstawiciele Najwyższego Przywódcy są na każdym uniwersytecie i w każdym ministerstwie. W Iranie są też dwie armie: jedna to armia regularna, drugą tworzy Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) i ona odpowiada wyłącznie przed władzami religijnymi. Co więcej, IRGC kontroluje ok. 40 proc. irańskiej gospodarki, w tym oczywiście najbardziej lukratywne sektory, np. handel ropą. Mamy więc de facto dwa sektory gospodarcze w jednym państwie. Do tego są Basidżowie, paramilitarna milicja będąca odpowiednikiem partyjnego aktywu, którą władza wykorzystuje do tłumienia demokratycznych manifestacji.

Na koniec najtrudniejsze pytanie: co czeka Iran? Czy wskutek wojny powstanie nowa wersja reżimu, tylko bardziej radykalna? A może coś jeszcze innego?

Republika Islamska w dawnym kształcie jest już martwa. O tym jestem przekonany. Niestety jej trup może rozkładać się bardzo powoli. Komunistyczne Chiny mogły przeżyć masakrę na placu Tiananmen, bo dały ludziom dobrobyt i wyciągnęły 300 mln swoich obywateli ze skrajnej biedy. Ajatollahowie ekonomicznie zniszczyli klasę średnią, tzw. bazaaris, która tradycyjnie była najbardziej aktywną politycznie grupą społeczną. Bez jej poparcia nie byłoby rewolucji w 1979 r. To również ona wywołała styczniowe protesty, które reżim tak krwawo stłumił. Być może reżim w bardziej radykalnej formie przetrwa krótkookresowo, strasząc świat atakami na sąsiadów albo ponownym zamknięciem cieśniny Ormuz. Ale żaden reżim nie przetrwa długo bez społecznego poparcia. Wierzę, że historia zatoczy koło i Iran wróci do punktu wyjścia, czyli idei świeckiej demokracji konstytucyjnej. Oby wcześniej niż później.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

© STEVE JENNINGS/GETTY IMAGES, BETTMANN/GETTY IMAGES, MICHEL SETBOUN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 70e748f8f6



serial

Znowu większy 5/6

1670 sezon 3., twórca: Jakub Rużyłło, 8 odc., Netflix

Ten serial rośnie z sezonu na sezon. Premierze najnowszej odsłony „1670" towarzyszy instalacja „Panorama 1670" we wrocławskiej Hali Stulecia, czyli obraz o 1670 mm dłuższy niż „Panorama Racławicka" oraz rekwizyty i elementy scenografii z planu serialowego. 28 tys. wejściówek rozeszło się na pniu. Sam trzeci sezon łączy najlepsze elementy poprzednich: z pierwszego bierze satyrę na sarmatów i wątki, powiedzmy, polityczne; z drugiego – filmową robotę, choć mniej tu zabaw konwencjami, a więcej skupienia na bohaterach, motywem przewodnim zaś jest poszukiwanie tożsamości. Akcja jest konsekwencją wydarzeń z finału poprzedniego sezonu: Jan Paweł (**Bartłomiej Topa**) dowiedział się, że jego szlachectwo jest nader wątpliwe, a reszta szlachty – że dokumenty potwierdzające ich status spłonęły w pożarze gminnego archiwum. Świat wypadł z kolein i każdy z bohaterów próbuje sobie z nową sytuacją poradzić na własny sposób. Na przykład racjonalna Aniela (Martyna Byczkowska) tworzy szkołę dla chłopów, ale efekty zdecydowanie przekraczają jej założenia. Mierzący jak zawsze wyżej Jan Paweł tym razem celuje w księżyc – chłopem wystrzelonym z katapulty. Ksiądz Jakub (Michał Sikorski) spotyka w stolicy bratnią duszę, a w obozie kozackim spotkają się dawni współlokatorzy – kowal Maciej (Kirył Pietruczuk) i sarmata Bogdan (Dobromir Dymecki). Ten ostatni – z amnezją i żądzą zemsty. Bardzo ciekawe, jak ten kozacki wątek zostanie odebrany przez widzów. A wszystko zaczyna się w 1670 r. p.n.e. Scenarzysta Jakub Rużyłło zadbał o mnóstwo żartów na rozmaitym poziomie i odwołań (pop)kulturowych, a reżyserskie duo Maciej Buchwald i Kordian Kądziela – o precyzyjne prowadzenie wątków i postaci aż do finału, w którym splata się wszystko, choć samo rozwiązanie pozostawia pewien niedosyt. Wciąż też możemy liczyć na świetne aktorstwo i kwestie w stylu: „Jestem księdzem epoki kontrreformacji, nie znam litości" czy „Czasem, gdy nie mogę spać, podróżuję palcem po mapie. Na świecie musi być tyle wspaniałych kultur, z którymi chciałbym wejść w monolog". No i to wyjaśnienie, skąd wziął się Tour de Pologne!

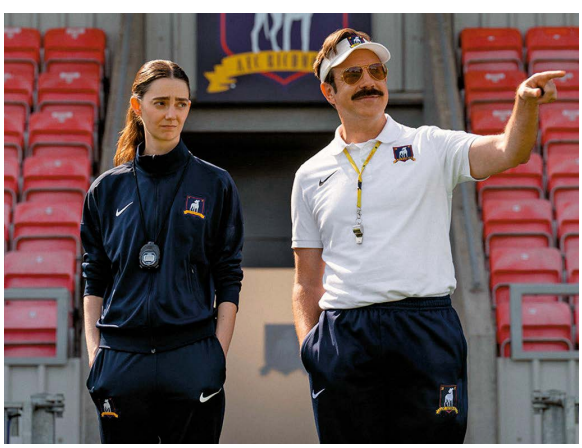
ANETA KYZIOŁ

serial

Czego potrzebują kobiety 4/6

Ted Lasso sezon 4., 10 odc., Apple TV

Trener futbolu amerykańskiego z Kansas City doprowadza zapyziały klub piłki nożnej z londyńskiego Richmond do najwyższych laurów, zmieniając po drodze życie wszystkich wkoło i własne. Oto „Ted Lasso", największy hit Apple TV. Serial, który zaczynał jako sitcom z brytyjskim sarkastycznym humorem, a rozwinął się w komediodramat z ambicjami psychoterapeutycznymi. Zakończył się po trzech sezonach w 2023 r., ale determinacja fanów spowodowała, że dostaniemy kolejną trylogię. Ted Lasso (**Jason Sudeikis**) ponownie zjawi się w Londynie, by tym razem poprowadzić kobiecą drużynę AFC Richmond. Zadanie wydaje się trudniejsze, bo kobieca piłka wciąż toruje sobie drogę do serc kibiców, widzów i portfeli sponsorów (nie tylko w serialu), a twórcy muszą nas przekonać, że wąsaty Ted ze swoim mentorskim stylem jest naprawdę tym, czego najbardziej potrzebują dziś młode kobiety – w sporcie i poza nim. Udostępniona do recenzji pierwsza połowa serialu pokazuje, że może się udać, bo i Ted, i reszta znanych bohaterów (wracają prawie wszyscy) mają dawny urok, wypakowane żartami i popkulturowymi aluzjami dialogi wciąż działają, a nowe twarze, czyli głównie zawodniczki, dają energię i świeżość. Jednak łatwo nie będzie, bo akcja rozwija się powoli, psychologiczne sztuczki Teda już znamy, a kontynuowane romantyczne historie się wypaliły. Przed nami, jak to mówią komentatorzy sportowi, druga połowa i wynik wciąż pozostaje otwarty. AK



W nowej odsłonie serialu Ted Lasso trenuje kobiecy zespół AFC Richmond

© JAROSŁAW SOSIŃSKI, APPLE TV, ARKADIUSZ PODSTAWKA, JAN SZEWCZYK, MONOLITH FILMS

eprasa.pl 70e748f8f6

Z głębi dziejów 5/6

Stulecie. W rocznicę wielkiej wystawy śląskiej sztuki średniowiecznej, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, do 30 grudnia

Wystawy czasowe poświęcone malarstwu i rzeźbie wieków średnich zdarzają się w Polsce bardzo rzadko. Konserwatorzy rzucają się Rejtanem na każdy pomysł wydobycia ze stałych ekspozycji i z magazynów obiektów, które są bardziej kruche od saskiej porcelany. Zresztą jest ich niewiele; historia raczej nie oszczędzała tego, co między Bugiem a Odrą stworzyli artyści. Dlatego wrocławską ekspozycję należy potraktować jako wydarzenie spektakularne. Tym bardziej że jest próbą odtworzenia słynnej wystawy zorganizowanej w tym mieście dokładnie 100 lat temu. Smakosze dawnej sztuki znajdą tu całe mnóstwo rarytasów, a mniej zaawansowani miłośnicy malarstwa i rzeźby mają okazję się przekonać, jak bliska naszej wrażliwości jest ta sztuka. Teoretycznie wydawać się to może monotonne: na przemian święci, ukrzyżowania i Madonny. Jednak ładunek artystyczny i emocjonalny jest tak silny, że o znużeniu mowy być nie może. A przy tym zadbano o nowoczesną, momentami wręcz zaskakującą aranżację, wykorzystującą muzykę, grę świateł, komputerowe animacje. I dobra dodatkowa wiadomość: wrocławska wystawa jest pierwszym z trzech zaplanowanych spotkań z polskim gotykiem. Kolejne odbędą się wkrótce w Muzeum Narodowym w Poznaniu (sztuka Wielkopolski i Pomorza) oraz na Wawelu (sztuka Małopolski i reszty kraju).



Malarz z pracowni Mistrza Wyszogrodzkiej Madonny, „Matka Boska z Dzieciątkiem"

PIOTR SARZYŃSKI

Nasze i obce 4/6

Wszystkie dzieci nasze są, Galeria Arsenał, Białystok, do 31 sierpnia



Na plakacie „Agatka" dziewczynka ze znaku drogowego niesie sztandar z tytułem międzynarodowej wystawy „Wszystkie dzieci nasze są". Celowo dwuznaczny, mówi o uprzedmiotowieniu (akt „posiadania" dziecka), ale i przywołuje piosenkę Majki Jeżowskiej w czasach wojny i masowej imigracji, kiedy dzieci dzielą się na „nasze" i „obce". Dla tych drugich są kamizelki ratunkowe (przejmująca instalacja „Od 0 do 3 miesięcy") i wyprawka (niebieska lub różowa), na którą składa się m.in. worek z fekaliami i nienawistne hasła (ubrana w formę audycji lifestylowej „SuperMama"). Wystawa przywołuje walkę kobiet o prawa reprodukcyjne w Polsce i Czechosłowacji („Jak nie pamiętać własnych ciał"), wydobywa na wierzch prawdę o poczęciu (czy to nie ciekawe, że zarówno seks, jak i *in vitro* to tematy tabu?) i codzienności macierzyństwa. Rzeźba **„Zapowiedź" Anety Grzeszykowskiej** to niepokojąca kukła dziewczynki. Dziecko jest niewiadomą, ale i projektem – biologicznym, politycznym i ekologicznym. Na szczęście wybrzmiewa tu i głos dzieci. Słychać też łapy psa-robota stukającego w drewnianą podłogę opuszczonej szkoły w Zaporożu. Steruje nim Jarik z Warszawy, do której uszedł po ataku Rosji na Ukrainę. Na tablicy w klasie chłopaka wciąż widać napisane kredą życzenia dla nauczycielki. „Otwarty świat" buduje cybernetyczną więź między dwiema rzeczywistościami – wojny i pokoju.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

film

Opowieści w opowieści 2/6

Historie równoległe (Histoires parallèles), reż. Asghar Farhadi, prod. Francja, Belgia, USA, Włochy, 139 min, w kinach od 14 sierpnia

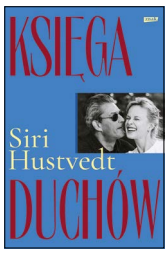
Do nakręcenia „Historii równoległych", inspirowanych m.in. „Krótkim filmem o miłości" Krzysztofa Kieślowskiego, doprowadził aktor i producent Maciej Musiał, który zmotywował reżysera, bo początkowo Farhadi w ogóle nie był tym projektem zainteresowany. Dwukrotny laureat Oscara i niezrównany obserwator ludzkich sumień potraktował dziedzictwo Kieślowskiego instrumentalnie. Odarł je z metafizyki i duchowości, wdając się w jałowe rozważania o relacji rzeczywistości i fikcji. Jego kino, dotychczas głęboko osadzone w bliskowschodniej kulturze i tradycji, poruszające tematy honoru czy społecznego wstydu, tym razem zamieniło się w narracyjny chaos i psychologiczną pretensjonalność. Fabuła koncentruje się na granej przez **Isabelle Huppert** zgorzkniałej paryskiej powieściopisarce, szukającej natchnienia do nowej książki. Pisarka podgląda przez lunetę atrakcyjną kobietę, tworząc na podstawie fragmentów jej życia fikcyjną opowieść. Ponieważ



jej wydawczyni jest zawiedziona tym, co napisała, autorka wyrzuca rękopis, a tekst wpada w ręce złodzieja przypisującego sobie autorstwo, by zaimponować pięknej kobiecie, którą pisarka podglądała. Nie bardzo wiadomo, czemu mają służyć te zatarcia granic i przenikanie się światów. Zamiast intymnego dramatu o voyeuryzmie, idealizmie, grzechu i nawróceniu dostajemy rozdętą strukturę, w której wątki rywalizują o to, który bardziej rozczaruje widza.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 70e748f8f6



Portret podwójny 5/6

Siri Hustvedt, **Księga Duchów**, przeł. Jerzy Kozłowski, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 416

„Chcę być duchem" – powiedział Paul Auster umierający na raka. „Chciałam tego ducha" – pisze Siri Hustvedt w swojej opowieści o miłości i wspólnym z nim życiu przez 43 lata. Ta książka nie jest typowym wspomnieniem żałobnym, bo mieści wszystko: maile do przyjaciół, listy Austera do wnuka, rozważania o polityce, fragmenty odczytów, dzienników, zapisy wspólnych lektur, anegdoty. Jest też autoportretem Siri, pisarki, która przy nim była bardziej sobą, czuła się wyrazistsza. Żartowali, że gdyby żyli dłużej, staliby się jedną osobą. Redagowali nawzajem swoje książki, wpływali na siebie. Rzadko zdarza się taka twórcza wspólnota („nasz wieloletni dialog o książkach był częścią erotycznej więzi, którą opłakuję"). Widzimy, że Auster był kimś innym, niż to opisywały gazety. Ich życie też wyglądało inaczej.



Wielką sławę i status gwiazdorski Auster zyskał po czterdziestce dzięki „Trylogii nowojorskiej", którą wcześniej odrzuciło 18 wydawców. Wtedy Siri stała się „żoną pisarza" – oczekiwano, że będzie „szalem" otulającym mężczyznę, a na to nigdy się nie zgadzała. W tym życiu było dużo cudowności i potworności – syn Paula z pierwszego małżeństwa, heroinista, przyczynił się do śmierci swojej córki. Auster przygotowywał swoje odejście – zostawił listę „na potem". Kiedy nastało „potem", Siri czuła jego obecność i w nowej książce próbuje to wytłumaczyć. „Księga Duchów" nie stara się przypodobać czytelnikowi, wypływa z konieczności i braku: „Pisanie to działanie. Zdanie po zdaniu, ustęp po ustępie, próbowałam coś z niego przenieść na papier, coś z tego, kim był dla mnie". I się udaje.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

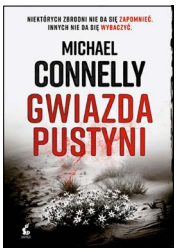


Partnerki w zbrodni 4/6

Elizabeth Arnott, **Klub żon seryjnych morderców**, przeł. Marek Cieślik, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026, s. 400

Seryjni mordercy prowadzą zwykle jakieś życie rodzinne, często dla zmyłki. O ich żonach czy partnerkach mówi się jednak rzadko, może tylko jedna kwestia budzi wątpliwości i niezdrową czasem ekscytację: czy niczego się nie domyślały? Niezależnie od odpowiedzi poboczni obserwatorzy chętnie by je uznali za współwinne zbrodni. Mierzą się z tym piętnem trzy bohaterki powieści Elizabeth Arnott. Beverley, Elsie i Margot zawiązują bliższe relacje, bo razem łatwiej dźwignąć ciężar pomówień, oskarżeń i doświadczeń. Żadna nie przypuszczała, że związała się z potworem. Beverley nie zmieniła adresu i co noc rygluje drzwi. Elsie chciała się odciąć, przeprowadziła się, ale jest Angielką w Ameryce, więc przywykła do zmian i poczucia wyobcowania. Margot straciła bodaj wszystko. Nie dostajemy wbrew pozorom głębokiego studium psychologicznego, ale kryminał z aspiracjami. Przetrącone przez los bohaterki teraz same chcą wymierzać sprawiedliwość i namierzać sprawców zbrodni. Mają to, czego policji czasem brakuje: więcej czułości dla ofiar i pewnego rodzaju „zrozumienie" dla zabójców i ich toku myślenia. Jesteśmy w Ameryce w latach 60. XX w., ale pod wieloma względami niewiele się zmieniło – zbrodniarze odwiecznie fascynują i są na świeczniku, kobiety „same się proszą o nieszczęście". Właśnie to Arnott próbuje czytelnikom podprogowo przekazać.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Bosch wciąż na tropie 4/6

Michael Connelly, **Gwiazda pustyni**, przeł. Mikołaj Kluza, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2026, s. 300

Michael Connelly od ponad 30 lat kontynuuje serię o Harrym Boschu (i kilka cykli pobocznych), na szczęście w jego książkach zmęczenia nie czuć. Trzeba jednak przyznać, że połowę roboty załatwił już dawno temu, wymyślając jedną z najciekawszych i najbardziej charyzmatycznych postaci we współczesnym amerykańskim kryminale. A swoje dołożyła udana serialowa adaptacja – dziś, czytając książki Connelly'ego, trudno nie mieć przed oczami wyrazistej twarzy aktora Titusa Wellivera. Bosch może się starzeje – i ma to jakiś wpływ na fabułę – ale ze swoim kodeksem moralnym, z determinacją i głęboko ukrytym gniewem pozostaje bohaterem, za którym wciąż chce się podążać. W „Gwieździe pustyni" były detektyw policji Los Angeles dołącza jako konsultant do zespołu badającego niewykryte morderstwa. To da mu szansę zakończyć sprawę zabójstwa kilkuosobowej rodziny sprzed lat. Jednocześnie połączy siły ze swoją przyjaciółką Renée Ballard, tropiąc zabójcę siostry wpływowego polityka. Same śledztwa nie są specjalnie zaskakujące: Connelly często bazuje na starych sprawdzonych patentach. Zarazem prowadzi akcję bezbłędnie, sumiennie konstruuje społeczne tło, każe swoim bohaterom mierzyć się nie tylko z policyjną robotą, lecz także ze zmieniającym się światem. Los Angeles jest tu miastem, które po pandemii, protestach ruchu Black Lives Matter i politycznych skandalach straciło zaufanie do władz i policji, a umiejętność dostosowania się do nowej rzeczywistości jest nie mniej istotna niż zdolności detektywistyczne.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© A. PEREZ MECA/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES, AARON ROGOSIN/SXSW CONFERENCE & FESTIVALS/GETTY IMAGES, MATT JELONEK/GETTY IMAGES, MP (7)

eprasa.pl 70e748f8f6

Zwrot w rock 4/6

Charli XCX, **Music, Fashion, Film**, Warner

Parkiet umarł, teraz gramy rocka – deklaruje na nowej płycie Charli XCX, odpowiadając na pytanie, jak poradziła sobie z ciężarem sukcesu poprzedniego albumu „Brat". Limonkową zielenią jego okładki dwa lata temu pokolorowała internet na całe wakacje, a jej pseudonim wielką czcionką wypisywały na plakatach największe festiwale. Co się robi po takim albumie? Albo powtórkę, ryzykując znudzenie słuchaczy oraz własne. Albo radykalny zwrot, ryzykując z kolei utratę części fanów. 34-letnia Brytyjka i jej wieloletni producent A.G. Cook wybrali niejako oba warianty. Bo z jednej strony na „Music, Fashion, Film" (tytuł zarysowuje krąg obecnych pasji Charli XCX) syntetyczne brzmienia niespodziewanie przykryli przesterowanymi gitarami, bębnami i basem wyjętymi wprost z hałaśliwego rocka, a wokale oczyścili z Auto-Tune i innych efektów. Z drugiej strony piosenki pozostały bezczelnie proste i chwytliwe, no i wyrywają na parkiet. Z pewną ambiwalencją słucha się też tekstów. Bo czy gdy Charli XCX pochyla się nad rozmytą tożsamością gwiazd lub mechanizmami sławy, to patrzy w lustro czy też kpi ze zgranej konwencji? Pewnie i tu zdołała pogodzić jedno z drugim.



MARIUSZ HERMA

Kolejna Rosalía? 4/6

Lido Pimienta, **Caribenya**, Anti-

Rosalía, Bad Bunny, J Balvin, KAROL G – do listy hiszpańskojęzycznych gwiazd robiących międzynarodową karierę bez zmiany języka dopisuje się Lido Pimienta. Pochodząca z Kolumbii, mieszkająca w Kanadzie, osadza swoją twórczość w muzycznych tradycjach ojczyzny, takich jak cumbia czy bullerengue. I tak jak Rosalía zderza tradycje z najodleglejszymi stylistykami – od elektroniki, muzyki tanecznej i reggae po brzmienia orkiestry, a nawet chorał gregoriański. I też wyprowadza z tych równań zaskakująco spójne popowe piosenki. Tę świeżość już przed dekadą docenili Kanadyjczycy, przyznając Pimiencie za debiut najważniejszą muzyczną nagrodę Polaris. Druga płyta otrzymała nominację do Grammy. Czwarta – „Caribenya" – już w tytule sygnalizuje nieco senny nastrój , bo to zbitka Karaibów z Enyą. Karaibskie rytmy pulsują w tempach bardziej spacerowych niż tanecznych, a nawet tyrady na temat kolonializmu, rasizmu, mizoginii i patologii branży muzycznej Pimienta wygłasza raczej w tonie lamentu niż buntu. Jeśli coś tu wytrąca z równowagi, to fakt, że tak przebogaty i dojrzały album Pimienta – 39-latka samotnie wychowująca troje dzieci – stworzyła w większości w kuchni na laptopie. MH



To nie to 2/6

The Strokes, **Reality Awaits**, RCA

Ćwierć wieku temu zespół z Nowego Jorku – mówiąc z lekką przesadą, ale zgodnie z ówczesną emocją – przywracał wiarę w sens grania rocka w XXI w. Robił to dzięki temu, że wydana wówczas płyta „Is This It" odnajdywała w garażowym graniu świeżość, a w zestawie rockowych gestów – atrakcyjną prostotę. Dziś albumem „Reality Awaits" The Strokes też coś udowadniają – że kolejna rockowa generacja potrafi się zagubić na zmieniającej się muzycznej mapie. Gest Juliana Casablancasa, niezłego wokalisty, który próbuje odświeżyć brzmienie wykorzystaniem Auto-Tun – ani nowatorskim w zestawieniu z gwiazdami sceny rapowej, ani nawet uzasadnionym, bo cała reszta formuły pozostaje dość konwencjonalna – wydaje się tu oznaką słabości i niezrozumienia. Trochę jak z eksperymentami syntezatorowymi dinozaurów rocka z lat 80. Dostajemy potwierdzenie, że nowoczesne elementy stosowane w sposób nieumiejętny mogą się kojarzyć z dziaderstwem także w eklektycznym świecie muzyki XXI w. Choć może mają tu tylko coś zamaskować, bo największą wadą albumu The Strokes jest brak pomysłu na siebie w ramach konwencji, której nieśmiertelność sami kiedyś potwierdzali.



BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Proces, reż. Orson Welles, w kinach od 14 sierpnia

Sam Orson Welles adaptację powieści Franza Kafki uważał za jeden ze swoich najlepszych filmów. Jego „Proces" jest czymś więcej niż ilustracją losów nieszczęsnego Józefa K. (świetny Anthony Perkins, krótko po sukcesie „Psychozy"). Welles poszukał w prozie Kafki związków ze współczesnością, zachowując jednocześnie obecny w oryginale złowieszczy humor. Atmosferę niepewności budował zaś innowacyjną pracą kamery i montażem. Na ekranie także wielkie gwiazdy europejskiego kina: Jeanne Moreau, Romy Schneider i Michael Lonsdale. JD



Gogol Bordello, trasa koncertowa 15–18 sierpnia

Nieobliczalna ekipa dowodzona przez Eugene'a Hütza po raz kolejny odwiedzi Polskę, tym razem promując wydany na początku roku album „We Mean It, Man!". Zespół wystąpi we Wrocławiu, w Krakowie, Gdańsku i Poznaniu. Jak zawsze można spodziewać się porywającej mieszanki punka, rock'n'rolla oraz ukraińskiego i romskiego folku – ale w koncertach Gogol Bordello ważna jest nie tylko zabawa, lecz również przesłanie: zawsze wrażliwa na nierówności społeczne grupa od kilku lat nie ustaje we wspieraniu walczącej Ukrainy. JD



BitterSweet Festival, Poznań, 13–15 sierpnia

Sądząc po świetnej sprzedaży biletów, największym imprezom z muzyką rozrywkową w Polsce wyrósł w Poznaniu potężny konkurent. Sądząc po programie, mamy imprezę dość szeroką, przyjazną dla starszej publiczności (Robbie Williams, Faithless), atrakcyjną dla tej młodszej (Lorde, Tom Odell, paleta polskich raperów) i która potrafi być może te dwie umowne grupy dzieci i ich rodziców pogodzić (Gorillaz). Jak to się uda w praktyce, dowiemy się wkrótce, ale jeden z najważniejszych weekendów wakacji ma nową muzyczną dominantę. BCH

eprasa.pl 70e748f8f6

Portret czy pomnik?

Wkrótce po otwarciu wyśmienitej międzynarodowej prezentacji surrealistów Muzeum Sztuki Nowoczesnej pokazuje głęboko zanurzone w polskości obrazy Edwarda Dwurnika.

PIOTR SARZYŃSKI

Zrobić wystawę prac Edwarda Dwurnika to zadanie równie karkołomne jak przygotować album rodzinnej fotografii, poczynając od prapradziadków. Najpierw z kilku wielkich pudeł i niezliczonych plików w pamięci komputera oraz smartfona trzeba coś wybrać, a później sensownie to poukładać. Powiedzieć o Dwurniku, że był płodny, to nic nie powiedzieć. Pozostawił po sobie – jak się szacuje – od 4 do 8 tys. płócien (w szacunkach panuje spora rozbieżność), o kilkunastu tysiącach rysunków nie wspominając, ponadto były to obrazy z tak różnych porządków artystycznych, jak gdyby malowało je kilku zupełnie obcych sobie twórców.

Zasadniczo można podejść do tego heroicznego wyzwania na dwa sposoby: wartościująco i wybiórczo lub analitycznie i kompleksowo. Czyli próbować pokazać to, co najciekawsze, lub wybrać z wszystkiego po trochu. Zbudować ołtarz lub pstryknąć portret, na którym znajdzie się wszystko: i cudowne oczy, i brodawki



Jedna z sześciu głów z 1984 r., obrazo-rzeźb pokazywanych w Polsce po raz pierwszy

eprasa.pl 70e748f8f6



na nosie. Kurator wystawy Łukasz Ronduda wybrał tę pierwszą drogę, do czego ma prawo, choć we mnie pozostawia uczucie niedosytu.

Wymyślać się na nowo

Dwurnika śmiało można pomieścić w uniwersum artystów, które przed nim tworzyli m.in. Salvador Dali, Pablo Picasso i Andy Warhol, a po nim choćby Jeff Koons czy Damien Hirst. Czyli takich, którzy stawiali na wyrazistość nie tylko swojej sztuki, ale i swojej obecności w świecie, nieunikających artystycznych kontrowersji, a nawet prowokacji, tworzących z pełnym dezynwoltury wdziękiem, wsłuchujących się nie tyle w opinie środowiskowych wyroczni, ile w potrzeby odbiorców sztuki. A przede wszystkim nieidących w swej twórczości za głosem serca (duszy), ale często kalkulujących, gotowych bez sentymentu zarzucić dotychczasowe estetyczne ścieżki i zapuścić się na zupełnie nowe, jeśli tylko stwarzają szansę sukcesu. Słowem: artystów, którzy wymyślają się w sztuce.

Dla przykładu taki oto Roman Opałka wymyślił się tylko raz, ale dobitnie, i przez niemal całe artystyczne życie ów zamysł realizował, przenosząc na płótna kolejne liczby od 1 do nieskończoności. Dwurnik był na przeciwnym biegunie; on wymyślał się ciągle na nowo, zaskakując wszystkich: krytyków sztuki, kolekcjonerów, bywalców galerii, kuratorów, innych artystów. Był w tych ciągłych woltach rodzaj wrodzonej przekory, ale przede wszystkim ucieczka przed jakimkolwiek zaszufladkowaniem i potrzeba ciągłego podtrzymywania zainteresowania swoją osobą.

Nic więc dziwnego, że dorobek Dwurnika jest nie tylko rozległy, ale i zróżnicowany. Znajdziemy w nim sacrum i profanum, figuratywność i abstrakcję, ekspresję i lirykę, profetyczne wizje i socjologiczne obserwacje, humor i patos, poezję i publicystykę, groteskę i śmiertelną powagę. Fascynację rodzimym Nikiforem i urzeczenie niemieckim ekspresjonizmem. Estetyczne zabawy i polityczne boje. Malarskie „za", a nawet „przeciw". Czy któryś z tych artystycznych wizerunków jest szczery, a któryś ▶

„Przystanek autobusowy", z cyklu „Obrazy duże", 1974 r.
Poniżej: **artysta w pracowni, lata 90. XX w.**



© MAREK SOBCZAK, FUNDACJA EDWARDA DWURNIKA, TERESA GIERZYŃSKA/FUNDACJA EDWARDA DWURNIKA

eprasa.pl 70e748f8f6



„Kobieta w hamaku", z cyklu „Sportowcy", 1991 r.

▶ wydumany? To nieistotne. Ważne, że przez kilka dziesięcioleci Dwurnik fundował odbiorcom malarski rollercoaster.

Co ciekawe, owa bezceremonialność w posługiwaniu się pędzlem, niefrasobliwość głoszonych opinii czy nonszalancja zawsze uchodziły mu na sucho. Na nieudane cykle obrazów krytycy krzywili się cichcem, maczystowskie postawy przyjmowano ze zrozumieniem i nawet oficjalna aktywność wystawowa w stanie wojennym, która wielu twórców zepchnęła na lata do zawodowego czyśćca, jemu nie zaszkodziła. Prezydenci wieszali jego obrazy w swoich gabinetach, właściciele galerii łykali nowości jak pelikan ryby, a kolekcjonerzy kupowali wszystko jak leci i płacili krocie, niezrażeni, że nowe obrazy trafiały na rynek z częstotliwością, z jaką dziś Trump zmienia zdanie.

W kraju, w którym od stuleci ceniona jest pokora i skromność (choćby fałszywa), Dwurnik manifestował hedonizm, luksusowe Porsche skonfigurowane na indywidualne zamówienie, celebryckie maniery na długo przed tym, nim owe wzorce stały się standardem wśród tzw. elit.

Portret ociosany

Dwurnik malował bardzo dużo, a to niechybnie oznacza, że nie zawsze dobrze. Podszyta chałturniczym pośpiechem (posiadacze własnych konterfektów mówią raczej o „malarskim geście") jest większość z jego portretów, rażą nieco naiwną publicystyką cykle „Droga na Wschód" i „Od Grudnia do Czerwca". Odkrywcze początkowo „Podróże autostopem", czyli fantazyjne, nikiforowskie z ducha portrety miast z czasem zamieniły się w taśmową produkcję. Zasłonę milczenia należałoby spuścić na abstrakcyjny, nieuchronnie kojarzący się z gorszą wersją Pollocka „Cykl XXV" czy cykl „Błękitny" z abstrakcyjnymi pejzażami morskimi. Wielkim komercyjnym sukcesem okazał się banalny cykl obrazów przedstawiający równe rzędy tulipanów. Słowem, większość rzeczy, do których zabrał się mniej więcej po 1990 r., była albo wtórnym naśladownictwem dawnego siebie, albo artystycznie (choć nie komercyjnie!) chybionymi nowymi pomysłami.

Oczywiście wystawa pokazująca Dwurnika we wszystkich jego malarskich wcieleniach mogłaby się stać fascynującym studium przypadku artysty rozdartego między wyniesionymi z młodości kompleksami, artystycznymi ambicjami i silną potrzebą komercyjnego sukcesu, twórcy wciągniętego w bezwzględne tryby polityki, nawigującego między oczekiwaniami środowiska, własnymi marzeniami, awangardą a koniunkturą, przebłyskami geniuszu a kiczem. Opowieścią, w której wszystko osobliwie się splata: psychologia, ideologia, socjologia, historia, sztuka. Być może kiedyś w przyszłości. Na razie otrzymujemy artystyczny portret Dwurnika ociosany ze wszystkich tych osobistych i zawodowych zawirowań, ślepych uliczek, a nawet porażek. Właściwie to nie portret, tylko pomnik *crème de la crème*, ulepiony z tego, co było najlepsze i najbardziej oryginalne w jego twórczości.

Przedsmak tego, co zobaczymy, a równocześnie jego symboliczną kondensację, stanowi pierwsza sala ekspozycji, w której umieszczono tylko cztery, za to wielkie płótna. Wszystkie powstały w pierwszej połowie lat 70. XX w. i wszystkie są zapisami z panoramy polskiego społeczeństwa. Na jednym tzw. przeciętni rodacy oczekują na przystanku autobusowym, na innym widzimy najbliższy krąg przyjaciół artysty w radosnym pochodzie przed siebie. Praca „Narada produkcyjna" to w gruncie rzeczy męska libacja, zaś umoszczona w anonimowym mieście para spełnia swój skromny sen o małej stabilizacji. Wszędzie możemy mówić o wspólnocie, doszukiwać się wspólnej, zbiorowej tożsamości. To właściwości, które Dwurnik cierpliwie i uparcie tropił. Przynajmniej przez pierwsze ćwierćwiecze swojej przygody ze sztuką.

eprasa.pl 70e748f8f6

Wystawa koncentruje się na dwóch cyklach malarskich, powstałych w latach 70. i 80. XX w., a więc w czasach, gdy artysta dopiero rozpoczynał swoją długą wędrówkę przez sztukę: „Sportowcy" oraz „Robotnicy". Ten pierwszy rozwijany był przez dwie dekady, między 1972 a 1992 r. Drugi zaś powstawał od 1975 do 1991 r. Nazwa cyklu „Sportowcy" jest myląca, bo bohaterowie tych prac zdają się rywalizować wyłącznie w tym, jak najlepiej przetrwać, wkładając w to jak najmniej wysiłku. Jest to szeroka panorama emocji, marzeń (zazwyczaj dość przyziemnych) czy frustracji Polaków owych czasów, a nad tym wszystkim zdaje się unosić fatum tumiwisizmu, niemocy, niemożności podejmowania poważnych decyzji. Bohaterowie obrazów, przenikliwie i z nieprzeciętną socjologiczną oraz psychologiczną mocą portretowani przez Dwurnika tkwią w jakimś marazmie, momentami – szczególnie z dzisiejszej perspektywy – zabawnym, momentami dramatycznym.

„Robotnicy" to trochę inna opowieść. Utkana z socjalistycznych treści, ale o zdecydowanie pesymistycznym przesłaniu. „Te ohydne gęby roboli" – nosi tytuł jeden z obrazów i jest to ironiczne credo autorskiej narracji. Pełnej szarych odcieni, tak jak szara była to rzeczywistość. Dwurnik odrzuca tradycyjne dychotomie: postęp – zacofanie czy naród – władza, w zamian serwując wielowymiarowy obraz utkany z rozczarowań i zmarnowanych szans. Trafnie określił to Łukasz Ronduda w kuratorskim tekście jako obraz „kryzysu godności klasy robotniczej".

Bohaterowie ideologii stają się jej ofiarami, obietnice zamieniają się w więzienie, nadzieje zaś w beznadzieję. Wystawę kończy sekwencja trzech obrazów z cyklu „Tulipany" z lat 90. Gorzki finał ukazujący twórcę rozczarowanego, pozbawionego złudzeń, zamiast kontestacji wybierającego dostosowanie się do nowych standardów i oczekiwań społecznych, monetyzującego swoje talenty w sztuce banalnej, ale efektownej. Przekonanego, że świata nie warto naprawiać, a bogiem nowych czasów jest nie idea, tylko pieniądz.

Tytuł wystawy „Duma i wstyd" kieruje uwagę widza na owe dwa uczucia, będące kluczem do zrozumienia zarówno pokazywanej sztuki, jak i organizujące społeczną świadomość Polaków końca PRL i początków III RP. Duma i wstyd jako doświadczenia indywidualne, pozwalające sobie radzić z rzeczywistością, ale też jako doświadczenie zbiorowe: poszczególnych grup społecznych i całego narodu. Dwurnik z chirurgiczną precyzją wypreparowuje oba emocjonalne stany, ale też pokazuje ich dynamikę i to, jak się zmieniały wraz ze zmianami społeczno-politycznymi. Mało tego, wystawa często przypomina, że to, co dla jednych bywało (jest nadal) powodem do dumy, u innych – wręcz przeciwnie – budzi wstyd i zażenowanie. Owa diagnoza wybrzmiewa w obrazach Dwurnika donośnie i dosadnie.

Więcej i wcześniej

Dla mnie jednak najbardziej intrygujące na wystawie okazały się prace, w których doszukać się można swoistego profetyzmu, potwierdzające opinię, że artyści czują więcej i wcześniej. Prace, które uzmysławiają nam nieuchronność pewnych doświadczeń i trwałość innych. Cykl „Niech żyje wojna" to pozbawiona złudzeń wizja świata, w którym konflikty zbrojne, wojny, dominacja jednych narodów nad innymi to zjawiska, które były, są i będą. Z kolei cykl „Klęska urodzaju", który powstał w połowie lat 70., doskonale antycypował zjawisko nadprodukcji i konsumpcjonizmu, z którym zmagamy się teraz. Nie brakuje na wystawie obrazów niejako zapowiadających wiele grzechów dnia dzisiejszego: fałsz i manipulacje władzy, rozchodzenie się religijności i wiary, grozę populizmu i prymitywnego nacjonalizmu czy nowe społeczne podziały i napięcia. Jak na jednym z obrazów, gdzie mężczyzna z teczką, wydający się symbolem urzędnika, strzela w potylicę mężczyźnie pochłoniętemu lekturą książki. A przecież na wystawie zabrakło najbardziej profetycznych prac z cyklu „Warszawa", przedstawiających miasto opustoszałe, wypełnione czołgami i zasiekami, a powstałych w 1981 r., wiele miesięcy przed ogłoszeniem stanu wojennego.

Warszawska wystawa, jak rzadko która, doskonale nadaje się do tego, by sparafrazować słowa Horodniczego z gogolowego „Rewizora": „Czemu się przyglądacie? Samym sobie się przyglądacie".

PIOTR SARZYŃSKI

Edward Dwurnik. Duma i wstyd, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wystawa czynna do 28 lutego 2027 r.

© FUNDACJA EDWARDA DWURNIKA

REKLAMA



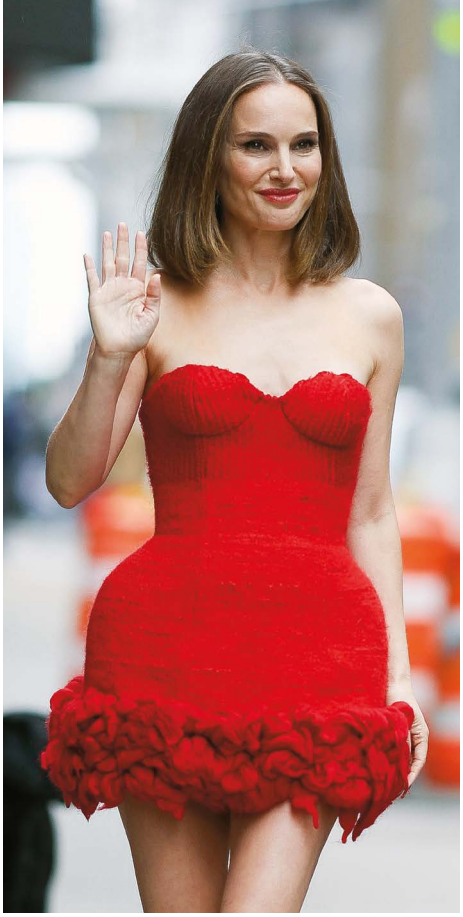
Młoda moda

MICHAŁ ZACZYŃSKI

Polska moda? Nigdy nie było lepiej. Jak wielką drogę przeszliśmy od lat 90. XX w., doskonale widać na wystawie w Łodzi.



Strój Acephali z symbolicznym motywem czerwonych błyskawic



Natalie Portman w sukience projektu Magdy Butrym, Nowy Jork, 2025 r.
Poniżej: **pokaz kolekcji Gosi Baczyńskiej „Yalta" podczas Paris Fashion Week, 2014 r.**





Kolekcja „Wiesia" duetu Rad z 2019 r., zdobiona kwiatami z fajansu z Włocławka

epresa.pl/70e748f8f6

Doczekaliśmy się pokaźnego grona twórców projektujących rzeczy ambitne, intrygujące, czasem wręcz ważne. Oraz kilkudziesięciu marek oferujących świetny design i porządne wykonanie. W produkowanych u nas ubraniach wygląda się dziś dobrze. Potwierdza to otwarta w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi wystawa „Nowa moda polska. Kronika głębokich uczuć". Mimo że brak jej rozmachu i narracji – pierwsze koty za płoty, dotychczas młodą modę placówki wystawiennicze ignorowały – stanowi dobry pretekst, by przyjrzeć się, jak owa moda zmieniła się w ostatnim ćwierćwieczu.

W modowym podejściu najbliżej nam dziś do skandynawskiej prostoty. Minimalizm, pragmatyzm, jakość. Do tego oszczędna kolorystyka, naturalne tkaniny i materiały. Dyskretna elegancja Ani Kuczyńskiej, przebojowość MMC, powściągliwość Zofii Chylak, a do tego święcące triumfy The Odderside, LeBrand, 303 Avenue z ubraniami na co dzień zyskały swoją wierną klientelę i uniezależniły ją od zagranicznych brandów. Owszem, to nadal oferta dla zamożniejszych, cenowo jednak coraz częściej na poziomie „lepszych" sieciówek, takich jak szwedzki COS czy hiszpańskie Massimo Dutti, należące odpowiednio do H&M i Inditexu (Zara).

Po latach strojenia się w obce piórka, zaświadczania o krawcowych szyjących w Paryżu, tkaninach „tych samych co u Prady" i nadawania włoskich nazw dziś w cenie jest polskość i – ogólnie – lokalność. Lokalna jest produkcja, lokalne inspiracje. „Zapraszamy do naszego świata ręcznie robionych unikatowych produktów, autorskich wzorów stworzonych z miłości do rzemiosła i szacunku do tradycji", zachęcają założone i wdzięcznie nazwane przez Martę Iwaninę-Kochańską Roboty Ręczne. RISK Made in Warsaw przy każdym z modeli zaznacza, gdzie został uszyty (sukienka maxi w Sępólnie Krajeńskim, sukienka z kieszeniami w Żurominie).

Najnowsza kolekcja Ani Kuczyńskiej „History of Dreams" „wyrasta ze wspomnień, z obrazów polskich wakacji", a jednym z jej akcesoriów jest torba Warszawa Black z ręcznie tłoczonym logo na skórze. Produkcję swetrów marka Vicher, jedna z najbardziej wyrazistych w Polsce, zleca z kolei zaprzyjaźnionym artystkom rękodzielniczkom z dyplomami szkół artystycznych, „pilnującym ściegu nitki, wykończeń i wszystkiego, co sprawia, że każda z dzianin to dzieło sztuki", jak mówi założycielka marki Inez Wicher, na której wyczucie estetyki wpłynęły wakacje rokrocznie spędzane w... klasztorach u ciotki zakonnicy i wuja księdza.

Polskie marki wyspecjalizowały się i dorobiły sprzedażowych hitów, by wspomnieć o puchówkach MMC czy – dla odmiany – strojach kąpielowych Undress Code i Bodymaps. Mamy marki bieliźniane, jak Le Petit Trou i ich zmysłowa bielizna haftowana w owoce i kwiaty, biżuteryjne jak Orska (etno, zwykle z recyklingu), Kopi, Berries, Toska, ale też galanteryjne z it-bags, czyli najbardziej pożądanymi modelami torebek od marek Atomy, Mandel, Bałagan, Mako, Chylak i it-shoes, by wspomnieć o Vandzie Novak.

O skali popularności – ale i marketingowego zmysłu – niech świadczy fakt, że na wiele z nich prowadzone są zapisy. I pomyśleć, że jeszcze kilkanaście lat temu szczytem myśli wzorniczej młodych polskich projektantów wydawały się niesławne folkowe torby i kolczyki z filcu.

Polska moda bywa też polityczna, ma swoją alternatywną twarz. Sporo w niej queeru, podważania społecznych norm dotyczących płci i tożsamości. To częściowo komentarz i odpowiedź na polską homofobię, ale i ogólnie – na niechęć do inności, konserwatyzm i bierność rzekomo liberalnych polityków, którzy mieli możliwość wprowadzenia realnych zmian prawnych, lecz wybrali konformizm. Na łódzkiej wystawie ten nurt reprezentuje duet Rad i ich pełne symboliki stroje dla drag queens, projekty marki Marios z nadrukami rysunków Karola Radziszewskiego przedstawiających męskie zbliżenia, ale poniekąd też Kardasjan, z kolekcjami inspirowanymi m.in. odzieżą erotyczną i błyskotliwy Jan F. Chodorowicz.

Przedmiotem debaty są też prawa kobiet. Przykładem sukienka Acephali z motywem czerwonych błyskawic, symbolu Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Marce zdarzało się literalnie komentować swoimi projektami sytuację kobiet i społeczne od nich oczekiwania (vide pokazana również w Łodzi sukienka z emblematem odkurzacza na plecach), jednak sukienki w pioruny nie można było kupić. Projektantka wolała uniknąć oskarżeń o cyniczną monetyzację ruchu – pomna wizerunkowego, a następnie rzeczywistego upadku marki Nenukko, której założycielka niespodziewanie zastrzegła nazwę Dziewuchy Dziewuchom w Urzędzie Patentowym, rozwścieczając tym samym aktywistki z grup facebookowych zawierających tę nazwę i ściągając na siebie oskarżenia, że chce „wykorzystywać ją do sprzedaży m.in. koszulek, kubków, ołówków do reklamowania produktów prywatnej firmy".

Inspirację stanowi też polska religijność (na wystawie – z wizerunkiem Matki Boskiej u Arkadiusa i tworzącego w USA R.Swiadra) i historia (kolekcja „Yalta" Gosi Baczyńskiej, w której elementy uniformów żołnierzy z czasu drugiej wojny światowej przenikają się m.in. ze strojami przedwojennej arystokracji i burżuazji Wilna czy Lwowa i motywami ludowymi).

W lokalność celuje też Magda Butrym, nasza pierwsza gwiazda eksportowa. „Zawsze, gdy tworzę konkretną rzecz, zadaję sobie trzy pytania: czy to jest marzycielskie? Romantyczne? I czy słowiańskie?", mawia projektantka. Jej odnoszące się do polskiego rzemiosła, ale też sielskości (znak rozpoznawczy – róże; najnowszy przebój – torebka Barbara, m.in. z szydełkowymi kieszeniami), projekty wybierane są – co z podziwem odnotowują media – przez Jennifer Lawrence, Natalie Portman czy Duę Lipę. Można je kupić m.in. w paryskich Le Bon Marché i Printemps, londyńskim Selfridges i Harrodsie czy słynących z restrykcyjnej selekcji progresywnych mediolańskich butikach Antonioli i Antonia. W Polsce – w imponującym salonie przy Foksal w Warszawie.

W ubiegłym roku jako pierwsza projektantka z naszej części Europy przedstawiła wspólną kolekcję z H&M. Nobilitującą, mimo że to sieciówka, bo świadczącą o atrakcyjności i pozycji jej marki. Przed Butrym w słynne już współprace ze szwedzkim gigantem odzieżowym angażowali się m.in. Versace, Lanvin czy Kenzo, a w dniu premiery pod sklepami H&M na całym świecie jak co roku ustawiły się kilometrowe kolejki, nadając wydarzeniu rangę fenomenu kulturowego. W informacjach o marce podkreślano narodowość i inspiracje projektantki.

Zatem polskość na całego. Czy raczej, jak głosi fluorescencyjny napis na zaprezentowanej na łódzkiej wystawie różowej, męskiej koszulce Kamila Wesołowskiego: „Polska Forever". ▶

© EDWARD WENDT (2), AEON/GETTY IMAGES, KRISTY SPAROW/GETTY IMAGES

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ Młoda polska moda nie ma kompleksów PRL. Dla jej twórców to okres ożywczy i odkrywczy. Prawdą jest, że w minionym ustroju ubrań było mało, mody jeszcze mniej. Pewnie dlatego każda próba uczynienia polskiej ulicy mniej siermiężną i przemycenia trendów z Zachodu do dziś celebrowana jest kolejnymi hagiografiami, benefisami czy wystawami poświęconymi jej twórcom, a nazwiska pokroju Jerzego Antkowiaka czy Barbary Hoff chyba nawet u szczytu swojej popularności w latach 70. i 80. XX w. nie miały takiego *publicity* jak obecnie.

Jednak to nie moda tamtego okresu, lecz wzornictwo, architektura, sztuka czy film inspirują ostatnimi laty polskich projektantów. Poznański Rad Duet, jedna z najjaśniejszych gwiazd łódzkiej wystawy, na warsztat bierze słomiane makatki, styl Krystyny Jandy z „Człowieka z marmuru", czy inowrocławską fabrykę kryształu Irena (na potrzeby kolekcji o tej samej nazwie stworzono 300 wzorów kryształów; ozdobiły ją kryształowe hafty i nadruki, okulary, klamry, sprzączki i guziki).

Z nazwisk nieobecnych na łódzkiej wystawie, w moodboardzie (inspiracyjnej tablicy) kolekcji ubiegłorocznego absolwenta Instytutu Ubioru łódzkiej ASP Gabriela Daty znajdziemy m.in. metalowe kraty okienne i bazarowe torby. Romantyczne kolekcje Natalii Siebuły zyskują sesje w dawnych ośrodkach wczasowych, korytarzach urzędów, biur i sportowych hal. Projektantka nierzadko dokumentuje te obiekty w ostatniej chwili, tuż przed zburzeniem, by wspomnieć o olsztyńskiej Hali Uranii czy mozaikach i wnętrzach Domu Chemika w Puławach.

Z kolei jedna z najnowszych sukienek Risk Made in Warsaw przedstawia nadruk, jaki Danuta Paprowicz-Michno przed laty wykonała dla Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, inspirując się wizytą w zoo i rysiami, które oglądała wtedy z bliska. „Po latach znaleźliśmy go w archiwach IWP. Z artystą Marcinem Franczakiem odtworzyliśmy go z małego skrawka materiału i nadaliśmy nowe kolory – takie, które pasują do teraz, rozświetlają cerę i sprawią, że będziesz chciała nosić tę sukienkę non stop", zachęca klientki marka.

Autorska polska moda pojawiła się w okolicach 2000 r. Jako jeden z pierwszych zaistniał Maciej Zień. Zaczął od lubelskich Prowokacji, przeglądu, jakich było wówczas wiele, by szybko zacząć projektować dla Renaty Przemyk. „Czarna mini na ramiączkach, skrzyżowana na plecach; Renata zakładała do niej glany" – wspomni w rozmowie ze mną po latach, dodając, że „miał poczucie, że tworzy historię". Brzmi górnolotnie, ale istotnie tak było. Po 1989 r. dogorywały peerelowskie przedsiębiorstwa, z których bodaj jedynie Vistula, Wólczanka i Bytom (dziś to jedna firma) wyszły obronną ręką, a ulicę ubierała ulica, tj. ustawione na niej bazarowe szczęki.

One też kształtowały gust. Także pierwszych biznesmenów, maklerów, pracowników (wówczas nowe słowo) korporacji, których znakiem rozpoznawczym stały się mokasyny noszone z białymi skarpetkami. Te drugie znaczyły w Polsce mniej więcej to samo, co na mitycznym wówczas Zachodzie *white collars*, białe kołnierzyki.

Owszem, lata 90. przyniosły kilka nazwisk, z Violą Śpiechowicz i jej Odzieżowym Polem na czele, jednak żeby znaleźć atrakcyjny ciuch, nadal trzeba się było natrudzić. Co dotyczyło także profesjonalistów. „Sprawdzaliśmy, czy jakiś światowy trend przypadkiem nie wpisywał się w nasze zapyziałe rzeczy, magazynowane w prywatnych butikach. Czasem udało się coś upolować, na przykład ubrania w panterkę, niezmiennie uwielbianą przez starsze panie, gdy akurat modne były motywy zwierzęce. Czasem prosiliśmy projektantów, żeby coś dla nas uszyli" – wspominał w POLITYCE pracę w debiutującym na polskim rynku w 1994 r. „Elle" stylista Sławek Blaszewski.

U progu XXI w. Maciej Zień i wkrótce dołączający doń Paprocki & Brzozowski, Gosia Baczyńska czy Tomasz Ossoliński trafili na koniunkturę. Czerwone dywany, gwiazdy, spektakularne pokazy w Łazienkach Królewskich, Pałacu w Wilanowie, hotelach Sheraton, Intercontinental i Bristol oraz nieszczędzący w okrzepłym już kapitalizmie grosza sponsorzy, którzy na jeden wieczór do Warszawy dodatkowo potrafili ściągnąć na wybieg supermodelki pokroju Heleny Christensen i Naomi Campbell oraz zapłacić za trwające do rana bachanalia z gorącym bufetem (raki, homary, kawior, ale i świeżo pieczone gofry) i nielimitowanymi trunkami.

Gdy już wydawało się, że bycie projektantem polega na ubieraniu sławnych i bogatych w wieczorowe jedwabie, pod koniec dekady w Łodzi zainaugurowano fashion week. Trwał kilka lat, wypromował kilka nazwisk, przede wszystkim jednak zapoznał rodzimych kreatorów i publikę z zachodnimi standardami. Kolekcje należało robić cyklicznie, co sezon. Wypadało mieć pełen asortyment, nie tylko sukienki, w dodatku w różnych rozmiarach i większej liczbie, by było co sprzedawać. Ta nowość, początkowo wręcz pogardzana jako oznaka komercji i – najgorsza obelga – konfekcji, dla debiutantów w branży błyskawicznie stała się oczywistością.

Nowa gwardia poszła w bluzy i dresy. Po części dlatego, że to właśnie dzianiny – jak mówi mi obecny na łódzkiej imprezie Michał Szulc (jego najnowsza kolekcja „Goodboy" to opowieść o Bałuciarzach, „czyli o mnie, łódzkim dresiarzu", precyzuje) – dostępne były od ręki. Dziewiarnie, w przeciwieństwie do tkalni, miały się w Polsce nieźle, oferowały łatwy dostęp i niskie ceny. Można było zamówić małe ilości, uszyć lokalnie i zarobić. Z czasem klient nabrał do polskich twórców zaufania, oni zaś zbudowali pożądane marki, które dla klasy średniej stały się synonimem prestiżu i przedmiotem aspiracji. Szybko, jak na niewiele ponad 20 lat.

Pomogła nam nomen omen moda na zrównoważony rozwój. Bo jednym z jego przejawów jest zwrot ku lokalności. A także pewna kompromitacja Chin, które mimo imponującego zaplecza produkcyjnego i tradycji wyrafinowanego rzemiosła – zatem możliwości, by podbić świat świetną modą – zalewają go bublami z Temu i Shein. Pomogły też coraz grubsze portfele Polaków.

Paradoksalnie, na świecie nie ma mody na Polskę. Nie ma też na słowiańskość. Jeśli już, była przez chwilę na sowieckość, za sprawą projektantów pokroju Rosjanina Goshy Rubchinskiyego i Gruzina Demny Gvasalii, szefa marki Vetements, później projektanta Balenciagi, a dziś Gucciego. Dobrze znane nam z bazarów i osiedli stylizacje z rodzaju tureckich swetrów do materiałowych spodni w kant i foliowych reklamówek Marlboro w roli akcesorium uznano w Mediolanie i Paryżu za ożywcze, kreszowe dresy i łańcuchy na wygolonych karkach – za świeże, damskie zimowe kozaki naznaczone zaś jęzorem soli, tj. celowo postarzone i odbarwione przy podeszwie – za zabawne. Ale zabawa ta trwała krótko; postsowiecki szyk, jak każda moda, szybko się znudził.

© EDWARD WENDT (4)

eprasa.pl 70e748f8f6



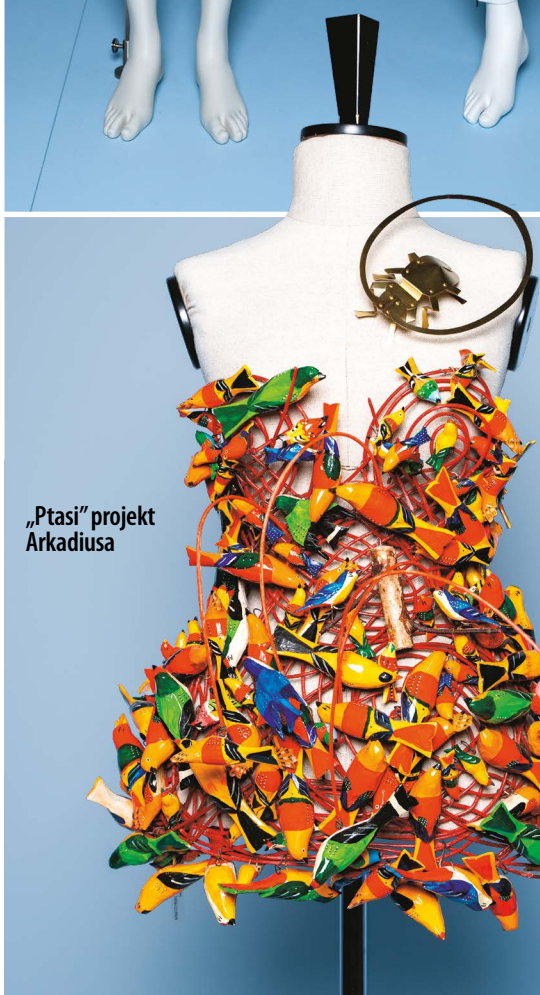
Stroje stworzone przez Jana F. Chodorowicza



Męska koszulka Kamila Wesołowskiego z „patriotycznym" napisem



Zestawy marki Marios z nadrukami homoerotycznych rysunków Karola Radziszewskiego



„Ptasi" projekt Arkadiusa

Poza nimi umiarkowany rozgłos na Zachodzie zyskało kilku innych Gruzinów, a także Kiko Kostadinov i Chopova Lowena z Bułgarii, wreszcie Sandra Sandor z Węgier, czyli słynna Nanushka, raczej niesławna, zważywszy na ujawnione niedawno powiązania finansowe z oskarżanym o defraudacje rządem Viktora Orbána, który – jak odkrył śledzący korupcję na Węgrzech portal Direkt36 – potrzebował takiej marki jako „narzędzia miękkiej siły w rękach autokratycznego reżimu".

W Polsce dotacje przyznawane są transparentniej. W tym roku, bodaj po raz pierwszy po 1989 r., polskich projektantów wsparło MKiDN. Na rozwój, na targi, na dokształcenie się, innowacje czy zorganizowanie pokazu mogli dostać od Instytutu Przemysłów Kreatywnych po ćwierć miliona złotych. Łącznie rozdysponowano 7 mln. Za poprzedniego rządu tylko jedna firma, „patriotyczne" Red is Bad, przytuliła pół miliarda złotych. Tyle że wtedy bez korzyści – ani dla mody, ani dla Polski.

MICHAŁ ZACZYŃSKI

Nowa moda polska. Kronika głębokich uczuć, Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, wystawa czynna do 3 maja 2027 r.

eprasa.pl 70e748f8f6



I ładnie, i brzydko

Dlaczego polskie place zabaw są brzydsze niż wybiegi dla psów, a nasze miasta trzeba „uwsiowić” – mówi Łukasz Harat, socjourbanista, twórca kultury miejskiej i miejski influencer.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: **– Czy Polska jest brzydka? Na Instagramie jest sporo kanałów, które obśmiewają nasz gust. Pan też trochę to robi.**

ŁUKASZ HARAT: – Social media żywią się skrajnościami – najlepiej klika się to, co wywołuje zaskoczenie, oburzenie albo huraoptymizm. Moim celem nie jest samo wyśmiewanie rzeczywistości, ale przede wszystkim prowokowanie do rozmowy. Poprzez materiały, które wywołują reakcję: „wow, co tu się właściwie wydarzyło?”, próbuję pokazać, że w Polsce mamy realne problemy, o których warto mówić otwarcie. Jednocześnie mamy ogromny potencjał, którym naprawdę można się chwalić.

Dla mnie Polska jest i ładna, i brzydka. Potrafi zachwycić, ale też zmęczyć, przytłoczyć i zirytować. Nie chodzi tylko o stronę estetyczną, ale też o nas samych, o to, jak chcemy żyć. Mam wrażenie, że sami do końca tego nie wiemy. Na pewno nie jesteśmy społeczeństwem cierpliwym, przesadnie uporządkowanym i dbającym o wspólne otoczenie. Zdecydowanie wygrywa w nas indywidualizm, który zamienia się często w zwykły egoizm.

Mamy tę samoświadomość?

Z różnych badań wynika, że sami siebie postrzegamy jako ludzi środka: niespecjalnie skrajnych, za to wyważonych i umiarkowanych. Ani nie szkodzimy otoczeniu, ani o nie szczególnie nie dbamy – tak nam się wydaje. A jednak mam wrażenie, że w kwestiach przestrzennych i estetycznych jesteśmy ekstremistami. Z jednej strony mamy w Polsce ogromną wrażliwość na piękno, są miejsca historyczne, o które potrafimy bardzo zadbać, do tego stopnia, że nie umiemy ich czasami przystosować do współczesności. Nie wolno np. zmienić kostki na rynku, bo to przecież „ta historyczna kostka”, a że nie jest dostępna dla osób, które mają kłopot z mobilnością – trudno. Z drugiej strony: jak już chcemy mieć samochody, to wszędzie. Jak chcemy budować domek, to taki, który będzie domkiem z naszych marzeń. Jak stawiamy reklamę, to krzykliwą i na całą elewację.

Stać nas?

Polska klasa średnia jest stosunkowo biedna. I my naprawdę „nie umiemy w pieniądze”. Nie znam w Polsce inwestycji, która zostałaby dobrze wyceniona, nieważne, czy mówimy o remoncie pokoju, czy o wielkich urbanistycznych założeniach. Zawsze na etapie planowania, projektowania czy wykonywania trzeba coś do tego garnuszka dołożyć. Ten problem przekłada się na jakość architektury i przestrzeni, w których później żyjemy.

Nie chciałbym być jednak tak surowy i sprowadzać tego wyłącznie do narodowych wad. Po prostu przez długi czas nie mogliśmy o sobie decydować i właśnie tu szukałbym źródeł wielu dzisiejszych problemów. Widać to szczególnie w planowaniu przestrzennym, które jest w totalnym rozkładzie. Powiedzmy sobie wprost: mamy kłopot z myśleniem dalekowzrocznym.

Nie chciałby pan od tego uciec? Mam wrażenie, że Polacy mimo wszystko lubią tu żyć. Albo inaczej: nie chcieliby mieszkać nigdzie indziej.

Lubię Polskę. Lubię te miasta, ten klimat, a zarazem widzę, że wyzwań jest dużo, i to też mnie jakoś nakręca. To nie znaczy, że nie lubię podróżować. Jestem tym typem podróżnika, który nie musi biegać z miejsca do miejsca, tylko lubi sobie usiąść przy kawie, a najlepiej matchy, i poobserwować, co się dzieje wokół,

© TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL, F. ZOBAWA/UM W GLIWICACH, ADAM SŁOWIKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 70e748f8f6





Zwężenie ul. Zwycięstwa w Gliwicach. Po prawej: **siedziba ZUS w Zduńskiej Woli. Państwo ma wyglądać na poważne, trwałe, a przy tym nowoczesne.**
Na sąsiedniej stronie: **plac zabaw dla dzieci we Wrocławiu.**

podoświadczać zjawisk miejskich, architektury, życia społecznego. Oczywiście na świecie w każdym większym mieście znajdziemy jakąś polską mniejszość, która układa sobie przestrzeń na swój sposób, adaptując ją do tego, co zna z ojczyzny.

Coś szczególnego pan zauważył w polskich mniejszościach za granicą?

Zaskoczyło mnie to, że apteki stały się centrami lokalnej społeczności: w Nowym Jorku, Londynie, Berlinie... Całe życie myślałem, że to kościoły pełnią taką funkcję. Ale za granicą najwyraźniej jednoczy nas ból.

Tworzy pan rankingi polskich osobliwości: dziwnych kościołów, najgorszych samowolek budowlanych, najbrzydszych domów jednorodzinnych... Ma pan na to papiery?

Dyplom z narzekania na polską przestrzeń wciąż jest w druku. Mówiąc zupełnie serio, zawsze miałem spory problem, żeby się jakoś jednoznacznie określić. Kilka lat temu ukułem sobie dwa określenia, które są mi najbliższe. Z jednej strony jestem twórcą kultury miejskiej – kimś, kto interesuje się miastem i próbuje je na różne sposoby animować. Z drugiej – myślę o sobie jako o socjourbaniście, bo bliskie jest mi bardziej badawcze, analityczne patrzenie na przestrzeń. Łączę tu podejście architektoniczne i społeczne, które pozwala mi widzieć miasto jednocześnie jako projekt i złożony organizm. To są dwie natury, które nie zawsze łatwo pogodzić.

Moja wirtualna działalność zaczęła się od TikToka o innowacyjnym jak na polskie warunki projekcie w Gliwicach: zawężeniu najważniejszej ulicy w mieście. Za ten projekt odpowiadała moja promotorka, urbanistka Agata Twardoch. Zobaczyłem, że w sieci błyskawicznie zebrała się duża społeczność, która po prostu interesuje się swoim otoczeniem i też chce o nim krytycznie rozmawiać.

A skąd się wzięły rankingi? Chyba z prostego doświadczenia, że właściwie w każdym mieście można znaleźć absurdalne historie: o patodeweloperce, samowolkach budowlanych czy kuriozalnych placach zabaw.

Polskie place zabaw zwykle są nieestetyczne, toporne.

Fatalne są, bardziej przypominają wybiegi dla psów. Chociaż nie, wybiegi są fajniejsze. Można odnieść wrażenie, że stawiamy byle jaki plac zabaw, żeby spełnić przykry ustawowy obowiązek: plac jest obowiązkowy, jeśli w bloku jest więcej niż 20 mieszkań. Nie wiem, czy to dobry przepis, bo powstają koszmarki. Ale deweloper może odnotować: plac zabaw jest. Albo siłownia, czytaj: pokój dwa na dwa metry z jednym hantelkiem.

Urzędy też w Polsce nie grzeszą urodą. Pan mi uświadomił, że ZUS straszy od wewnątrz, ale i z wierzchu. Czy to jakaś tajemnicza architektoniczna taktyka?

Myślę, że to nie jest przypadek. Z jednej strony powiedziałem wcześniej, że w Polsce nie umiemy rozmawiać o pieniądzach, a z drugiej mamy na ich punkcie wyraźną obsesję – zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodzą podatki i państwowe zobowiązania. To sprawia, że już na wejściu mamy określony stosunek do siedzib urzędów skarbowych czy ZUS.

Wygląd ZUS nie jest efektem żadnego architektonicznego spisku. Te budynki w dużej mierze powstawały w podobnym czasie i są portretem państwa, które bardzo chciało wyglądać na poważne, trwałe, a przy tym nowoczesne. Stąd tyle szkła, ciężkich brył, nadbudówek i rozwiązań, które miały komunikować autorytet. Widać w tych budynkach także polski lęk przed zwyczajnością. Bo urząd nie może wyglądać po prostu normalnie. Ma wyglądać instytucjonalnie, dostojnie. Najlepiej tak, żeby już z daleka było wiadomo, że wchodzi się do miejsca, które ma nad obywatelem przewagę.

To jest moim zdaniem absurdalne. Po transformacji państwo w wielu miejscach nadal chciało wyglądać jak twierdza, zamiast budować architekturę bardziej demokratyczną, przyjazną i opartą na zaufaniu.

W kategorii absurdy i tak wygrywają rozmaite patodeweloperskie pomysły i rozwiązania. Dziś nie da się po prostu podać adresu. Kiedy kogoś do siebie zapraszam, muszę narysować labirynt, a i tak nikt za pierwszym razem nie trafia. Jest jedna droga na skróty: przez śmietnik. Z osobnym labiryntem w garażach.

Rozmawiałem niedawno z pewnym architektem starszej daty, który stwierdził, że deweloperzy powoli się uczą i z czasem te przestrzenie staną się bardziej przyjazne. Zresztą w niektórych inwestycjach już to widać. Problemem jest proces projektowy. Trwa odwieczne przeciąganie liny: architekt często sądzi, że wie wszystko najlepiej, a deweloper myśli dokładnie to samo. Brakuje w tym wszystkim spojrzenia całościowego – ktoś osobno projektuje zieleń, ktoś inny wymyśla wayfinding (informacje pomagające zorientować się w przestrzeni – przyp. red.), a to powinno być dzieło zbiorowe. ▶

eprasa.pl 70e748f8f6

▶ Jestem umiarkowanym entuzjastą rozwiązań skandynawskich i absolutnego porządku w przestrzeni, ale to wymyślili świetnie: nie oddają inwestycji ukończonych w stu procentach, sprawdzają, jak się życie ułoży, i potem się do tego dostosowują.

My się lubimy wprowadzać „pod klucz".

No właśnie. A w Skandynawii np. nie wytycza się zawczasu chodników, tylko się obserwuje, którędy ludzie chodzą, gdzie powstają przedrepty, naturalne ścieżki. U nas kładzie się chodnik pod kątem prostym, a ludzie i tak chodzą na krzyż. I co z tego, że to z góry na obrazku ładnie wygląda – dla naszego użytkowania nie ma to absolutnie żadnego znaczenia.

Jeszcze mniej przyjazne do mieszkania są chyba zamki?

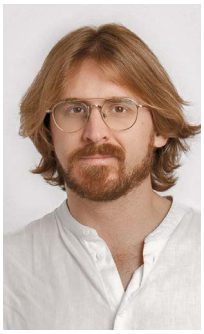
Kuba Snopek był niedawno kuratorem kapitalnej wystawy „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy". Tak się złożyło, że w tym samym czasie zrobiłem przegląd zamków mieszkalnych. Zasadniczo nic w tym złego. Kto w dzieciństwie nie chciał mieszkać w zamku? Tylko że znów się kłania system planowania przestrzennego, a raczej jego brak.

Spójrzmy na Austrię i Włochy. Zachwycamy się tymi miasteczkami, ich spójnością. Ale jeśli przyjrzymy się bliżej, zauważymy, że one nie są identyczne, budynki są różne, znajdą się nawet odpowiedniki naszych zameczków. Ale to wszystko powstaje w ramach jednego systemu, stąd poczucie, że jesteśmy w bardziej harmonijnej, uporządkowanej przestrzeni.

A może o mieszkaniu w zamkach marzą milenialsi, którym zarzuca się czasem zdziecinnienie?

Myślę, że częściowo tak. Tu często chodzi o aspiracje, o potrzebę pokazania sobie i innym, że stać nas na coś więcej, że możemy żyć bardziej, niż codzienność naprawdę na to pozwala. Zamek nie jest przecież tylko stylem architektonicznym, ale też pewną fantazją o prestiżu, wyjątkowości i awansie. Nie sprowadzałbym tego jednak wyłącznie do milenialsów ani do zdziecinnienia. To jest raczej szersza potrzeba społeczna – potrzeba symbolicznego podniesienia swojego statusu, czasem za pomocą form, które są przerysowane, teatralne albo po prostu oderwane od kontekstu.

Na pewno wszyscy chcą aspirować wyżej, niż mogą. Tylko miejmy jakiś wspólny język i wspólne zasady, bądźmy uważni. Prowadzę na Uniwersytecie Śląskim zajęcia o takiej dziwnej nazwie: Wyjście z komfortu. Studenci przez tydzień czule spacerują po mieście, odkładają telefony i patrzą na otoczenie zupełnie inaczej. Potem projektują komunikat wizualny, tekstowy i dźwiękowy, by uczulić innych ludzi na to, co im być może umyka. Powtórzyłem to ćwiczenie ostatnio w ramach wizji lokalnej na architekturze. Poszło znacznie trudniej. Oni mają powyrabiane takie schematy, że trudno im się od nich oderwać, otworzyć na myślenie wielozmysłowe, o którym głośniej się teraz mówi.



Łukasz Harat – twórca kultury miejskiej, socjourbanista, doktorant na Wydziale Architektury Politechniki Śląskiej, wykładowca na Uniwersytecie Śląskim; członek zarządu kolektywu antyRAMA, dyrektor festiwalu osób tworzących przestrzeń miejską A<FESTIVAL i niespiesznego festiwalu filmów o mieście FILM+MIASTO. Organizator ponad 600 interdyscyplinarnych projektów z zakresu architektury i socjologii, socjourbanistyki, edukacji kulturalnej. Instagram: haratlukasz. TikTok: @_haratam.

Z pana opowieści wynika, że zetki są uważniejsze na otoczenie niż starsze pokolenia.

Uważniejsze, może wrażliwsze na otoczenie. Nie chcą się też tak przebodźcowywać pracą, studiami też nie. Ja podczas studiów architektonicznych zarywałem nockę za nocką, oni tego nie robią. Covid ich przeorał, widać, że mają kłopot z relacjami. Może są uważniejsi, ale i mocno osadzeni w takim trybie znanych punktów: lubią być w domu, spotykać się z ludźmi nie tylko na żywo, ale i w sieci, wspólny spacer bez trudu może zastąpić symulator wycieczki w góry, z wirtualną kiełbasą i pianką nad ogniskiem.

Lepsze to niż „kiblopryszniс" i „mikrokawalerka", kolejne słowa z pańskiego słownika. Może coś zmieni trend demograficzny? Ubędzie nas, to się rozluźni.

Bez dwóch zdań. Ale niż uderzy przede wszystkim w Polskę powiatową. Gminy już pustoszeją, idea miasteczek 15-minutowych jakoś nie trafia, nomen omen, na podatny grunt. Mamy w Polsce tak, że lubimy mieszkać na uboczu, ale żyć jak najbardziej centralnie, dlatego sądzę, że duże miasta będą się coraz bardziej rozlewać. Wiele przy tym zależy od naszej polityki migracyjnej – w Polsce może ludzi ubywa, ale na świecie jest ich coraz więcej.

Z drugiej strony nie wierzę, że przyjadą do Polski ludzie z różnych stron świata po to, żeby zamieszkać, nie wiem, w Miedziance. To się nie wydarzy. Prognozowałbym raczej, że wszyscy będziemy się pchali na przedmieścia i to one się będą powiększać.

Czyli miasta będą się rozrastać kosztem gmin i wiosek?

Myślę, że wyzwaniem, które nas czeka, będzie „uwsiowienie" miast: żeby tu było więcej zieleni, żeby było spokojnie i zdrowiej. Dobrym przykładem jest rejon Reduty Ordona w Warszawie. To miejsce powinno pozostać parkiem, a nie grodzonym terenem prywatnym. Rzecz w tym, że osoby zarządzające naszymi miastami przeżywają istny *horror vacui* – boją się pustki. A czasem warto odpuścić i powiedzieć: OK, tu nic nie będzie stało, niech będzie dzikość.

Pana praca doktorska dotyczy innego miejskiego problemu: hałasu. Co pan ustalił?

Prawodawstwo jest zepsute od poziomu unijnego. Normy wymagają, żeby w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców monitorować hałasy, ale głównie te płynące z ruchu drogowego i przemysłu. Problem w tym, że te pomiary są uśrednione i niemal wyłącznie ilościowe, a dźwięk jest przecież także jakościowy. Odgłos motocykla może mieć podobny poziom decybeli co mocna ulewa, a jednak odbieramy go zupełnie inaczej: jako znacznie bardziej przenikliwy, drażniący i trudniejszy do zniesienia. Prawo jest niestety reaktywne, nie aktywne: widzimy problem i szukamy rozwiązania, zamiast mu zaradzić zawczasu. Myślimy: zrobimy remont ulicy, to nawierzchnia będzie cichsza. Albo stawiamy te okropne ekrany akustyczne, które działają de facto jak wyrzutnie, bo sprawiają, że może u nas jest cicho, ale huk słychać kilka kilometrów dalej.

Ze smogiem powalczyliśmy, bo był już realnie widoczny. Dźwięku nie widać. A słuch jest zmysłem zanikającym. Jesteśmy w 80 proc. okulocentryczni, coraz mniej sensoryczni, bo dotykamy głównie laptopów i telefonów, a nie faktur i całego naszego otoczenia. Coś z tym trzeba zrobić. Czy to będzie trudne? Będzie. Czy mnie to motywuje? Tak.

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 70e748f8f6



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Zbigniew Ziobro, amerykański komentator TV Republika, wystąpił na antenie 15 razy, z czego 12 razy mówił o sobie. To symptomatyczne. Najwybitniejsze dzieła Miłosza też powstały na emigracji.

●

Paweł Kukiz dołączy do Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego. Obaj panowie mają coś wspólnego. Jak Paweł odszedł z zespołu Piersi, to koledzy też się za niego wstydzili.

●

Dominika Tajner wraca do małżeństwa z Michałem Wiśniewskim: „Miał 11 mln długu". To ostateczny dowód, że pieniądze szczęścia nie dają.

●

Daniel Martyniuk wystąpi w programie TTV „Nasi w mundurach", w którym przejdzie szkolenie wojskowe. Od czasu bitwy pod Cecorą polskie wojsko nie przeżyło większego upokorzenia.

●

Greg Collins rozstał się z Sylwią Bombą. Gdy zmarł Fryderyk Chopin, to Norwid napisał piękny nekrolog. Poczytajcie. Bo tak się dziś czuję.

●

Skolim otworzył pensjonat w Międzyzdrojach. Inwestycję anonsował w piosence: „Dziś przychodzę z gestem i zobaczysz fragment nieba, poszukamy hotel i się tam będziemy je...ć".

●

To jest wiadomość roku. Kasia Cichopek i Maciej Kurzajewski rozstali się z Polsatem. A dokładnie Polsat z nimi. Szok. To jakby z Hrabiego Monte Christo wyrzucić i jednego, i drugiego.

●

Rafał Brzozowski się ożenił. Na weselu pojawił się kwiat dziennikarstwa Jacka Kurskiego. Spróbujmy jednak w tym dniu napisać coś miłego o Rafale. Na poprawinach wystąpił Norbi.

●

Monika Richardson, publicystka Silver TV, ujawnia, że polscy mężczyźni to półgłówki i kryptogeje oraz wieści, kto się w mediach skończył. I tu jej wierzę. W wieloletnim kończeniu się ma doświadczenie.

●

W minionym tygodniu Ewa Woydyłło rozegrała mecz życia z Igą Świątek. Spotkanie było jednostronne. Ewa popełniła wiele niewymuszonych błędów i spadła w klasyfikacji generalnej.



●

Nową jurorką w programie „The Voice of Poland" zostanie Edyta Bartosiewicz. Doskonały ruch. Ona jak mało kto wie, że czasami najgłośniejsze wołanie o pomoc jest nieme.

●

Po aferze Woydyłło/Świątek Karolina Korwin-Piotrowska wzywa do odpowiedzialności za słowa. Tym chętnej przypominam jej diagnozę: „90 proc. polskiego show-biznesu robi sobie lewatywy".

●

Julia von Stein, znana głównie z nieudanych operacji plastycznych, poinformowała naród o kolejnej operacji plastycznej. Co generalnie przeczy starej tezie, że twarz ma się tylko jedną.

●

Bez specjalnych ceregieli Karol Nawrocki ułaskawił kibola pana Starucha. W Ewangelii Łukasza Jezus też przebacza ludziom w sposób ogólny i całkowity.

●

„Zanim urodziła się Patrycja, był już ojcem. Grzegorz Markowski miał wtedy zaledwie 15 lat" – tradycyjnie fachowo donosi Plotek. Perfekcyjny fenomen płodności. Dwoje dzieci w wieku 15 lat.

●

Serwis informacyjny TV Republika pt. „Dzisiaj" stracił jedną trzecią widzów. Głównie z powodu tego, że większość redakcji tkwi we wczoraj.

●

Maja Hyży, prowadząc samochód z czwórką dzieci, folią na twarzy i psem na kolanach, nagrywała relacje na Instagram. Nie wiem, czy ją subskrybować, czy adoptować?

Prokuratura postawiła Dorocie Rabczewskiej zarzut promowania żelków, które miały wyleczyć chorobę Hashimoto. Ciekawy kierunek kariery. Częstsze wizyty w prokuraturze niż na listach przebojów.

© PRZEMYSŁAW NIJAKOWSKI/NEWSPIX.PL

eprasa.pl 70e748f8f6



Zemsta

Prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz osobiście zdecydował o odebraniu grantów młodym zawodnikom. Mają pecha, bo reprezentują związki sportowe, których władze uważa za wrogów.

MARCIN PIĄTEK

Julia Błaszczyk w lipcu skończyła 17 lat, jest jedną z najbardziej utalentowanych judoczek młodego pokolenia. Ma w dorobku medale międzynarodowych imprez, kilka miesięcy temu dwukrotnie zwyciężała w zawodach Pucharu Europy w swojej kategorii wiekowej. Na co dzień trenuje w klubie Orkan Sochaczew, zresztą pod okiem swojego wuefisty z liceum Macieja Cichockiego. Też był zawodnikiem, ale bez wielkich sukcesów, a po zakończeniu kariery odnalazł się jako pedagog.

Danuta Tym, rówieśniczka Julii, jest florecistką. W kwietniu przywiozła z Rio de Janeiro brązowy medal mistrzostw świata kadetek w szermierce, pokonawszy rywalki ze świetnych szkół fechtunku – amerykańskiej i włoskiej. Był to jedyny medal reprezentacji Polski na tej imprezie. Dwa miesiące wcześniej zawodniczka Warty Poznań wraz z koleżankami zdobyła wicemistrzostwo Europy. Polki pokonały po drodze faworyzowane Francuzki, w finale nieznacznie przegrały z Włoszkami.

Inni 17-latkowie, Katarzyna Rajkowska i Patryk Żyworonek, marzą o sukcesach w tenisie stołowym, niezrażeni faktem, że układ sił w tej dyscyplinie sportu jest następujący: Chiny i długo nikt (choć Francja i Szwecja sygnalizują, że Europa nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa). Kasia i Patryk startują w singlu, ale spróbowali też gry mieszanej. Z powodzeniem, bo nieco ponad rok temu zdobyli złoto na Olimpijskim Festiwalu Młodzieży Europy.

Lista dyscyplin zakazanych

Niedawno młodzi sportowcy otrzymali granty – trzy po 10 tys. dol. – fundowane przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl). Środki pochodzą z programu Youth

© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 70e748f8f6

dla sportu

Athlete Development i – jak sama nazwa wskazuje – są przeznaczone na rozwój karier młodych zawodników, w tym przypadku przede wszystkim z myślą o Młodzieżowych Igrzyskach Olimpijskich, które odbędą się jesienią w Dakarze. Można z nich sfinansować m.in. podróże, przygotowania, sparingi, sprzęt, ubezpieczenie. Wszystko, co wiąże się z profesjonalnym uprawianiem sportu, bo młodzi zawodnicy trenują już na wysokich obrotach.

Dla związków sportowych przelewających z pustego w próżne, jeśli chodzi o sport młodzieżowy, taki zastrzyk finansowy jest niebagatelny. Pieniądze niekiedy leżą na ulicy – choćby właśnie z budżetu MKOl – ale nie wszystkim działaczom chce się po nie schylić. Nie radzą sobie z angielskim i ignorują instrukcje, żeby wypełnić wnioski po polsku, a tłumaczeniem zajmą się pracownicy Polskiego Komitetu Olimpijskiego (PKOl). Za dużo fatygi.

Tym razem odzew zgłosiło tylko pięć związków, z jedenastu uprawnionych. Do wyłonienia beneficjentów powołano wewnętrzną komisję w PKOl, złożoną również z medalistów olimpijskich, otrzymała dobrze uzasadnione wnioski. Aby nie rozdrabniać i tak stosunkowo niewielkiej kwoty 30 tys. dol., postanowiono, że granty dostaną przedstawiciele trzech dyscyplin sportu. – *Do MKOl trafiła informacja, jakie ma być przeznaczenie tych pieniędzy, nadeszła odpowiedź zwrotna z aprobatą. Poinformowano związki, że wkrótce otrzymają te środki* – opowiada W., osoba zorientowana w sytuacji.

Każdy kolejny miesiąc na stanowisku prezesa PKOl to dla Radosława Piesiewicza 58 tys. zł.

Łukasz Mandes, dyrektor sportowy Polskiego Związku Szermierczego: – *Przekazaliśmy Danucie, że będzie mogła skorzystać z tych pieniędzy. Bardzo się ucieszyła, jej trenerzy wpisali do harmonogramu zagraniczne zgrupowania, na których jest możliwość sparingów z zawodniczkami ze światowej czołówki. To bezcenne doświadczenie.*

Plany miała również judoczka i pingpongowy duet. Dobry występ na dakarskich igrzyskach to dla nich jeden z ważniejszych tegorocznych celów. Radość trwała krótko. Środki trafiły na konto PKOl i tam utknęły. – *Piesiewicz się takimi sprawami nie interesuje, ale jakoś doszło do niego, że pieniądze ma dostać judoczka. A on nie znosi prezesa judo Krzysztofa Wiłkomirskiego. Bo Wiłkomirski stara się za wszelką cenę doprowadzić do usunięcia Piesiewicza przed końcem jego kadencji przypadającym na wiosnę 2027 r. Piesiewicz poinformował więc pilotujący kwestię przyznania grantów dział projektów olimpijskich, że judo na pewno pieniędzy nie dostanie* – opowiada W.

Szermierka również jest już wpisana na czarną listę Piesiewicza. Wiceprezes szermierczego związku Adam Konopka w 2023 r. był jednym z największych entuzjastów wyboru Piesiewicza na szefa PKOl, rozpalony wizją 300 mln zł, które kandydat obiecywał załatwić ze spółek Skarbu Państwa dzięki świetnej komitywie z Jackiem Sasinem, ówczesnym szefem Ministerstwa Aktywów Państwowych. Jednak jesienią 2023 r. Prawo i Sprawiedliwość niespodziewanie musiało oddać władzę i możliwości Piesiewicza się skurczyły, a gdy wyczuł, że polityczny grunt usuwa mu się spod nóg, próbował chybcikiem przeforsować ponaddwukrotne wydłużenie kadencji. Udało się to zablokować z dużym trudem, ale część działaczy, którzy wynieśli Piesiewicza do władzy w PKOl, zmieniła front. Wśród nich był Konopka.

Pingpongiści zostali skreśleni, bo słychać, że również kierownictwo tego związku sportowego dołączyło do antyprezesowskiej opozycji. Osobista interwencja Piesiewicza wstrzymująca młodzieży dofinansowanie wywołała szok. Choć już wcześniej dał dowód swojej mściwości, przyczyniając się do zwolnienia pracownika, który w czasie igrzysk olimpijskich w Paryżu ośmielił się podrzucić do hotelu ówczesnego ministra sportu Sławomira Nitrasa. A ten otwarcie krytykował prezesa PKOl i zapowiadał usunięcie go ze stanowiska.

Łukasz Mandes: – *Dostaliśmy z PKOl krótką informację, że grant został cofnięty, a środki będą przeznaczone na inne cele. Dla Danuty to wielkie rozczarowanie.*

Krzysztof Wiłkomirski, prezes Polskiego Związku Judo: – *Pan Piesiewicz może mnie nie lubić, ale dlaczego odgrywa się na zawodniczce?*

Rykoszetem dostała też szefowa działu projektów olimpijskich Dorota Goś, pracująca w PKOl od 20 lat. – *Ciekawe, kto wskoczył na miejsce Doroty: jej podwładna, Joanna Lewicka, swego czasu zatrudniona w kancelarii prezydenta Dudy. Do PKOl dwa lata temu wkręcił ją ponoć Marcin Mastalerek* – opowiada W.

Gdzie się podziały te miliony?

Radosław Piesiewicz trwa na stanowisku prezesa PKOl, choć większość środowiska sportowego (także ci działacze, którzy ponad trzy lata temu utorowali mu drogę do władzy) ma go serdecznie dość. 15 czerwca odbyło się walne zgromadzenie w PKOl, a podjęte na nim uchwały wskazują, że środowisko sportowe uważa Piesiewicza za szkodnika i uzurpatora. W głosowaniach odrzucono bowiem sprawozdanie finansowe komitetu za rok 2025 i nie udzielono władzom absolutorium. Co więcej, przytłaczającą większością głosów przyjęto uchwałę wzywającą Piesiewicza do ustąpienia oraz kolejną – obligującą go do zwołania nadzwyczajnego walnego zgromadzenia, podczas którego mają zostać poddane pod ▶

eprasa.pl 70e748f8f6



© ARCHIWUM

17-letnia Danuta Tym (z prawej)**, florecistka i brązowa medalistka, wiązała plany z grantem z MKOl. Ale władze związku szermierki dołączyły do antyprezesowskiej opozycji i pieniądze przepadły.**

▶ głosowanie wnioski o odwołanie dotychczasowych władz i wyłonienie nowych.

Piesiewicz miał na wykonanie tych uchwał 30 dni, ale nic nie zrobił. Gra na czas, bo zaplanowane wybory mają się odbyć wiosną 2027 r. A każdy miesiąc na stanowisku to dla niego 58 tys. zł. Podwyżkę zapewnili mu zresztą niedawno, po zimowych igrzyskach w Cortina d'Ampezzo, sami działacze. Również ci, którzy teraz deklarują gotowość jego odwołania. Przejrzeli na oczy, gdy na początku kwietnia wybuchła afera Zondacrypto, platformy kryptowalutowej, której władze z dnia na dzień zapadły się pod ziemię, zostawiając za sobą tysiące poszkodowanych. Kilka miesięcy wcześniej Piesiewicz zrobił z Zondacrypto głównego sponsora PKOl, niepomny na medialne doniesienia alarmujące, że ten biznes został sfinansowany z pieniędzy gangsterów.

Prezes imał się różnych sposobów, by pozyskać pieniądze, bo grając swoją ulubioną rolę hojnego wujka polskiego sportu, obiecał olimpijskim medalistom rekordowe nagrody, a potem się okazało, że w kasie PKOl brakuje na to środków. Jego jedynym, obok chwilowego kryptowalutowego sponsora, mocnym źródłem wpływów było województwo lubelskie, gdzie rządzi PiS. W podzięce za przekazanie przez władze tamtejszego urzędu marszałkowskiego dla PKOl niemal 11 mln zł Piesiewicz przeniósł do Lublina coroczny piknik olimpijski, odbywający się od zawsze na warszawskiej Kępie Potockiej, nieopodal siedziby PKOl. A pisowscy samorządowcy z lubelskiego dostali możliwość wycieczek na koszt podatnika na wielkie imprezy, w tym również igrzyska.

Na początku swojego panowania w PKOl Piesiewicz miał jeszcze dopływ milionów ze spółek Skarbu Państwa zapewniany przez układ z Sasinem. Kurek zakręcono wkrótce po przegranych przez PiS wyborach, ale 66 mln zł trafiło na konto komitetu. Gdzie się podziały te pieniądze, nie do końca wiadomo. 13 mln zł Piesiewicz wydał na wynajęcie podczas igrzysk w Paryżu pałacyku, który przemianował na Dom Polski i obsadził się, wespół z małżonką, w rolach pozujących na arystokratów gospodarzy. 3 mln zł polecił zapłacić znanej sobie z czasów prezesowania w koszykówce firmie informatycznej Flower Interactive za stworzenie systemu dla wolontariuszy, choć przecież komitet na co dzień z ich pomocy nie korzysta. Gdyby tylko 16 mln zł wydanych w ten sposób przeznaczyć na stypendia o wartości odpowiadającej grantom zapewnianym przez MKOl z programu Youth Athlete Development, wystarczyłoby na turbodoładowanie 420 młodych karier.

Czekając na powrót PiS

Radosław Piesiewicz nie tylko zniszczył reputację Polskiego Komitetu Olimpijskiego i sprawił, że poważny biznes trzyma się od tej instytucji z daleka, ale również cofnął ją w rozwoju. – *Większość programów edukacyjnych umarła śmiercią naturalną, bo nie ma na to środków. Z istniejącego przez lata działu współpracy międzynarodowej i projektów sportowych ostał się tylko dział projektów olimpijskich, ten, który wywrócono do góry nogami w związku z cofnięciem grantów. Relacje międzynarodowe kompletnie ustały, prezes nie bywa i nie zaprasza, bo fatalnie mówi po angielsku. W olimpijskim środowisku międzynarodowym Piesiewicz jest nikim. A mamił Andrzeja Dudę, że załatwi mu posadę w komitecie wykonawczym Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego* – opowiada W.

Piesiewicz jednak nie ma sobie nic do zarzucenia, a podjęte na niedawnym walnym uchwały skontrował, kierując na policję zawiadomienie o nieprawidłowościach podczas głosowania. Przedstawiciele opozycji na dniach mają ustanowić pełnomocnika, który wystąpi do prezydenta Warszawy – jako organu nadzorczego PKOl – z wnioskiem, by wezwał prezesa PKOl do wykonania wniosków większości. Jeśli Piesiewicz i to zignoruje, prezydent Warszawy może wystąpić do sądu o ustanowienie w PKOl komisarza, który będzie mieć pół roku na zorganizowanie wyborów.

Jednak środowisko sportowe wydaje się mieć problem z wyłonieniem kandydata ponad podziałami. Na prezesurę miałby ochotę czterokrotny mistrz olimpijski w chodzie Robert Korzeniowski, ale jest mało lubiany, bo uchodzi za nieco aroganckiego. Niektórym potencjalnym kandydatom, jak mistrz olimpijski w wioślarstwie Adam Korol czy mistrz olimpijski w gimnastyce Leszek Blanik, może zaszkodzić zarówno uwikłanie w politykę (byli posłami z ramienia PO), jak i poparcie dla Piesiewicza cztery lata temu. Ten grzech ma na sumieniu większość obecnych działaczy PKOl, jak również obecny wiceprezes komitetu i szef Polsatu Sport Marian Kmita, człowiek Zygmunta Solorza.

Do ewentualnych przyspieszonych wyborów może dojść już w nowym roku. Tymczasem i tak są zaplanowane na kwiecień zgodnie z kalendarzem PKOl. Znając tupet Piesiewicza, można się spodziewać, że wystartuje ponownie, zwłaszcza jeśli zarysuje się wizja obalenia obecnego układu w polityce, bo oportunistyczni do bólu działacze sportowi mogą głosować z myślą o powrocie PiS do władzy.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 70e748f8f6

FELIETON

Koziołek



Jestem Warszawiakiem

Modulowany czy ciągły? – pytałem sąsiadkę niepewny, czy dźwięk syreny ma mnie przestraszyć, czy uspokoić.

– Modulowany. Ale pan się nie boi, to na pamiątkę powstania warszawskiego. Siedemnasta jest – uspokoiła mnie.

– Oby się nam kiedyś nalot nie pomieszał ze świętem – zażartowałem ponuro. – A pani czci czy ubolewa?

– Nie umiem się zdecydować, od kiedy polonista w liceum zamiast tematu lekcji o powstaniu podyktował nam ten wierszyk:

„Sto tysięcy bez pałasza,
Trzysta dziewcząt w bieli,
I krzyknęli: »Dobra nasza!«,
I wszyscy zginęli".

Słynne zdanie „Jestem Berlińczykiem" John F. Kennedy wypowiedział dwukrotnie podczas tego samego przemówienia w Berlinie Zachodnim 26 czerwca 1963 r. Była to – od zakończenia drugiej wojny światowej przez ponad 40 lat – większa część Berlina, należąca do Republiki Federalnej Niemiec. Zachodnią część dzieliło od granic RFN co najmniej 200 km. Całe miasto, podzielone murem w 1961 r., otaczała Niemiecka Republika Demokratyczna, łup wojenny Związku Radzieckiego. Do Berlina Zachodniego można było się dostać korytarzami powietrznymi, kolejowymi i drogowymi, kontrolowanymi przez władze komunistyczne. Kennedy był pierwszym prezydentem, który odwiedził Berlin Zachodni po zbudowaniu muru. Nazwał się Berlińczykiem, wyrażając solidarność z mieszkańcami miasta. Najpierw powiedział, że jest dumny z duchowego obywatelstwa, które porównał do bycia obywatelem starożytnego Rzymu. A potem dumę powiązał z wolnością: „Wszyscy wolni ludzie, gdziekolwiek żyją, są obywatelami Berlina i tym samym ja jako wolny człowiek z dumą mówię »Jestem Berlińczykiem!« (*Ich bin ein Berliner*). Niby piękne. Jednak dziś wolałbym, żeby powiedział wówczas: *Ich bin Ost und Westberliner* (Jestem wschodnim i zachodnim Berlińczykiem); żeby pomyślał również o dumie i wolności tych za murem.

> To najbardziej kameralne powstanie, ale i najbardziej polskie. Chorujemy na nie dwubiegunowym afektem dumy i rozpaczy.

Porównywać Warszawę z Berlinem w kolejną rocznicę powstania wydaje się niemal bluźnierstwem. A jednak, mielącego w głowie kolejny raz argumenty o sensie i bezsensie powstania, tknęła mnie nagle ta analogia wywiedziona z prezydenckiego przemówienia. Dwa miesiące 1944 r. rozpołowiły Warszawę na dwa miasta; zwłaszcza po 13 września, kiedy Pragę zajęli Rosjanie.

Tymczasem lewy brzeg Wisły od 1 sierpnia zrobił się nagle wolnym miastem. Stefan Wiechecki „Wiech" pisał we wspomnieniach, jak mieszkańcy wzruszali się faktem, że starosta powstańczy może kogoś wsadzić do aresztu za naruszanie porządku publicznego. „Niejeden autochton, odczytawszy rozporządzenie, rzekł do drugiego wzruszonym głosem: – Chociaż szkopy naobkoło, polski starosta w razie zabradziażenia spokoju do polskiego mamra może szanownego pana wsadzić! – I zgiętym palcem wskazującym otarł łzę z powieki" („Powstanie zmieniło wszystko").

Z wielu powstańczych wspomnień przebija euforia absurdalnej wolności. Absurdalnej, ponieważ nie miała sensu. Była buntowniczą proklamacją woli godności i samostanowienia wobec imperialnych potęg hitlerowskich Niemiec i stalinowskiej Rosji, czyli obojętnego na ludzkie tęsknoty wszechświata. Los powstania był przesądzony od początku. A mimo to Syzyf czy raczej Hiob postanowił być szczęśliwy, to jest wolny i radosny. Powstańcy odważyli się być wolni w epicentrum zniewolenia. Nie chcieli czekać na reglamentowaną wolność realnego socjalizmu na prawach sowieckich, które właśnie ustanawiały się na Pradze. Wzięli ją sobie całą sami, choć tylko na chwilę. I zapłacili za tę chwilę życiem kilkunastu tysięcy powstańców i dwustu tysięcy cywili.

Pierwszy raz przyjechałem do Warszawy późno, w wieku 19 lat. Przyjechałem do „swojego" miasta, którego nie było na żadnej mapie. Jego topografię wytłoczyli w moim umyśle: Prus, Tyrmand, Wiech, Przybora, „Wojna domowa", „Czterdziestolatek"... Ale najbardziej literatura powstańcza. Choć to najbardziej kameralne powstanie, to jest też być może najbardziej polskie. Wszyscy chorujemy na nie dwubiegunowym afektem dumy i rozpaczy.

Dziś myślę o powstaniu to, co mówi pan Rystek u fryzjera, że „za złe słowo o chłopakach i dziewczynach w mordę mogę dać, ale żeby uważać, że tak powinno być, że to normalne... No nie, nie. Szesnaście lat chłopak to powinien w piłkę grać, uczyć się, dziewczynom kwiaty zrywać, a nie patrzeć na śmierć, na gówno, na to, jak miasto sześćset lat budowane w miesiąc się zmienia w rumowisko". (Paweł Sołtys, „Monolok"). Tak to widzi mój zrozpaczony rozum. Przecież jakaś jego część pojmuje i podziela uśmiech na wielu twarzach z powstańczych fotografii.

W każdym sierpniu jestem Warszawiakiem. Chcę być wolny i radosny. I nie chcę za to umierać. Bo wtedy co mi po tym? Jestem miasto rozpołowione.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 70e748f8f6

FELIETON

Witkowski



Solaryści

Niewykluczone, że felieton w POLITYCE to nienajlepsze miejsce, by werbować członków nowego ruchu religijnego. Cóż jednak szkodzi spróbować? Tym bardziej że mówimy o sprawach najwyższych. Niniejszym otwieram zapisy do sekty Słońca Niezwyciężonego, alternatywnie: Rycerzy Niepokalanego Heliosa. Nazwę doprecyzujemy już po zebraniu składek, z czasem rozpoczniemy też starania o to, by media nie nazywały nas sektą. Zgłoszenia przyjmuję na swoim Instagramie (imię i nazwisko pisane razem oraz liczba 89).

„Ach, ci głupi poganie!" – zwykliśmy mawiać, a przynajmniej myśleć. Wróżą ze zwierzęcych podrobów, składają bogom ofiary, modlą się do kamieni. Dzicz. Pominę jednak fakt, że gdy lekko poskrobiemy po powierzchni lub zredukujemy rzecz do czystego konkretu, każda z wielkich religii wyda się niczym więcej niż kompilacją absurdów. Tak czy siak, coś z tymi poganami było na rzeczy. Ot, takie na przykład kulty solarne. Wyjdźmy w słoneczny dzień przed dom lub blok, spójrzmy w górę, byle w ciemnych okularach z odpowiednim filtrem. I co? Jak tu się nie ugiąć w obliczu jego, to jest Słońca, nieprzemożonej glorii? Jak nie roztkliwić się pod wpływem jego dobrotliwego ciepła, nie pisać pieśni na cześć fotosyntezy?

A jednak! Zdecydowanie zbyt dużą część trwającego lata poświęciłem na dyskusje z jesieniarsko-zimiarskimi bojówkarzami. Znam ci ja te argumenty, jestem zbrojny w riposty, ale i gotowy na znikomy skutek, jaki przyniosą. Mamy za sobą głównie deszczowy i chłodnawy lipiec, jesieniarzom jednak ciągle mało. W swoich kufajkach i traperach czekają tylko na to, by zadać cios ciepłolubnym. Ledwo uderzyło skwarem, a zaczął się coroczny oberek narzekań: „Dajcie spokój, co to za pogoda? Żyć się nie da", „Ja rozumiem, słońce, ale gdyby tak było 18 stopni Celsjusza przez całe lato, to byłbym zachwycony", „Czy ja jestem Grekiem, żeby znosić taki ukrop?".

> Skupmy się na istotach jeszcze potężniejszych niż Donald Tusk. Bądź pozdrowione, o Słońce Niezwyciężone!

I rzeczywiście, o helleńskim czy turecko-perskim rodowodzie Polaków wiadomo niewiele. Pewne jest jednak, że należymy wszyscy do tego samego gatunku zwierząt, któremu przydaje się witamina D. W niewielu kwestiach jestem w stanie się zgodzić z Kazikiem Staszewskim. Ale z tym, że „Polacy są tak agresywni, a to dlatego, że nie ma słońca nieomal przez siedem miesięcy w roku, a lato nie jest gorące" – jak najbardziej. Tymczasem litania żalów pod adresem Heliosa/Sola (czy też zwyczajnych blasfemii, bo to bezceremonialne lżenie bóstw!) sugeruje, że Polacy nawiązali z niepogodą relację spod znaku syndromu sztokholmskiego. Owszem, tezy w rodzaju „gdyby tak było słoneczne 18 stopni" stanowią jakiś rodzaj kompromisu, ale kochani, to nie koncert życzeń. Z pogodą nie ma miękkiej gry.

Przekonujemy się o tym z nawiązką. Pragnę zapewnić, że pośród licznych wad, jakie posiadam, nie znajdą państwo bycia denialistą klimatycznym. Również martwi mnie los planety czy też bliskich i całkowicie dalekich przedstawicieli starszego pokolenia, dla których tropikalny upał może okazać się zabójczy. I nie, nie zawsze trafiały się nam latem takie temperatury, jak przekonują nas twitterowi klimatolodzy w typie Łukasza Warzechy. Nie tu tkwi jednak sedno wojny solarystów z jesieniarzami. Ci drudzy ruszają z ofensywą już w momencie, gdy na ich ciele pojawi się pierwsza strużka potu, na przykład przy 23 stopniach. Na dodatek grzęzną w mrzonkach. Wobec argumentu, że za chwilę nastanie wielomiesięczna plucha, mówią coś o „polskiej złotej jesieni", która istnieje przecież wyłącznie w reklamach towarzystw ubezpieczeniowych. Do tego zwyczajni z nich hipokryci, bo potem wracają znad Bałtyku i jęczą, że cały czas padało i że za te pieniądze to mogli sobie polecieć na Korfu. Tymczasem macie, czego chcecie, było nie igrać z bóstwem.

Wróćmy jednak do klimatu, bo nawet najbardziej twardogłowy solarysta musi podejść do sprawy odpowiedzialnie. A sprawa jest na tyle poważna, że pochylił się nad nią sam prezes Rady Ministrów. W rolce na Instagramie apelował do pracodawców, aby zadbali o podwładnych i wyposażyli pomieszczenia w klimatyzatory i wentylatory. Świetny pomysł, choć coś mi mówi, że lider partii rządzącej, która działa w większościowej koalicji, ma również moc regulowania prawa i w ślad za apelem w mediach społecznościowych mogłoby jeszcze pójść ustawodawstwo. Z innych ciekawych konceptów: mordercze upały rymują się z darmową zimną wodą z kranu w restauracjach (ciepła woda w kranie już jest!). A mieszkańcom ośrodków turystycznych umiliłoby pewnie lato uregulowanie kwestii Airbnb i przerabiania mieszkań na lokale wielkości pudełka po butach. Pozdrawiam z Krakowa.

Niby było o słońcu, a i tak skończyło się na Tusku i Platformie. Skupmy się więc na istotach jeszcze potężniejszych niż Donald Tusk: Ave Sol Invictus! Bądź pozdrowione, o Słońce Niezwyciężone! A ty, Konstantynie Wielki, który zdegradowałeś je w 312 r., wstydź się i niech ci tam leje jak z cebra na wieczność, gdziekolwiek jesteś.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 70e748f8f6



Miasto chorych

Teren jest duży, ogrodzony i dobrze widoczny. Leży przy skrzyżowaniu ruchliwych ulic w południowej dzielnicy Warszawy. Łatwo tam trafić – metalowy słup energetyczny podtrzymujący napowietrzną linię wysokiego napięcia widać już z daleka. Na kompleks składa się główny korpus z wielopiętrową częścią centralną, oddalony od niego niski budynek, ponadto miejsca postojowe na świeżym powietrzu i zadaszony parking o kilku kondygnacjach. Niczego tu nie brakuje: na zewnątrz działają pizzeria i sklep z akcesoriami, na terenie znajduje się apteka, a w głównym korpusie – mała gastronomia, toalety i paczkomat. Ruch jest tu zawsze nasilony: jedne samochody wjeżdżają, drugie wyjeżdżają, ludzie wchodzą i wychodzą, każdy dokądś dąży. Mimo pozorów chaosu wszyscy poruszają się po ściśle określonej trajektorii, prowadzącej ich w miejsca, do których powinni dotrzeć.

Tym miastem w mieście jest Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie. Wszyscy się go boją, przynajmniej na początku. Omija się go, dopóki można, także wzrokiem. Z obawy, że rzucone nań spojrzenie sprawi, że w magiczny sposób obiekt ten dostrzeże nas. Przyciągnie do siebie, uzna za swoich. Że to, co się tam dzieje, zacznie nas dotyczyć osobiście. Mówiąc najprościej – obawiamy się, że zachorujemy. I spora część z nas rzeczywiście zachoruje, nawet jeśli ani razu nie spojrzała na Centrum Onkologii. Według danych Krajowego Rejestru Nowotworów w Polsce notuje się rocznie ok. 190 tys. zachorowań na nowotwory złośliwe i liczba ta z roku na rok rośnie. Obecnie z chorobą nowotworową zmaga się około 1,17 mln Polek i Polaków. Oznacza to, że ok. 440 osób na każde 100 tys. ma zdiagnozowany nowotwór złośliwy. Jedni wychodzą z choroby, innym się nie udaje. Na raka umiera co roku ok. 100 tys. osób. Jest on przyczyną ponad jednej czwartej zgonów w Polsce.

> Gdybym miała chorować, to wyłącznie tam. Nie tylko dlatego, że kadra jest fachowa, a „szybka ścieżka" naprawdę działa.

Niedawno byłam zmuszona przekroczyć bramę miasta chorych. Przesiewowa mammografia, którą w tym roku wykonałam po raz pierwszy w Centrum Onkologii, ujawniła zmianę w kształcie promienistej blizny (*radial scar*). Było ją widać na zdjęciach rentgenowskich już dwa, cztery i sześć lat temu i od tamtej pory nie urosła, więc teoretycznie można by uznać, że nie ma problemu. Jednak w Centrum wierzą tylko we własne badania, a ponadto zmiany w takim kształcie jak u mnie zawsze traktuje się tam jako alarmujące. Wyglądają niewinnie, ale z biegiem czasu lubią zezłośliwieć. Najpierw zostałam więc zaproszona na uzupełniające badanie USG, a zaraz po nim, godzinę później, na biopsję gruboigłową w głównym budynku. Kiedy wypisano mi kartę pacjentki z numerem 1 774 589, poczułam, że od tej chwili nie odpowiadam już z wolnej stopy. Miejsce uznało mnie za swoją.

Chorowanie w ogromnej mierze składa się z czekania. Przed biopsją musiałam się spotkać z chirurgiem, zasiadłam więc w kolejce do gabinetu. Czasu było dość, by odżyły niedobre wspomnienia stąd, kiedy 20 lat temu chorowała moja matka. Chciało mi się płakać. Było tłoczno i duszno. Pełen przekrój społeczny oraz wiekowy. Bladość i spowolnione ruchy. Dużo wózków inwalidzkich. Kobiety w chustkach, rzadziej w perukach. Wyglądający spod luźnego opatrunku krwawy oczodół przechodzącego korytarzem mężczyzny. Tu i tam rozmowy o wlewach, gdzie indziej ciężkie milczenie. Pacjentki wychodzące z gabinetów z diagnozą wypisaną na twarzy. Towarzyszące im bezradne córki.

Ten pierwszy raz był straszny, ale później zaczęłam dostrzegać, że jednak wiele się zmieniło. Przed gabinetem chirurga zasiadłam znowu, kiedy pojawiły się wyniki biopsji. Były dobre, zmiana łagodna, ale jednak *radial scar*, więc do wycięcia. W szpitalu spędziłam trzy dni, później przychodziłam co tydzień na kontrolę rany. Wszędzie za każdym razem to samo zaskakujące spostrzeżenie – nigdzie indziej obcy ludzie nie są wobec siebie tak uważni, pomocni i życzliwi jak tu. Pacjenci bardzo się starają nie przekraczać granicy cudzej prywatności, nikt się na nikogo nie gapi, a mimo to zawsze widzą, kiedy komuś potrzebna jest pomoc. Ustępują miejsca cięższej chorym, wskazują drogę zagubionym w labiryncie ogromnego szpitala, niepytani informują, że do pobrania krwi potrzebny jest numerek i skąd go wziąć.

Ta solidarność chorujących łata luki w systemie. Naszą polską słabością jest nieumiejętność projektowania instytucji z punktu widzenia potrzeb użytkownika. Widać to na każdym kroku, Centrum nie jest wyjątkiem, ale tylko tam ludzie tak żywiołowo pomagają sobie nawzajem.

Nie odbyłam jeszcze końcowej rozmowy z lekarzem, ale na IKP jest już wynik mojej histologii. Wygląda na to, że jest dobrze. Jednak gdybym miała chorować, to wyłącznie tam. Nie tylko dlatego, że kadra jest fachowa, pielęgniarki wspaniałe, a „szybka ścieżka" naprawdę działa. Centrum Onkologii jest miejscem pełnym życia i ludzkiego ciepła (i pięknych kwiatów!). Nie trzeba się go bać. Miasto chorych pokazuje, jak wszyscy powinniśmy odnosić się do siebie na co dzień.

RENATA LIS

eprasa.pl 70e748f8f6

O ironio – czyli o nieoczekiwanych aspektach wizyty Zełenskiego w Lublinie

Siedzę sobie spokojnie przed telewizorem i słucham transmisji z przybycia prezydenta Zełenskiego do Lublina. W pewnym momencie reporter informuje nas, że kawalkada pojazdów wioząca prezydenta Ukrainy zmierza ulicą Jerzego de Tramecourta do przyległego Urzędu Wojewódzkiego, by spotkać się tam z Donaldem Tuskiem.

Przeżyłem szok. Jako historyk sztuki badający obrazoburstwo, ale też obeznany ze stosunkami polsko-ukraińskimi, znałem pobieżnie postać majora de Tramecourta, od września 1937 do września 1939 r. wojewody lubelskiego. W 1938 r. nadzorował i niekiedy sam przeprowadzał haniebny proces burzenia cerkwi i cerkiewek na Chełmszczyźnie i południowej Lubelszczyźnie. Jak chwalił się w sprawozdaniu złożonym rządowi w Warszawie, w ciągu tylko 60 dni 1938 r. rozebrano lub całkowicie zniszczono 127 cerkiewek (patrz: Paweł Smoleński „Przecież nikt przy burzeniu tych cerkwi nie zginął", „Gazeta Wyborcza", 2008 r.)

Akcja ta niesłychanie wzburzyła społeczność prawosławną i ukraińską w II Rzeczpospolitej. Jej dalekosiężne, zatrute owoce zebraliśmy *mutatis mutandis* w masakrach wołyńskich roku 1943. Również na innych polach działalności de Tramecourt reprezentował w napiętej sytuacji ostatnich lat przedwojennych niesłychanie krótkowzroczne stanowisko antyukraińskie.

A teraz wozimy prezydenta Zełenskiego, któremu samemu zarzucamy kult „bohaterów UPA", ulicą nazwaną nazwiskiem wyjątkowo obrzydliwego sanacyjnego ukrainożercy. A gdyby to Zełenski wysiadł nagle z samochodu i zażądał od strony polskiej – posługując się opaczną dialektyką Karola Nawrockiego – w imię ochrony „godności i dumy" narodu ukraińskiego zmiany szyldów ulicy?

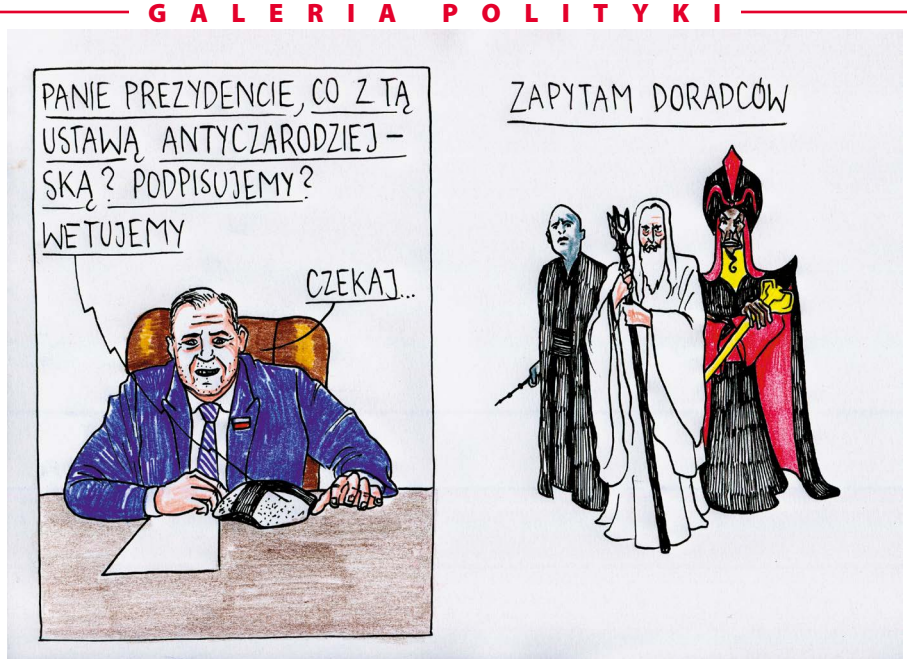
Oczywiście de Tramecourt miał i inne oblicza. Był podobno sprawnym administratorem, doprowadził też do rozszerzenia COP-u na Lubelszczyznę, we wrześniu 1939 r. spowodował i nadzorował skuteczne ukrycie „Bitwy pod Grunwaldem" i „Kazania Skargi" Matejki, co uratowało te wspaniałe obrazy przed zniszczeniem. Za to i za inne działania został już w październiku 1939 r. aresztowany przez gestapo i rozstrzelany miesiąc później. Poniósł więc męczeńską śmierć i o tym też powinniśmy pamiętać.

Czy stojąc przed niemieckim plutonem egzekucyjnym, przypomniały mu się łzy ukraińskich chłopów protestujących bezskutecznie przeciwko niszczeniu ikon i cerkiewek? Nie mnie o tym sądzić, wie o tym tylko Bóg.

Polski nacjonalizm antyukraiński reprezentowany godnie przez Nawrockiego, Czarnka i Brauna jest całkowicie, ale to całkowicie przesycony metodą rozumowania niejakiego Kalego…

PROF. SERGIUSZ MICHALSKI

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

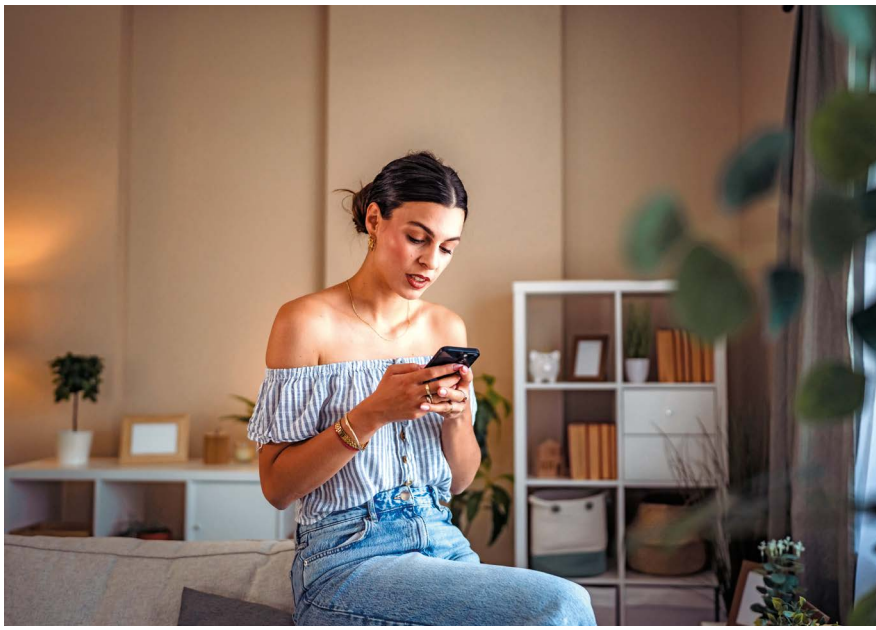
DRUK P/mint

eprasa.pl 70e748f8f6

Gadatliwy towarzysz

Pisany na papierze pamiętnik był tylko milczącym powiernikiem. Ten współtworzony z AI oznacza ciągłe odpowiadanie na pytania.

TREND



Przez całe stulecia do prowadzenia dziennika potrzebowaliśmy jedynie kartek i czegoś do pisania. Do tych sekretów nie miał dostępu nikt poza nami, chyba że dorwała się do nich wścibska siostra lub rodzina, jeśli przed śmiercią nie zdążyliśmy ich spalić. Aż przyszedł XXI w. Najpierw pojawiła się moda na internetowe pamiętniki, czyli blogi, które szybko zostały wyparte przez szatana ekshibicjonizmu, czyli media społecznościowe.

Najnowsza odsłona dziennikowania, *AI journaling*, z pozoru wydaje się powrotem do dawnej intymności, tyle że w cyfrowej odsłonie. Rozpoczęcie wpisu w dzienniku AI jest prostsze niż zmierzenie się z pustą kartką w notesie. Po uruchomieniu aplikacji od razu dostajemy pytanie w stylu: „O czym myślisz?". Nawet jeśli ograniczymy się do zdawkowej odpowiedzi, aplikacja zacznie nas ciągnąć za język.

Aplikacje do AI journalingu zachowują się jak psychoterapeuta, który nie tylko z czułością komentuje zwierzenia użytkownika, ale też zadaje mu pytania po to, aby niczym pacjent podczas sesji sam szukał odpowiedzi. Tak naprawdę jednak nie daje czasu na zastanowienie się, bo po każdym kliknięciu przez użytkownika przycisku „Wyślij" zarzuca go kolejnymi komentarzami, które często odciągają uwagę od pierwotnej myśli. Teoretycznie nikt nie zabrania nam uważnego spojrzenia w siebie i wysłania wpisu dopiero po stworzeniu długiej wypowiedzi, ale powiedzmy sobie szczerze: kto da radę się wstrzymać, wiedząc, że natychmiast może dostać odpowiedź?

Pisanie tradycyjnego dziennika jest formą autorefleksji, a czasem wyrzucenia z siebie emocji, co może przynieść ukojenie. *AI journaling* raczej zaspokaja mózgową potrzebę dopaminy i gwarantuje wsparcie na żądanie – aplikacja jest dostępna 24 godziny na dobę, inaczej niż terapeuta czy nawet przyjaciel, który nie zawsze odbiera telefon.

Twórcy zachęcają do instalowania aplikacji na smartfonach, abyśmy w każdej chwili mogli zapisać swoje myśli – w przerwie w pracy, w toalecie, w kolejce do kasy. Tu tym bardziej nie ma miejsca na pogłębioną refleksję, liczą się emocje i impulsy. – *Dokonujemy outsourcingu własnych emocji. Przenosimy do algorytmów część naszego humanizmu, to, co definiuje nas jako ludzi* – ocenia dr Małgorzata Bulaszewska, kulturoznawczyni i medioznawczyni związana z Uniwersytetem SWPS. – *Współczesny człowiek nie ma czasu ani cierpliwości, by w powolnym procesie poznawać samego siebie.*

Aplikacji do AI journalingu jest coraz więcej, więc ich twórcy muszą walczyć o uwagę klienta i, oczywiście, subskrypcje. Zatem np. Life Note oferuje nie anonimowego „towarzysza podróży", ale jednego z największych (zmarłych) tego świata. W rozwiązaniu życiowych problemów mogą pomóc użytkownikom np. Albert Einstein, Jezus Chrystus, Steve Jobs czy Arystoteles, bo narzędzie zostało przeszkolone na podstawie ich pism. Rosebud, które podobno zasilono wiedzą z zakresu psychologii poznawczo-behawioralnej, zachęca użytkownika, aby uznał swoje uczucia i dbał o komunikację z bliskimi, proponuje zestaw aktywności oraz codzienne haiku.

A dlaczego te aplikacje do AI journalingu są takie mądre? Cóż, w istocie są tylko ładnymi opakowaniami, a całą wiedzę dostarczają LLM-y – zatem na wpisy odpowiada np. ChatGPT wsparty dobrym promptem.

Aplikacje do AI journalingu stają się też narzędziami optymalizacji kolejnego elementu naszego życia, po aktywności fizycznej i pracy poszczególnych organów. Oferują statystyki dotyczące nastroju, podsumowania przeżyć czy ich wizualne metafory. Mając takie dane, użytkownik już wie, co powinien w sobie zmienić. – *To formatuje nas jako jednakowe, zawsze szczęśliwe „robociki", w których życiu nie ma miejsca na gorszy moment czy smutek. Ta psychomowa algorytmu kolonizuje naszą intymność na rzecz produktywności i wydajności* – dodaje dr Bulaszewska.

A co, jeśli spóźnisz się z opłaceniem subskrypcji za kolejny miesiąc? Cóż, twój towarzysz podróży znajdzie sobie nowego kompana, a gdy znów spotkacie się na szlaku, może cię nie poznać. ■



Agnieszka Gierczak-Cywińska – w redakcji internetowej POLITYKI od 2016 r. Najbardziej interesują ją tematy społeczne. Nałogowa słuchaczka audiobooków. Zasiada w loży miłośników kotów.

© SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 70e748f8f6

Głupiutko wyszło

WIRAL



Wypowiedzi **dr Ewy Woydyłło** o Idze Świątek rozgrzały internet do czerwoności. Nawet awanturujący się w sieci harcerze z maślarzami, czyli nowy PiS i stary PiS, zeszli na plan dalszy. O co poszło? Dr Woydyłło, znana psycholożka, specjalistka od uzależnień i autorka licznych książek, wystąpiła w podkaście „Trzeci Serwis" Lecha Sidora, komentatora sportowego, dawniej trenera i tenisisty. Pytana o mentalną kondycję Igi i o jej relacje z Darią Abramowicz, ekspertka niespecjalnie gryzła się w język, choć zastrzegła, że czyta tylko z mowy ciała i spekuluje, więc cała ta rozmowa jest, jak się wyraziła, „o kant... potłuc".

Zdaniem Woydyłło Iga już nie kocha tenisa i oddałaby przysługę sobie i kibicom, gdyby zarzuciła sport, a przynajmniej tę konkretną dyscyplinę, np. na rzecz studiów czy innych zajęć, które dla odmiany sprawiałyby jej radość. „Zwykły człowiek przeżywa kryzys przez 20 minut", stwierdziła, a u Igi trwa już parenaście miesięcy. A Daria Abramowicz? Siedzi i ogląda mecze za dobrą kasę, pozazdrościć – śmieje się Woydyłło. Swoją drogą, wywiad ukazał się pod hasłem: „Iga się wypaliła i psycholog już nie pomoże".

Psycholożka nazwała ją w tej rozmowie „głupiutką i wystraszoną". Arynę Sabalenkę, liderkę rankingu WTA – pupilką Łukaszenki, ruską babą, ale i „facetem", który konkuruje z kobietami, „fuj!".

I zaczęła się jazda. Wywiad tak widzów poruszył, że aż został zdjęty, twórcy „Trzeciego Serwisu" przeprosili sztab Igi i jej kibiców („Na tym polu polegliśmy 0:6, 0:6"), Woydyłło też się z czasem zreflektowała, a internet podzielił się w ocenach. Jedni twierdzą, że psycholożka przekroczyła granice etyki i dobrego smaku, inni – że powiedziała na głos to, co wielu myśli, i jest „cancelowana", bo szarga narodowe świętości (czyli dobre imię najlepszej polskiej tenisistki), a pewnie również dlatego, że jest starszą (w domyśle: odklejoną) kobietą. Choć to przecież Iga Świątek została w tej rozmowie upupiona ze względu na wiek...

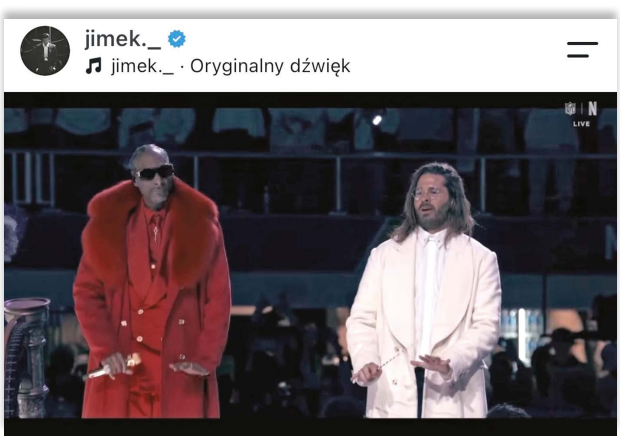
Najlepszym dowodem na to, że temat „zażarł", są rozliczne wypowiedzi i analizy osób całkiem postronnych, które słyną z tego, że mają opinię na każdy gorący temat (w sieci to tzw. pundici). Z podkastami też tak bywa – do mikrofonu można dziś powiedzieć wszystko. Tylko czy trzeba?

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Farmić aurę

SŁOWO

Po zeszłotygodniowym tekście o modzie na farmy i farmerów czas na kontynuację. Dziś będzie o tym, co się na tych idyllicznych farmach uprawia. Albo inaczej: co na nich można farmić. Bo czasownik ten robi od lat kolosalną karierę w sieci, w znaczeniu nieco odmiennym od tego, które kojarzyliśmy z rolnictwem. Nie chodzi już o uprawę, tylko o zbieranie, gromadzenie jakichś zasobów. I to nie w świecie realnym, ale wirtualnym. Najczęściej w grach wideo: „Intensywnie zbierać walutę w grze MMORPG poprzez zabijanie mobów (potworów)" – definiuje słowo „farmić" strona miejski.pl. Stąd przykłady w rodzaju „farmię XP na kolejnych bossów" (XP to przydatne do ulepszania postaci punkty doświadczenia). Ale słowo zawędrowało też do social mediów, gdzie farma opisuje oddział internetowych harcowników zebrany w niecnym celu, zwykle do szczucia, ogłupiania lub siania (jak to na farmie) propagandy. Jak w zwrotce Siwersa z JWP: „Jak zostać dzbanem, znajdź na insta story/ Masz RCB Alert, mnożą się tam farmy trolli".



Od kiedy jednak głównym miernikiem wdzięku, charyzmy i wartości osobistej – czyli poszukiwanym zasobem – stała się aura (to słowo opisywałem w POLITYCE 46/24), dawniej bycie cool, masowym zjawiskiem jest farmienie właśnie tejże aury. Trochę jak w grze, bo aura może przybierać różne punktowe wartości – zupełnie umowne. *Aura faming* był przez „Guardiana" opisywany rok temu jako „kultywowanie tej wersji siebie, która jest najbardziej cool". Przybieranie pewnej atrakcyjnej postawy, dbanie o wizerunek. I jako nowa, modna językowa fala błyskawicznie dotarł do Polski.

Farmią aurę oczywiście piłkarze zachowaniem na boisku. Albo dyrygent **Jimek**, kiedy występuje u boku **Snoop Dogga**, wystylizowany niegorzej niż sam raper (komentarz na platformie X: „Radzimir, co aurę farmi lvl expert"). Najtrudniej w zawodach, które kiedyś słynęły z wysokiego poziomu aury (ta słusznie kojarzy się z aureolą), a dziś zostają w tyle. Tu znów dość kategoryczny komentarz z X: „Żaden biskup w Polsce nie farmi aury". Za to dokładnie to robią na współczesnych farmach wszyscy ci, którzy zamiast pomagać przy sianokosach albo kopać ziemniaki, zbierają lajki, robiąc sobie efektowne zdjęcia. Pozują na najlepsze wersje siebie. Sieją na ekranie, żeby zebrać uznanie.

BARTEK CHACIŃSKI

© MAKSYMILIAN RIGAMONTI/FORUM, INSTAGRAM.COM/JIMEK._, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM, RAFŁ MASŁOW

eprasa.pl 70e748f8f6



Winiarska drożyzna

Dlaczego w Polsce wino kosztuje tak dużo?

WINO

Tym razem temat nie do końca wakacyjny, choć wakacjami zainspirowany. Ich pierwszy tydzień spędziłem w Szampanii i przypadkiem zaszedłem do rodzinnej wytwórni Alain Renard. Swojskie obejście nie przypominało wymuskanych saloników degustacyjnych znanych marek; biegał pies, właścicielka bez ceremonii nalewała swoje szampany. Najbardziej zasmakowało mi nietypowe, bo mocno rubinowe i wiśniowe, Rosé de Saignée; butelka wróciła z nami do Polski. Paragon – 42 euro.

Wkrótce zachciało mi się znowu go spróbować i przypomniałem sobie, że Alain Renard od wielu lat ma importera w Polsce. Wybrałem się więc do jego winoteki, gdzie to wino sprzedano mi za... 379 zł, czyli ponad dwa razy drożej niż we Francji.

Sytuacja nie jest nowa. Ceny wina w Polsce od wprowadzenia wolnego rynku zawsze były znacznie wyższe niż w kraju produkcji. I to jest normalne – wina włoskie są też droższe w Czechach albo w Danii. Problemem jest skala tej różnicy. Ponaddwukrotna przebitka to gruba przesada, ale rekordziści przekraczali nawet kurs: 1 euro równa się 10 zł, jak to żartobliwie w branży winiarskiej kalkulowano.

Skąd się bierze aż taka różnica? Wino w Polsce obciążone jest dodatkowymi kosztami. Mamy wyższy VAT niż praktycznie wszystkie kraje winiarskie (23 proc.; dla porównania: we Francji i Niemczech podatek wynosi 20 proc., w Portugalii – tylko 13 proc.). I mamy akcyzę na wino – w ostatnich latach to 1,75 zł za butelkę. Niby nie jest to dużo, ale w taniej butelce z dyskontu stanowi już 20 proc. ceny, a poza tym większość krajów winiarskich akcyzy nie stosuje (choć bywają wyjątki: w Skandynawii, Wielkiej Brytanii i Irlandii państwo potrafi sobie doliczyć ponad 3 euro do każdej butelki).

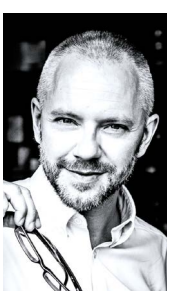
No dobrze, powiecie, faktycznie do ceny włoskiej trzeba doliczyć trochę VAT-u, akcyzy, no i transport – powiedzmy 2 zł za butelkę – ale to przecież nie uzasadnia tak ogromnych różnic. I będziecie mieli rację. Polscy importerzy od 25 lat wymawiają się tajemniczymi „kosztami działalności". I tak zezwolenie na sprzedaż alkoholu w Polsce kosztuje konkretne pieniądze, podobnie jak obsługa całego absurdalnego systemu zamawiania i naklejania banderoli. Dochodzi ryzyko kursowe. Tyle że to wciąż mało przekonujące uzasadnienia. Winoteka w Niemczech też przecież musi opłacać czynsz, media i księgową, też musi butelki z Włoch albo Hiszpanii przetransportować, a przecież kosztują one standardowo 30–40 proc. mniej niż nad Wisłą i Wartą.

Importerzy wina mają w Polsce po prostu zbyt wysokie marże. Narzut rzędu 50 proc. to raczej niższy wymiar kary, wielu importerów za normę uważa nawet 80–100 proc. Powód? Niska sprzedaż. Porównanie do Niemiec jest bolesne: tamtejszy rynek wina jest wciąż blisko 10-krotnie większy od polskiego, mimo że to my notujemy statystycznie wzrosty rzędu 5–10 proc. rocznie.

Tyle że aktorzy rynku wydają się nie zastanawiać, skąd się taka różnica bierze. A bierze się właśnie z ekonomicznej dostępności dobrego wina. Dowiodły tego zresztą polskie dyskonty, gdy dekadę temu zaproponowały przyzwoite wina z Hiszpanii i Portugalii za 10–15 zł za butelkę. Efekt? Eksplozja sprzedaży, zwłaszcza na prowincji. Polski winoman po prostu głosuje portfelem i jeśli ma poczucie uczciwej ceny, kupuje. Ale jeśli musi dwukrotnie przepłacać, woli sobie np. wino przywieźć z zagranicznych wojaży albo zamówić z niemieckiego sklepu internetowego.

Skali tego zjawiska nikt nie zna; można posługiwać się jedynie anegdotami. Pewien winomaniak zaprosił mnie niedawno na wystawną kolację, na stole stanęło osiem znakomitych win i żadne nie miało polskiej banderoli. Oszczędność na jednej kolacji wobec standardowych cen w Polsce wyniosła przeszło tysiąc złotych.

Importerzy tacy jak El Catador czy Kondrat Wina Wybrane, którzy wyrwali się z tego błędnego koła i zaproponowali ceny zbliżone do europejskich, notują rekordy zainteresowania. Inni narzekają, że wino w Polsce „się nie sprzedaje". A powody do radości wciąż mają internetowe winoteki z domeną .de. ■



Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Domaine de Miselle Côtes de Gascogne Colombard-Gros Manseng 2025, 39 zł (marekkondrat.pl) **El Masroig Montsant Solá Fred Negre 2022**, 39,99 zł (elcatador.pl) **Varvaglione 12 e Mezzo Primitivo Organic**, 43 zł (winestory.pl) **Lajver Szekszárdi Bikavér 2020**, 43,99 zł (rafa-wino.pl)

eprasa.pl 70e748f8f6



TAJLANDIA: trójkąt nierównoboczny

Większości z nas kojarzy się ze spokojnym wypoczynkiem w rajskich warunkach. W tajlandzkiej polityce jednak nie ma nudy. To krwisty dramat rozmiarów wielosezonowej telenoweli.

Główne role grają zwalczające się koterie arystokracji i przedstawiciele dynastii biznesowych – z miliardami na kontach i proporcjonalnym do majątku apetytem na władzę. Lud gra rolę statystów, choć z pretensjami. Może i głosuje, ale tak się jakoś dzieje, że stanowiska na szczytach władzy obejmują z reguły reprezentanci elit, które – już wspólnie – hamują aspiracje plebejuszy. Czasem zdesperowani obywatele protestują. Tak było zwłaszcza w 2021 r., gdy na ulicach domagali się reform w bardziej demokratycznym i mniej skorumpowanym kierunku. W sumie chcieli rozmontowania dotychczasowego porządku. Porządku dość chaotycznego, bo współczesne wcielenie Tajlandii – licząc od obalenia monarchii absolutnej w 1932 r. – doczekało się dwudziestki konstytucji (obowiązuje ta z 2017 r.). Podjęto 22 próby zamachów stanu, powiodło się 13 z nich. Do czynu w poczuciu patriotycznej troski rwali się głównie wojskowi. Zgodnie z maksymą lokalnych komentatorów, że kraj jest demokratyczny – chyba że wojsko zdecyduje inaczej.

Do ostatniego puczu mundurowych doszło w 2014 r. Do tego po 1932 r. sformowano 58 rządów. 32 osoby zasiadały w fotelu premiera. Konkurenci zadbali, by tuzin byłych szefów rządu zaliczył bliższy kontakt z wymiarem sprawiedliwości, włącznie z aresztem, skazaniem lub emigracją w obawie przed wyrokiem.

Jedyną stabilizację w tym galimatiasie zdaje się wprowadzać monarchia. W ciągu niespełna wieku wymieniło się czterech władców, od Ramy VII do X. Najważniejszy był zmarły w 2016 r. Rama IX, czyli Bhumibol Adulyadej, który zasiadał na tronie równe 70 lat.

Te siły wyznaczają wierzchołki nierównobocznego trójkąta, w którym toczy się polityczna rywalizacja. Na szczycie mieści się pałac królewski z przyległościami, ze starymi elitami i wysokimi dowódcami wojskowymi. Król jest w zasadzie nietykalny i ma pozycję silniejszą niż jego koleżeństwo po fachu w monarchiach europejskich (z wyjątkiem Watykanu, Liechtensteinu i Monako). Otwartą krytykę panującego skutecznie wygasza art. 112 kodeksu karnego, przewidujący od 3 do 15 lat kary więzienia za obrazę majestatu władcy. Nad poddanymi przepis o *lèse-majesté* wisi niczym poręczna pałka. Np. urzędniczka Anchan Preelert za 29-krotne rozpowszechnienie w serwisie społecznościowym nagrania, które zdaniem sądu szkalowało Ramę, otrzymała karę 87 lat więzienia. Przyznała się do winy, więc karę skrócono do 43 lat i kilku miesięcy. Wolność odzyskała w zeszłym roku, gdy po niespełna ośmiu latach dostąpiła królewskiego ułaskawienia.

Takie wspaniałomyślne gesty i drakońskie kary niewiele pomagają wizerunkowi obecnego władcy. **Rama X**, w przeciwieństwie do swojego zrównoważonego i cieszącego się faktycznym autorytetem ojca, kojarzy się raczej z romansami, próbami koncentracji władzy i rozporządzaniem po uważaniu gigantycznym majątkiem dworu. Podczas pandemii władał z... hotelu



Jędrzej Winiecki – dziennikarz działu zagranicznego POLITYKI. Przygląda się ludziom i przyrodzie.

© LAUREN DECICCA/GETTY IMAGES, ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 70e748f8f6

w niemieckich Alpach. Zdarzyło mu się też awansować swojego miniaturowego pudla do stopnia marszałka sił powietrznych. Pozwalał zmarłemu w 2015 r. Fufu wskakiwać na stoły podczas oficjalnych przyjęć i chłeptać wodę z naczyń gości. Rama X słynie też z wyborów modowych, w tym osobliwej słabości do występowania w obcisłych topach, odsłaniających wytatuowany tors.

Wierzchołek drugi, bliski monarszemu – stąd ta nierównoboczność – obsadza armia. Oprócz przepisywania konstytucji, powoływania kolejnych rządów przejściowych i ćwiczenia na poligonach wojskowi zajmują się też prowadzeniem armijnego imperium biznesowego. W jego skład wchodzą rozległe nieruchomości, stacje telewizyjne, radiowe i benzynowe, pola golfowe, hotele, restauracje, przedsiębiorstwa budowlane, centra handlowe, tory wyścigów konnych, kluby sportowe, stadiony i lotniska. Niedawno wojsko poszło też na wojnę – w ramach kolejnej rundy przewlekłego konfliktu granicznego. W zeszłym roku biło się z Kambodżą. Latały myśliwce, spadały rakiety, strzelała artyleria, lały się łzy i krew. Mogło zginąć nawet 150 osób. Kilkaset tysięcy mieszkańców terenów przygranicznych zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów.

Trzeci koniuszek wspomnianego trójkąta zajmują elity biznesowe, dysponujące zapleczem finansowym, mediami, partiami i uwodzicielskimi opowieściami politycznymi. Na dobrze znaną nutę, także poza Azją, w której miliarderzy przedstawiają się jako wyzwoliciele mas spod rozmaitych jarzm, i ci, którzy przypilnują sprawiedliwej dystrybucji wspólnego majątku czy przywilejów. Dynastie pieniądza są politycznie sprawne, ale nie zdołały dotąd przejąć pełni kontroli, bo kontrują je dwór i armia.

Wreszcie gdzieś należałoby ustawić jeszcze większość z 72 mln tajlandzkich obywateli. W wyborach sprzed trzech lat wygrała partia reformistyczna. Niosło ją poparcie niepewnych swojej przyszłości młodych i zniecierpliwienie miejskiej klasy średniej. Zwycięzcy nie dali rady utworzyć rządu. Ich lider do objęcia fotela premiera potrzebował poparcia obu izb parlamentu. Zablokowano go w mianowanym przez wojsko senacie, gdzie dostał jedynie 13 z 250 głosów. Na wszelki wypadek partię niedługo później rozwiązano wyrokiem Sądu Konstytucyjnego. Za pretekst posłużyła – a jakże – obietnica rewizji wspomnianego art. 112. Już sama zgłoszona w kampanii wyborczej zapowiedź okazała się zbyt daleko idącą rewolucją. Dla większej pewności niedoszłemu postępowemu premierowi wlepiono jeszcze 10-letni zakaz działalności politycznej. Rządzi gabinet poskładany z ugrupowań bardziej konserwatywnych, związanych z wielkim biznesem i skłonnych do spokojnych układów z dworem i armią.

Z takim bagażem w rankingach demokracji czy wolności obywatelskich Tajlandia lokuje się w drugiej połowie globalnej stawki, daleko za rzeczywiście demokratycznymi krajami ze wschodu Azji: Japonią, Koreą Płd. i Tajwanem. Przy czym nie jest klasyczną dyktaturą. Rozpisywane są przecież wybory, w których partie faktycznie konkurują. Ale na kolejnych etapach system się zacina, gdyż aktywują się strażnicy tradycyjnego systemu, lokalnego „głębokiego państwa", egzekwujący swoje możliwości do obejścia albo unieważnienia, np. w sądach, wyników wyborczej rywalizacji.

Stąd w Tajlandii zamiast typowego dla demokracji cyklu: wybory – nowy rząd – kolejne wybory, normą jest nieco bardziej skomplikowana kombinacja. Zaczyna się od wyborów. Dalej możliwości są dwie. Powstaje rząd skłaniający się ku dworowi, armii i kręgom konserwatywnym. Albo bardziej populistyczny, obiecujący np. pewne reformy społeczne. W obu wypadkach gabinet prędzej niż później wejdzie na jakiś kurs kolizyjny. Ekipa nieudolna lub skorumpowana wywoła reakcję ulicy. Ta forsująca zmiany wchodzi w szkodę armii czy dworu. W obu wariantach zaczyna się kryzys polityczny. Można mu zaradzić metodami biurokratycznymi, w sterowanych sądach, choćby stawiając premiera w stan oskarżenia za korupcję, przekroczenie uprawnień czy cokolwiek innego. I tu, i w przypadku kryterium ulicznego można ogłosić – teraz na scenę wchodzi armia – że cywile swoją kłótliwością, nieudolnością (lista jest długa, niepotrzebne skreślić) doprowadzili państwo na skraj przepaści. Wojsko nie ma innego wyjścia: musi bronić ojczyzny, wkroczyć lub wjechać czołgami, by przejąć stery, obsadzić instytucje swoimi ludźmi, ustabilizować sytuację i napisać nowe reguły, by na ich podstawie rozpisać nowe wybory.

Teoretycznie zagraniczni goście powinni tak rozchwiany kraj omijać szerokim łukiem. Tymczasem co roku przyjeżdża do Tajlandii ponad 30 mln turystów. A celem jest 40 mln odwiedzających. Na co raczej się nie zanosi, bo ostatnio Tajlandii wystraszyli się Chińczycy. Ich lęki wywołało m.in. niedawne porwanie pewnego aktora. Zwabiono go na fikcyjny casting – jednak zamiast na plan zdjęciowy trafił do sąsiedniej Mjanmy, gdzie zmuszono go do pracy w ośrodku zajmującym się internetowymi wyłudzeniami. Takie interesy prowadzą zazwyczaj chińskie grupy przestępcze, które Tajlandię wykorzystują jako wabik i kraj tranzytowy. Aktora udało się odnaleźć po czterech dniach i bezpiecznie odesłać do domu, niemniej turysta chiński doszedł do wniosku, że podróż na południe może wiązać się z niebezpieczeństwami.


Wyspa Muk

Ich źródłem nie bywa jednak polityka. Co do zasady, wzbudzane przez nią zamieszania ograniczone są do stołecznego Bangkoku i dużych miast. Przy każdej zawierusze płyną zapewnienia, że polityczne namiętności nie dotykają kurortów, lotnisk i głównych atrakcji. Z reguły cudzoziemców nie ściga się też za drwienie z króla. Także dlatego, że turystyka to kilkanaście procent PKB i co piąte miejsce pracy w kraju. Wierzchołki trójkąta chuchają na nią, bo nikogo nie stać na kryzys branży i społeczne niezadowolenie z powodu potencjalnej fali bezrobocia. Nie chcą też stracić zysków, które bezpośrednio czerpią z obsługi ruchu turystycznego. ■

eprasa.pl 70e748f8f6

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Rok przełomu

Wyborczy rok 2027 może pod wieloma względami przypominać 2005 r. – uważa Aleksander Kwaśniewski, który ponownie gości w naszym studiu. Scena polityczna zmieni się najpewniej na lata. Mówimy też o rozłamie w PiS. Z Mateuszem Morawieckim – twierdzi były prezydent – w razie potrzeby może się dogadać i Jarosław Kaczyński, i Donald Tusk. Rozmowę prowadzi redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński.



Wznowienie kampanii USA przeciw Iranowi doprowadziło do zmniejszenia zapasów kluczowych antyrakietowych pocisków przechwytujących do jednej trzeciej sprzed wojny. „To dobra wiadomość jedynie dla Rosji – **pisze Marek Świerczyński. – Putin liczy natowskie rakiety i w którymś momencie może uznać, że własnych ma wystarczająco więcej". Na polityka.pl wyjaśniamy, czy i co z tym mogą zrobić Polska i Europa.**



Wakaty do wzięcia

Dyrektorom szkół zostało kilka tygodni na znalezienie ludzi chętnych do pracy z dziećmi. **Do wzięcia jest ok. 300 tys. godzin w tygodniu, co przekłada się na ok. 20 tys. wakatów. „Skończyły się czasy, kiedy chętni zgłaszali się sami", pisze na polityka.pl Dariusz Chętkowski, polonista i bloger POLITYKI.** „Nieomal zniknęli też praktykanci – dodaje. – Gdy jakiś się czasem pojawia, traktowany jest jak ostatni Mohikanin".



„1670" po raz trzeci

Sukces serialu „1670" to fenomen socjologiczno-kulturowy. Co twórcy chcieli przekazać widzom w trzeciej serii, jaki był na to pomysł – pytamy u źródeł. **Gośćmi Janusza Wróblewskiego w podkastowej „Kulturze na weekend" są reżyser „1670" Maciej Buchwald i scenarzysta Jakub Rużyłło.** Jak mówią, prawda historyczna jest dla nich mniej istotna niż wiarygodność i emocjonalność bohaterów. No i liczy się humor.



Szlachta naprawdę

Poszukiwaczom prawdy historycznej polecamy rozmowę z dr Joanną Orzeł z Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, autorką książki „My, Sarmaci". Wyjaśniamy m.in., ile jest szlachectwa w serialowym Janie Pawle i czy sarmatyzm był autentyczną tożsamością, czy raczej genialnym projektem piarowym elit. To wszystko w podkaście „POLITYKA o historii", do słuchania i oglądania na YouTube i polityka.pl.

© ANNA AMAROWICZ, SERGEI GAPON/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH (2)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 70e748f8f6

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 70e748f8f6



eprasa.pl 70e748f8f6